

marek trojanowski

etyka i poetyka

tom III

internet 2010

Piotr Macierzyński, Odrzuty	3
Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Dzieje rodzin polskich	6
Dariusz Suska, Cała w piachu	11
Inga Iwasiów, 39/41	14
Przemysław Witkowski, Preparaty	18
Jacek Dehnel, Tytan z plastiku	22
Justyna Bargielska, Dwa fiaty	32
Katarzyna Ewa Zdanowicz, Jak umierają małe dziewczynki	37
Jarosław Łukaszewicz, trójmasztowiec	42
Samantha Kitsch, 25 wierszy	47
Maciej Cisło, Twórcze pisanie w siedmiu krokach	52
Tomasz Gerszberg, Ciechozimek	58
Ewa Sonnenberg, Płonący tramwaj	63
Joanna Roszak, Tintinnabuli	66
Iza Smolarek, się lenienie	71
Marzena Broda, Światło przestrzeni	78
Bianka Rolando, Biała Książka	82
Bianka Rolando, Biała Książka (II)	87
Tadeusz Dąbrowski, Te Deum	90
Joanna Gładkowska, Hallo poezja	93
Bartłomiej Majzel, Bieg zjazdowy. Biała Afryka	99
Jacek Gutorow, Inne tempo	103
Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Piosenka o zależnościach i uzależnieniach	109
Solistki	116
Izabela Kawczyńska, Luna i pies. Solarna soldateska	123
Konrad Góra, Requiem dla Saddama Husajna	127
Justyna Fruzińska, Wiesz dobrze czego się boimy	131
Justyna Radczyńska, Podmiana Joli Grosz	136
Robert Rybicki, Motta robali	139
Julia Szychowiak, po sobie	143
Zbigniew Machej, Kraina wiecznych zer	146
Jakub Winiarski, Loquela	150
Krystyna Miłobędzka, W widnokregu odmieńca	153
Wojciech Giedrys, Ścielenie i grzebanie	156

Piotr Macierzyński, Odrzuty

Oto **Fragment I** wiersza Piotra Macierzyńskiego z tomiku *Odrzuty*:

*popraw psi los zachęcał mnie
plakat na dworcu w Częstochowie
zaraz potem jakoś koleś nazwał mnie kurwą
bo nie chciałem mu dać papierosa*

[xxx]

Pytanie związane z tym cytatem:

Od dawna Piotr Macierzyński silnie znaczył wiersz:

- a) nacechowaną podmiotowością
- b) sfabularyzowaną praktyką mówienia
- c) dosadnością wyrażeń: śmiechu i goryczy

Oto **Fragment II** pochodzący innego tekstu tego autora z cytowanego dzieła:

*mężczyzna jest źle skrojonym garniturem
mężatki odkrywają zamięłowania krawieckie
przymiarki co drugi dzień w łóżku*

[xxx]

Pytanie:

W przeobrażeniach osobowych, jak w modyfikacji głosów mówiących zawart:

- a) tematykę wzajemnego odrzucenia i reakcji zwrotnych
- b) tematykę sprzężeń w sferze emocjonalnej i społecznej
- c) tematykę sprzężeń w sferze literackiej

A teraz proszę o uwagę, będzie obszerniejszy **Fragment III** wiersza Piotra Macierzyńskiego:

*myślałam że się za mną oglądają
że mówią ale dupa idzie
aż zaczęłam przeglądać się w kałuży*

*i co tere-fere kuku ja z dwiema torbami
dzieciak mi słonia nakleił na zakiet
mąż utrwała schemat*

*powiedziałam o kurwa tak to nie będzie
dopiero mam dwie zmarszczki
idziemy do kina*

[xxx]

Pytanie:

Poeta:

- a) przywdziewa maski
- b) gra cudzie i własne role
- c) bada inne obszary dialektyki – liryczne stany skupienia

Fragment IV:

*najbardziej awangardowy był Jezus
nie dość że wziął sobie mocno do serca powiedzenie
żyj szybko i umieraj młodo
to odstawał takie numery
o jakich ratownicy na basenach mogą tylko pomarzyć*

[xxx]

Pytanie:

Zamiast sprawdzonej narracyjności widać tu:

- a) przebłycki sytuacjonizmu
- b) punktowanie doświadczeń
- c) osobiste wyrzuty

Tomik *Odrzuty* Piotra Macierzyńskiego nie jest ani wybitnym dziełem, ani dziełem niewybitnym. Zwyczajnie się nie wyróżnia jeżeli chodzi o jakość zaprezentowanych w nim tekstów na tle setek innych tomików współczesnych poetów polskich. Standardowe archetypy kulturowe pomieszane z motywami pop są stosunkowo prostym przepisem na otrzymanie Jezusa Chrystusa kroczącego po wodzie jak po czerwonym dywanie w świetle fleszy i w asyście paparazzo. Tu nic nie zaskakuje.

Pomimo to, *Odrzuty* Piotra Macierzyńskiego są świetną okazją do dyskusji na temat stanu polskiej krytyki literackiej. Na okładce *Odrzutów* zamieszczono tekst Krytyka Literackiego Tomasza Charnasa, studenta (a może już absolwenta a kto wie, może nawet pracownika) Uniwersytetu Jagiellońskiego:

*„Tomik rejestruje upadki i wzloty transgresyjnej świadomości, operuje wycinkami fizjonomii
Zamiast sprawdzonej narracyjności widać tu przebłycki sytuacjonizmu, punktowanie
doświadczeń i osobistych wyrzutów...Od dawna Piotr macierzyński silnie znaczył wiersz
nacechowaną podmiotowością, sfabularyzowaną praktyką mówienia, dosadnością wyrażen:
śmiechu i goryczy. Tematykę wzajemnego odrzucenia i reakcji zwrotnych, sprzężeń w sferze
emocjonalnej, społecznej, a nawet literackiej zawarł bowiem tak w przeobrażeniach
osobowych, jak modyfikacji głosów mówiących”*

Po przeczytaniu notki Krytyka, z której nie zrozumiałem ani jednego słowa dlatego też uznałem, że musi być bardzo uczona i naukowa, postanowiłem przeczytać jeszcze raz *Odrzuty* Macierzyńskiego. Ale na nic to się zdało. Cud się nie zdarzył.

Nie pozostało mi nic innego jak spalić swój dyplom doktora. Ja za głupi jestem na Uniwersytet Jagielloński. Gdzie mi tam się równać ze studentem Tomaszem Charnasem, którego utrzymane w stylistyce heideggerowskiej recenzje literackie mogą śmiało konkurować z przekładem trzeciego rozdziału *Sein und Zeit* na język chiński.

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Dzieje rodzin polskich

Protokół z badania

Badający: specjalista pierwszej klasy dr Marek Trojanowski

Badany: Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki,

Wiek: 48 l.

Płeć: M

Plansza numer jeden.

Pytanie: Z czym się panu kojarzy ten obraz?

Odpowiedź:

*przechodził anioł koło
mojej matki rzekł
ty nie jesteś chora
Stefanio i zamilkł*

[V]

Pytanie: Kim mamusia jest z....?

Odpowiedź:

*moja matka piękny krzew dwulicowy
jest pół Polką pół Ukrainką
raz jest miłością a raz nienawiścią
piękny krzew o dwu twarzach*

[CIX]

Uwaga badającego:

Badany impulsywnie reaguje na słowo matka. Przerywa w połowie pytania.

Plansza numer dwa.

Pytanie: Z czym się Panu kojarzy ten obraz?

Odpowiedź:

*matka myje chore bardzo chore
nogi i mówi od rzeczy*

[CXIX.]

Konkluzja tych badań mogłaby być taka:

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki bardzo, ale to bardzo kochał swoją mamę. Właściwie to kochał ją tak jak nikt inny na świecie. I jeżeli mama nie miała nic przeciwko temu, to nikomu nic do tego.

Ale konkluzja będzie inna.

Wszystko zaczęło się od tego, że w jednej z księgarni internetowych kupiłem tomik Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego pt. *Dzieje rodzin polskich*. Na pięćdziesięcioczerostronicową książeczkę w kolorowej okładce wydałem prawie pięć złotych, nie wliczając w to kosztów przesyłki. W księgarni tej były też inne równie tanie a nawet i tańsze książki. Literatura fantasy, kryminały, klasyka literatury światowej – wszystko dosłownie za grosze. Ja wybrałem tomik Tkaczyszyna-Dyckiego wydany przez wydawnictwo **Sic!** w 2005 r.

Tomik zaczyna się dobrym tekstem i wszystko byłoby dobrze, gdyby wydawca wespół z autorem ograniczyli wybór wierszy wchodzących w skład tomu do tego i tylko tego tekstu. Oto on:

*motyl kołysze się w trawie i na swój
sposób uszczęśliwia kolorowy świat
bądź unieszczęśliwia zważywszy przecież
fakt że przyfrunął znikąd*

*i spoczął na liściu koniczyny
z kwiatu na kwiat ale przede wszystkim
do dziś pozostaje nieodgadniony
pośród czterolistnej koniczyny zważywszy*

i to, że liczą się wyłącznie fakty

[przedmowa]

Jak widać – wiersz *Przedmowa* – to klasyczny kominkowiec w sensie brytyjskim. Nadaje się na długi wieczór, w sam raz do kominka, do butelki wódki. Na wieczór nieprzysiadalny – sam na sam z sobą i ciepłym ognia na twarzy. Nic dodać nic ująć.

Ale jak to ze statystycznym tomikiem wydawanym przez statystycznego poetę w statystycznym wydawnictwie bywa, tak i *Dzieje rodzin polskich* jest książeczką o statystycznej objętości: ok. 50. stron. Poeta musiał zapełnić strony literackim mięsem. A to oznaczało definitywny rozbrat z jakością na rzecz ilości.

Ilościowo tomik Tkaczyszyna-Dyckiego jest zbliżony do statystycznego ideału pt. „Okolo pięćdziesiąt stron”. Jakościowo także nie odbiega od średniej z tym wyjątkiem, że o ile o jakości statystycznego tomiku statystycznego poety współczesnego wnioskować można po

lekturze pierwszego tekstu, w tym przypadku drugi wiersz jest soczewką, w której ogniskuje wartość artystyczna dzieła.

Oto drugi wiersz:

*w sąsiednim pokoju umiera moja matka
która mimo to zatrudnia się myśleniem o mnie
jeszcze kiedyś napiszę na czym polega
umieranie moje i jej w ciemnym pokoju dolnym*

*w tym samym który dawniej należał do Wandeczki
jeszcze kiedyś napomknę na czym polega
jej pobyt w Chicago na czym się to wszystko
zasadza w ciemnym pokoju*

*górnym skąd nam wysyła dolary tudzież paczki
i sny uszkodzone poza granicami kraju (ale to już
jest temat na osobną książkę) i zabezpieczone
w foliowym woreczku wędrują do rąk własnych.*

[II]

Tym, którzy nie czytali tekstów Tkaczyszyna-Dyckiego należy się małe wyjaśnienie.

Poezja Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego to poezje o „mojej matce”, „mojej chorej matce”, „mojej umierającej” bądź „mojej umarłej matce”, która „mieszkała” lub „mieszka” w „naszym domu”.

W zbiorze wierszy z lat 1989-2003, które wydał Tkaczyszyn-Dycki w 2006 r., pt. *Poezja jako miejsce na ziemi*, kategoria „matki” pojawia się w różnych konfiguracjach ponad 80 razy. Charakterystyczne jest to, że niezależnie od okresu powstania wierszy „matka” w poezji Tkaczyszyna-Dyckiego jest niezmienna jak kostka granitowa, którą Niemcy wybrukowali główne ulice w Breslau. Korzystając z licencji poetyckiej Tkaczyszyn-Dycki cały czas uśmierca kobiecinę, spełniając od czasu do czasu jej kuriozalne życzenia:

*nie to jest ważne ile przeplacilem
ale że sandały przyniosłem od Szalańskiego
który potwierdził: „w sąsiednim pokoju
umiera twoja matka i prosi o białe trzewiki”*

*nie słuchając matki krzywdzi się siebie
dlatego pilnie przykładam się do jej próśb
„kup mi synku białe trzewiczki i białe
rękawiczki a potem supel zrób mi z ust*

*który sam się z miłości do mnie
zawiąże i rozwiąże a ty go tylko
uprzedź w sklepie Szalańskiego
pamiętając również o sznurowadłach”*

[CXCIII.]

Nie potrzebny jest wróżbita ani genialny umysł, by przewidzieć o czym jest kolejny wiersz w tomiku *Dzieje rodzin polskich* oraz *Poezji jako miejscu na ziemi*. Tkaczyszyn-Dycki Eugeniusz jako poeta z wrodzoną finezją i rzeźniczą gracją będzie pastwił się nad rodzicielką:

*w sąsiednim pokoju umiera moja matka
która się porusza jak pod folią nie wstając z łóżka
w jej przypadku wszystko jest folią ciężka
koldra co się zsunęła i nie chce się podnieść*

[III] *Dzieje rodzin...*

*kiedy zaczynałem pisać wiersze wierzyłem
że to minie w przeciwieństwie do zawirowań
wokół mojej matki do zaburzeń
tymczasem ludzie wciąż nie mogli zgłębić*

[CXCIV. STATKI] *Poezja jako...*

(dla dociekliwych: w kolejnych wierszykach także „matka umiera”. W wierszu IV czytelnik przeczyta w pierwszej strofie: „*ten dom jest za wielki / dla mnie i dla mojej matki / umierającej w łóżku...*” W wierszu CXCIV. KÓŁKO I KRZYŻYK Tkaczyszyn-Dycki napisze o „*mojej matce... chorej która swój brzemienny sen trzymała / na wierzchu obnosiła się z nim dopóki nie wypłynął / z pierwszych mgieł*”)

Żerując od początku swojej kariery literackiej na „mojej umierającej matce” Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki zdołał rozczulić środowisko. Zresztą nie tylko krytycy współczuli. Ale jak tu nie współczuć? Trzeba być skończonym bydlakiem by nie współczuć człowiekowi, który niczym babcie w kółku różańcowym frazę „wybaw nas Panie” powtarza: „moja umierająca matka”, „moja umierająca matka”, „moja umierająca matka”.

Historia uczy, że istnieją najróżniejsze sposoby wzbudzania empatii.

Tuż po II wojnie światowej w Niemczech była moda na telewizyjne dzieci. Śpiewający falsetem mały Aryjczyk był idealnym substytutem poległych dzieci zmobilizowanych w HJ bądź w Volkssturmie. Czy można było lepiej i skuteczniej dobrać się do portfeli z markami w okresie powojennego kryzysu?

Inny sposób na empatię, to chwyt „na pedałka”. Numer ten wypala tylko w społeczeństwach konserwatywnych, tam gdzie istnieje silna więź między społeczeństwem a kościołem. Działa to w ten sposób, że artysta publikuje książkę X, następnie książkę Y. Później następuje tzw. „niekontrolowany przeciek do prasy” pt. „On jest gejem”. Wybuch zamieszanie, w którym powraca się do wydanych dzieł artysty ale tym razem odczytuje się pod kątem domniemanego pedałstwa doszukując się motywów homoseksualnych. Na końcu wypowiada się sam zainteresowany:

- Proszę Państwa, szanowni Krytycy, szanowni czytelnicy, oto mój chłopak.

Co ciekawe lesbijstwo nie wywołuje takiego fermentu reklamowego jak pedałstwo. Być może wynika to stąd, że niezależnie od tego jak bardzo konserwatywne są społeczeństwa, to dominujący pierwiastek patriarchalny stosunkowo łatwiej zaakceptuje widok macających swoje cycki ładnych dziewczyn, niż liżących się po owłosionych klatkach panów.

Wracając do poezji Tkaczyszyna-Dyckiego. Jego numer z „umierającą matką” w porównaniu z innymi marketingowymi numerami, które widziała polska literatura w dwudziestym pierwszym wieku nie jest ani oryginalny ani nie jest nieoryginalny. Kultura zna wiele przypadków robienia kariery przy pomocy własnych matek. Począwszy od Edypa a na Edwardzie Geinie kończąc. Czy Tkaczyszyn-Dycki w swojej relacji z „umierającą matką” jest naśladowcą Edypa czy kaletnika-amatora – tego dowiedzieć się można odwiedzając piwnicę poety.

Dariusz Suska, Cała w piachu

z listu do X

Jeżeli chciałbyś zapytać mnie, co odpisać Burszcie to pewnie znasz odpowiedź: piękne, esencjonalne, lakoniczne, dłuższe niż „kurwa”, krótsze niż „kurwa mać”: SPIERDALAJ

- przynajmniej ja tak bym odpisał.

A propos poezji polskiej współczesnej. mam tu właśnie tomik “Cała w pisaku” niejakiego Suski. Wróciłem z nim przed chwilą z kibla. Lubię sobie poczytać srając. Intymna izolacja sprzyja refleksji, zwłaszcza pogłębionej, wzbogaconej zaburzeniami perystaltyki (każdy biograf, zdający sprawę z mojego vitae, który nie uwzględni wątku fizjologicznego będzie zwykłym bajkopisarzem)

Czytając tomiczek Suski poszukiwałem jakiejś myśli, jednej oryginalnej refleksji na temat tych wierszyków. I wiesz na czym się złapałem? Na tym, że w pewnym momencie zastanawiając się nad wierszykami i swoim wnętrzem (zarówno wiersze jak i wnętrze należy rozumieć ty, w tych okolicznościach wprost, materialnie), zacząłem rozważać problem chwytu papieru w dłoni.

Wiesz, że muszę synka uczyć podcierać tyłek? Że trzeba powiedzieć o tym, że papier trzeba złożyć i że kiedy zapyta, trzeba wyjaśnić dlaczego papier się składa. Kiedy zapyta, objaśnić dlaczego papieru po wytarciu tego otworu, z którego wychodzi kupa (jak powiesz dziecku, że ma wytrzeć tyłek, to wytrze cały tyłek - poślądki i odbył, niekoniecznie w tej kolejności. stąd to uściślenie) nie można wyciągać i przyglądać się i upewniać, że się trafiło tam gdzie trzeba. A kiedy już wyjmie (a na pewno wyjmie, nie upilnujesz), to jak odpowiedzieć na pytanie:

- A dlaczego ta plamka i kreska są brązowe?

Czy znasz jakąś obowiązującą wykładnię w sprawie brązowości kału? Albo jaką wymyślisz odpowiedź, uprzedzając kolejne pytanie, które na pewno już zostało wymyślone przez czteroletni umysł i za chwile zostanie zadane:

- Jadem żółtą galaretkę a kupa nie jest żółta. A wczoraj po szpinaku była zielona. Dlaczego dzisiaj nie jest żółta?

pozdr
mt.

Cała w piachu Dariusza Suski jest tomikiem, który bez straty dla różnego rodzaju zmysłów można czytać od strony numer 5 do strony 23. Lektura kolejnych tekstów także nie zaszkodzi, ale będzie zwykłą stratą czasu.

Pisząc swoje wiersze do tego zbioru, autor wykorzystał (choć czasownik „odgapić” byłby tu bardziej adekwatny) pomysł Katarzyny Zdanowicz z *Jak umierają małe dziewczynki*.

Chodzi o pomysł wykorzystania określonego żargonu („języka dziecięcego”, „języka do dziecka”).

Mamy tu taką samą sytuację jak w epoce socrealizmu. W wierszach socrealistycznych literatów „lał się pot”, „biły młoty”, „buchały paleniska”, „syczała surówka”, „dymiły marteny”, „hut kominy pruły horyzonty”.

Dla porównania:

Rok 2003. Zdanowicz:

*cegiełka rozpaczy pusty jak piec brzuszek
słowa jak aniołki z plastiku bez nóżek*

[cement]

Rok 2004, Suska:

*chyba że te rybki usnęły po prostu
i kiedy w łóżeczku mała dzidzia leży*

[kiedyś ci opowiem jak zasypialiśmy]

Charakterystyczne zdrobnienia rzeczowników – „brzuski”, „cegiełki”, „aniołku” - w tekstach Suski uległy lingwistycznej radykalizacji. Poeta rozczulić czytelnika będzie próbował pobić rekord zdrobnień. Zacznie tworzyć zdrobniałą przestrzeń złożoną z „bucików”, „brzuszków”, „drabinek”, „piaseczków”, „kiciów” w, której „szybciotko” niejaki „Babuś” z „Hałusiem” robią „baju”.

O ile w tekstach Zdanowicz z cytowanego tomiku to udzielenie języka było mimo wszystko dyskretne i miało sens, tak tego sensu trudno doszukiwać w tekstach Dariusza Suski zamieszczonych w tomie *Cała w piachu*.

Przykład.

*Babusia już nie ma, może wiesz, gdzie poszedł,
dzidzia to już za nim wypatrzyła oczy,
weźmie wiadereczko, przecież się dokopie,
jeśli śpi pod siatką (za daleko skoczył*

*w przyszłość, że nie przyszedł?, czy tam teraz mieszka?,
rzucimy monetą i wylosujemy,
jeśli orzeł: jest tam, a co jeśli reszka?,
na sam dół po schodkach na tyłkach zjemy),*

*niedługo po piątej, a robi się ciemno,
a jeśli już wyjdziemy, to zdamy buju,
tak to jest z cieniami, biegniemy to biegną
(patrz, zostają z tyłu, nie depczmy ich, czują)*

[Babusia już nie ma, może wiesz, gdzie poszedł]

Ten jakże przejmujący wiersz Babusiu jest faktycznie metawierszem napisanym przy zastosowaniu wszystkich reguł metapoetyki. Głównej roli w tej próbie metapoezji nie odgrywa zagubiony Babuś czy też wiadereczko - które w klasyce poezji występuje w dwóch wersjach: jako pełniutkie lub jako puściutkie - ale znak interpunkcyjny, który fachowcy i laicy zgodnie nazywają przecinkiem.

Poszukiwacze wrażeń w tomiku *Cała w piach* zamiast złota odnajdą w tomiku dwie tony piachu. Wierszyki te pięknie się rymują. Owszem. Tutaj nie można odmówić talentu autorowi. Ale poeta ma wyraźny problem z pomysłem na wiersz. Patent z dziecięcym żargonem jest dobry, ale wzbudzenie ściśle określonych pokładów wrażeń i uczuć nie może być celem samym w sobie. Dariusz Suska owszem, stara się nadać znaczenie tekstom. Wprowadza do nich treść, która coś znaczy. Problem jednak w tym, że znaczenia to jest kompletnie nieprzystające.

Na przykład w wierszu *Kiedyś ci opowiem, jak zasypaliśmy* Suska opisuje zwykły, dziecięcy mord na rybkach zasypanych w dołku. Pisze także o tym, jak to dzieciaki, kopiąc kolejne dołki „odkopały torebkę z piaskami”. Nie byłoby w tym dołku i znalezionej w niej torbie nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że torbie „światło zgasło”. Ale na tym nie kończy się ten dramat egzystencjalny. Kulminacja akcji ma miejsce w dwóch kolejnych wersach:

w przyszkolnym kwietniku byt odmierzaliśmy // co do milimetra

Nie wiadomo o jakim to „bycie” chce opowiedzieć światu polski poeta. Czy może w intymnych podróżach w swoją przeszłość, do dzieciństwa (bo jestem pewien, że tak egzotyczne, tak unikalne, tak niezwykle stworzenia jak Babuś i Hałuś mogły istnieć tylko w dzieciństwie autora) Dariusz Suska zmienia się w małego Darusia szykanowanego przez starszych kolegów na długich przerwach? Znany i praktykowany zwyczaj odmierzenia korytarza szkolnego zapalką najwyraźniej został przez autora doświadczony a następnie przerobiony na wiersz o „odmierzaniu bytu”. Wszak to głupio tak trochę, z pozycji kogoś, kto był w 2001 r. mianowany do nagrody Nike opowiadać o tym, jak to w szkole było się zmuszanym do mierzenia korytarzy. Filozof mierzący byty – to brzmi jakby lepiej, ale mimo wszystko głupio i nienaturalnie.

Inga Iwasiów, 39/41

Na pytanie: „dlaczego kobiety nie rapują?” mój uczony kolega z pięcioma doktoratami i jedną habilitacją odpowiedział:

- Nie rapują, bo mają za duże cycki. Jak podskakują, a rapując trzeba trochę poskakać, to im się te cycki majtają góra dół, góra dół. Czasami na boki. A niekiedy cyrkulacyjnie. Paskudnie to wygląda.

A kiedy tego samego kolegę zapytałem: „dlaczego kobiety rapują?” on zdziwił się, i zapytał:

- A która to?

Inga Iwasiów o swoich wierszach pisze tak: *„Moje wiersze próbują wejść w sam środek przeżywania. Nie odgrywać przeżywanie – wywołać je, przy pomocy tego, co mamy – obrazowych i językowych prefabrykatów. Jeden ze znanych i życzliwych mi krytyków powiedział kiedyś, że czytając moje teksty, ma ochotę być sam w pomieszczeniu, jakby oddawał się czynności intymnej. Taka ocena niezwykle mi odpowiada. Pisanie i czytanie to czynności intymne. Oddając Czytelnikowi wiersze, jestem zawstydzona. Rzykuję, bo dla mnie tylko ryzykowne gesty mają w literaturze znaczenie. Reszta jest grą pozorów, na która szkoda życia.”*

Nie wnikam w to, który krytyk była tak znany poetce i tak życzliwy. Nie wnikam w powody, dla których owa życzliwość i zażyłość miała znaleźć ujście w intymnym odosobnieniu. To sprawa między poetką a znajomym i życzliwym poetce krytykiem. Interesujące natomiast są teksty poetki. W tym przypadku tomik 39/41.

Tajemnica tytułu odkryta zostaje w tekście otwierającym tomik:

*O jeny, jeny świat się kończy
Takich chcecie wierszy
Ojjoj, po jedenastym septembra
Idzie zagłada
Pochyl się nad pliszką
Zobaczysz pliskę bytu
Byle starannie
No dobrze tak nie potrafię
Jestem przyłapana
Mam absolutną nieprzydatność
Wpisaną w termin ważności
Który może nie nadejść
Od dziś do jutra*

[Wierszyk metakrytyczny]

W trzecim wersie „ojoj, po jedenastym septembra „ – poetka wyraźnie nawiązuje do ataków na World Trade Center z 11 września, która w świadomości społecznej utrwaliła się w formie kodu 9/11.

O ile datę 9/11 łatwo odczytać (130 milionów rekordów dla tego hasła podaje wyszukiwarka google) tak z tytułem tomiku Ingi Iwasiów z 2004 roku sprawa jest bardziej skomplikowana.

39/41 – wydaje się być zlepkiem z dat 1939 r. i 1941 r. Rok 1939 – wiadomo, atak hitlerowskich Niemiec na Polskę. Martyrologia narodu polskiego itp. Ale czy aby na pewno o to chodziło poetce?

Kiedy analizujemy drugą datę: 1941 r. (realizacja planu Barbarossa) to okazuje się, że być może nie chodzi tu o tragedię narodu Polskiego (który z perspektywy historii świata mógłby nie istnieć) ale o początek końca potęgi Niemiec. Ojczyzna Goethego, Hegla, Kanta skończyła się. Królestwo wielkich duchów upadło. Niegdyś dumny i wielki znalazł się na kolanach, z których do dzisiaj nie może się podnieść. I to jest prawdziwa tragedia. Bo strata jednego ducha to strata stu milionów istnień ludzkich.

Każde tego typu interpretacje tekstów Ingi Iwasiów, które uwzględniałyby aspekty romantyczności politycznej będą nadinterpretacjami. W tym przypadku czytelnik ma do czynienia z najprostszą z prostych, najbanalniejszą z banalnych poetyk, która idealnie koresponduje (korespondencję w tym przypadku należy rozumieć jako *adequatio*) z sensem tekstów.

Weźmy taki przykład:

*W korku
Oni jadą
Mój pierwszy
Kilometr
Do ich życia
W domkach
Samochodów
Zjeżdżają
Po użyciu świateł
Każdy z nich
Ma więcej
Niż ja
Gdy patrzę*

[Pod Hanowerem]

Problemem nie jest tekst, ani jego interpretacja ale krytyk – nawet ten najbardziej z poetką zaprzyjaźniony i najbardziej bliski z bliskich – który musi udać się do zamkniętego pokoju o białych, wyściełanych pikowaną gąbką ścianach i drzwiach bez klamek, by w intymnym odosobnieniu przeżyć przeżycie, które wywołuje ów wiersz.

Inny przykład.

Oto wiersz (uprzedzam, że to wiersz, bo ktoś mniej obyty w poezji kobiecej mógłby przypuszczać, że cytuję spis treści):

*Tu siadam
Na krawężniku
W dłoniach
Bilety
Z wczoraj
Oznaczam nimi
Ciągłość
Między
Nieznany
A dzisiaj*

[Przerwa na lunch]

Trudno oprzeć się wrażeniu, że ów krytyk, o którym wspomina Inga Iwasiów jest istotą o cechach nadludzkich. Jest jakimś ewolucyjnym rodzajem literackiego übermensch, niedobitkiem z 6 armii generała Paulusa, który zawsze przejawiał zainteresowanie polską poezją kobiecą.

Osobną kwestią, która należy rozstrzygnąć jest zakres „intymnych czynności”, którym miałby się oddać ów krytyk po przeczytaniu wierszy Ingi Iwasiów. Możliwy scenariusz działania można zrekonstruować na podstawie innego tekstu poetki:

*O czwartej rano
Mam czas
Na wszystko
Wydaje się
Nienależący
Donikąd
Precyzyjnie mój
Odchyła
Białą firankę
Zawiesza
Poranną kawę
Na drobnych
Klamerkach
Dotknąć*

[Nowy Jork rano]

Scenariusz:

Godzina czwarta rano. Krytyk nie ma nic do roboty o tej porze. Dopiero za kilka godzin zadzwonią z redakcji z prośbą o nadesłanie tekstu. Zamyka się więc w pokoju z tomikiem 39/41 Ingi Iwasiów. Zaczyna czytać. Nagle przerywa. Rozgląda się i widzi, że na podłodze leży gazeta. „Chyba nie należy do żadnego z domowników?” – myśli. Rozpina zamek w spodniach, guzik. Odchyła. A zrobił to tak gwałtownie, że aż firanka się poruszyła. Popijając

poranną kawę, spogląda w dół. Musi precyzyjnie przypiąć klamerki. Żeby bolało. Tak jak lubi. Jak skończy przypinać, zacznie dotykać”

Mój kolega z pięcioma doktoratami i jedną habilitacją przeczytawszy 39/41 Ingi Iwasiów opowiedział mi pewną historię pewnego małżeństwa:

Był sobie mąż i żona. Małżeństwo niemal doskonałe. Klasyka relacji małżeńskich: on ją tłukł przynajmniej raz w tygodniu. Ona chodziła się skarżyć do sąsiadki, z która wypalała dwie paczki fajek i wypijała przynajmniej ćwiarę gorzkiej żołądkowej. On, wracając do domu wyczuwał, że baba jest lekko dziabnięta więc ją prał.

I tak mijały dni, miesiące i lata. Któregoś razu mąż uderzył za mocno. Baba lecąc na ziemię straciła przytomność. Walnęła jak kłoda. Facet się przestraszył, ale nie zadzwonił na pogotowie. Mógłby mieć kłopoty. Zrobił jej usta usta. Był też masaż serca. Miał opory, bo dopiero teraz zauważył, że przez te lata powybił kobiecinnie przednie żęby. Ale nic. Jakoś poszło. Kobieta odzyskała przytomność, ale nie była już taka sama. Coś się jej przestawilo w mózgu. Przestała pić. Przestała palić. Zaczęła dobrze gotować. Jednym minusem było to, że zaczęła się jąkać. Mówiła do niego:

Ko

Ko

Ko

Cha

Kocha

Kochan

Nie

Kochanie

Cz

Czy

Y

Czy

Chłop widząc, że się kobiecina stara, że się zmieniało mu się jej żal. Miał wyrzuty sumienia. Wiedział, że to on a dokładniej: jego prawy prosty jest przyczyną owego jąkania. Postanowił ułatwić życie kobiecie. Kupił jej zeszyt w linie i powiedział:

- Nie musisz nic mówić. Pisz, będzie ci łatwiej.

Przemysław Witkowski, Preparaty

W 1996 r. Lars von Trier nakręcił film, historię dziewczyny o imieniu Bess, która wyszła za mąż za Jana. Jan pracował na platformie wiertniczej. Kochali się bardzo i prawdopodobnie w szczęściu, zdrowiu i miłości żyliby sobie do kresu swych dni, gdyby nie pan Bóg i jego przykry zwyczaj krzyżowania... ludziom planów.

W filmie *Przelamując fale* (*Breaking the waves*) nie ma ładnych zdjęć. Nie ma efektów specjalnych. Nie ma też błyskotliwych dialogów a budżet tego filmu w większości przeznaczony został na paliwo do helikoptera, który kursował między lądem a platformą wiertniczą na morzu (wystarczyło zaledwie na dwa przeloty). A jednak historia Jana i Bess robi niezwykle spustoszenie w psychice. Długo przed napisami końcowymi – w okolicach sceny, kiedy to sparaliżowany Jan prosi żonę, by ta przespała się z jakimś obcym facetem i mu o tym opowiedziała i Bess spełnia prośbę ukochanego – gdzieś w środku, w duszy powstaje wielki krater, jak po wybuchu bomby A o niespotykanej do tej pory sile.

Kiedy jest po wszystkim chciałoby się wyrzucić płytę z filmem, zniszczyć ale nie można. Człowiek nie ma odwagi ani ochoty oglądać tego po raz drugi lecz nie potrafi pozbyć się płytki ani zapomnieć o kobiecie, która rozmawiała z Bogiem.

Film von Triera oprócz różnych dziwnych emocji, skojarzeń i pytań pozostawia widza sam na sam z masochistycznym pragnieniem doświadczenia kolejnego eksperymentu nuklearnego na własnej psychice. Chciałoby się TO poczuć jeszcze raz, jeszcze raz TO przeżyć, doświadczyć, mimo że TO wymyka się próbom racjonalizacji tak dalece, że nie można TEGO nawet opisać.

Gdyby jednak pokusić się o próbę deskrypcji, to owo TO jest TYM czego zabrakło w tomiki Przemka Witkowskiego pt. *Preparaty*.

Preparaty jest tomikiem skazanym na sukces. Bo:

1) składa się z tekstów, które zwyciężyły w tegorocznej edycji konkursu im. Jacka Bierezina. Prestiż tego konkursu podupadł, ale każdego roku ogłoszenie wyników jest jakimś wydarzeniem w świecie poetyckim. Wydawca zadbał o to, by umieścić stosowną informację na ten temat na jednej z pierwszych stron tomiku.

2) wydany został w Biurze Literackim – wydawnictwie, które „przy pomocy krytyków znanych i mniej znanych, jest w stanie na swojej profesjonalnie prowadzonej stronie internetowej tygodniami prezentować jako wybitne, lub co najmniej interesujące, książki wydane przez siebie, zarówno te naprawdę bardzo dobre, jak i te, które wydane gdzie indziej, przeszłyby - i niekiedy słusznie - bez echa”, które: „organizuje największy w kraju, kilkudniowy festiwal literacki, na który zjeżdżają się zaproszeni goście z kraju i ze świata”, które: „zdolało zebrać plejadę autorów ciekawych, bardzo ciekawych i takich sobie i kto tym autorom i ich dziełom pomógł uzyskać rangę postaci i dzieł znanych i rozpoznawalnych, jaką dziś - na taką skalę - tylko dobry PR i marketing mogą pomóc uzyskać”, które: „aktywizuje środowisko poetyckie i tłumackie, wyluskuje talenty, daje młodzieży szansę doskonalenia umiejętności pisarskich na profesjonalnie prowadzonych warsztatach”, które: „wydaje najciekawsze antologie poezji i stara się podtrzymać, czy wręcz rozbudzić zainteresowanie

działami autorów często hermetycznych, trudnych, nie bardzo łatwo przyswajalnych”, które: „stało się swoistym ‘monopolistą’ w dziedzinie publikowania poezji i ambitnej eseistyki” i w porównaniu z którym inne wydawnictwa projekty literackie i cała „Reszta jest tłem. Bo musi być jakieś tło”(cyt. za: Jakub Winiarski, *Kto?*)

3) oprócz tekstów w tomiku znajdują się obrazki – a dokładniej: kolaże artystki Niny Łupińskiej. Dla niewtajemniczonych: kolarze to rodzaj wycinanek. Nie trzeba się męczyć. Żeby zrobić kolaż wystarczy klej, nożyczki i kilka kolorowych gazetek. Nina Łupińska do swoich dzieł, którymi – że tak się wyrażę - artystycznie podpięła się pod tomik Witkowskiego wykorzystała zdjęcia i grafiki wyszukane w wikimedia.org oraz w google dla hasła „porno vintage” i „19th century”.

Dla przykładu, wiersz *Techniki splotów* artystka ozdobiła grafiką chronionego patentem wynalazku Heysera, który miał uniemożliwić młodym chłopcom masturbowanie się. Grafikę zeskanował i umieścił kilka lat temu w Internecie użytkownik Ghaako. Wykorzystując bardzo trudną artystyczną technikę „cut, copy, and paste” Nina trzema kliknięciami myszki stworzyła kolaż, którym przyozdobiła wspomniany wiersz Witkowskiego. Jeżeli ktoś uważa, że nie ma nic łatwiejszego niż kopiowanie obrazków z Internetu i robienie z nich kolaży, ten się myli. Techniki tej trzeba się uczyć latami, w trakcie studiów i to najlepiej na jakiejś ASP, by mieć zaświadczenie o byciu artystą – np. na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, której Nina Łupińska jest absolwentką.

4) Dla potrzeb marketingowych zadbano o laurkę od Karola Maliszewskiego. Oto ona:

Opowiada się tu historię dojrzewania do własnego języka, który formuje się na styku tego, co prywatne, i tego co oficjalne, “medialne”. Wspomina się przodków i używane przezeń języki, impulsywnie odnosząc wspomnienia do inicjacji, do punktu wyjścia. Jednocześnie wiersze te stwarzają iluzję bywania na zajęciach, uczestniczenia w eksperymentach, badaniach, obserwacjach i doświadczeniach, wymienia się w nich i wymyśla nazwy przedmiotów i lekcji.
[Karol Maliszewski]

Karol zapomniał napisać o tym jakie są to wiersze. Czy są dobre? Czy złe? Czy może przeciętne? Ale kto by zwracał uwagę na takie detale. Karol to Karol i jak każdy Karol w Polsce od czasów Wojtyły, tak i ten ma status papieża – co napisze, to święte. Liczy się to, że jest notka o: „języku, który formuluje się na styku tego, co prywatne, i tego co oficjalne”. I wszyscy wszystko wiedzą.

Wiersze Przemka Witkowskiego z tomiku *Preparaty*, to teksty bardzo dynamiczne. I gdyby wartością poezji była pojęta fizykalnie energia, to wiersze te byłyby świetne. Efekt „szybkiej akcji”, „dynamicznego dziania się” stworzyć może poeta, który opanował technikę języka. Witkowskie jest takim technikiem. W specjalny sposób używa rzeczowników, które w wierszu działają jak ujęcia w filmie.

Dla przykładu.

Oto jeden z tekstów:

*do czarnych sukienek czarne biustonosze –
posłuchaj, jak to ciało szeleści.*

*rytm jest niewyraźny, neony i auta,
puste bramy, ulice oraz dźwięki syren.*

*wystarczy przejść przez most,
zadomowić się, zapleść.*

*gdy spytałem którądy, śniłaś mi się siwa.
miało być o związkach, będzie o anarchii.*

*napisz to od nowa, dołóż zdań twierdzących.
wykluwa się zbiór, coś tkwi, coś się zapęta.*

[ŚCISŁE ŁĄCZENIE AKORDÓW]

Trudno powiedzieć coś konkretnego o tym tekście, ale na pewno podoba się on. Nie dlatego, że opowiedziana jest w nim ciekawa historia. Też nie dlatego, że autor wykorzystał niebanalne metafory. Ten tekst jest jak kopnięcie z półobrotu Chucka Norrisa filmowane z różnych kamer, które traci płynność ruchu na rzecz dynamiki, energii i siły.

W strofie drugiej:

*rytm jest niewyraźny, neony i auta,
puste bramy, ulice oraz dźwięki syren*

autor narzuca czytelnikowi odpowiedni „rytm”. Intuicja zastępuje refleksję. Nie ma czasu na myślenie. Rola odbiorcy zredukowana została do roli widza, który ogląda. Obraz zaś zmienia się za szybko, by zastanowić się. Najpierw są „neony”, które mimo koniunkcji natychmiast zastąpione są przez „auta”, które w milisekundzie zmieniają się w „puste bramy”. Po przecinku natychmiast zmienia się perspektywa. „Brama” ustępuje obrazowi „ulicy”, ta przechodzi w „dźwięki syren”.

Podobnie rzecz się ma z ostatnią strofą:

*napisz to od nowa, dołóż zdań twierdzących.
wykluwa się zbiór, coś tkwi, coś się zapęta*

Akcja: „to → zdania → zbiór → coś → coś” zastępuje myślenie.

Gdyby spróbować zrekonstruować historię opowiedzianą w tekście, to tym razem zamiast Chucka Norrisa mamy tu do czynienia z zakochanym Jeanem Claude van Damme z filmu *Lwie Serce* z 1990 r., który efektownymi szpagatami, kopnięciami i nokautującymi kolejnych przeciwników uderzeniami pięści toruje sobie drogę do serca kobiety – wdowy po bracie – chociaż wystarczyłyby kwiaty.

Innymi słowy: użyte środki (technika) są nieproporcjonalne.

W *Preparatach* tekst zdominował treść tekstu. Bo np. wiersz *Pielęgnacja, Tresura* jest wierszem o sprawach ważnych. Ale o takich rzeczach pisać trzeba wolno, leniwie by niczego nie przeoczyć. Nie można streścić pokoleniowych relacji, konfliktów i różnic w szybkim, informacyjnym skrócie.

Witkowski ryzykuje pisząc:

*krótkie rozmowy i rwane zapiski,
bo wchłania się niechęć, nerwowo
prowadzi się dziennik.*

*można wyrzucić z domu starodruki, zdjęcia,
bo oni słuchali radia, konstruowali maszyny,
a nam wychodzą same zadrapania i drzazgi.*

*już wszystko zapisano, na wstążkach z papieru,
sztandarach z bibułki. zdjęli nam smycz
ci starcy z sepii i otworzyli furtki.*

*i mamy suche oczy i zaciśnięte usta.
zgubione klucze i puste portmonetki.*

*jak gdyby nigdy nic biegniemy szukać kości.
kto skusi, dostanie serce zwierzęce.*

[PIEŁĘGNACJA, TRESURA]

że czytelnik nie odnajdzie się w histopatologicznych próbkach. Poskładanie preparatów w całość wymaga pewnej precyzyjnej, technicznej umiejętności. Ilu czytelników *Preparatów* będzie posiadało taką umiejętność? Inne pytanie, które można zadać brzmi: czy na podstawie analizy preparatu sporządzonego z fragmentu ludzkiej wątroby można powiedzieć coś o człowieku?

Istnieje realna groźba, że czytelnikowi tekstów Witkowskiego, rzuconemu w krainę preparatów: „wszystkiego → wstążek → papieru → sztandarów → bibułki → nas → smyczy → starców → sepii → furtki” umknie nie tyle sens strofy:

*już wszystko zapisano, na wstążkach z papieru,
sztandarach z bibułki. zdjęli nam smycz
ci starcy z sepii i otworzyli furtki.*

ale także straci sens (na rzecz dynamiki) kategoria „starca z sepii” i „sztandarów z bibułki”. Kiedy rozpęda się pewną machinę – a taką jest umysł odbiorcy – nie można wymagać, by w pewnym ważnym momencie machina ta zwolniła. Nie pomoże ani kursywa, ani kolaż wrocławskiej artystki, ani „Marks” (W MODNYCH KLUBACH UDAJEMY SMUTNYCH REWOLUCJONISTÓW), ani „youtube” (W SERIACH, WYDANIACH KOLEKCJONERSKICH). O ile cios van Damme i kopnięcie Chucka każdy może sobie prześledzić w domu korzystając z odpowiednich funkcji odtwarzacza DVD, tak z kontrolą umysłu rzecz ma się inaczej.

Jacek Dehnel, Tytan z plastiku

Był rok 1980. Naród, który na ustach czuł jeszcze metaliczny posmak papieskiego pierścienia szykował się do odnowy duchowej i do odnowy tej ziemi – polskiej ziemi. Czujne oko władzy dostrzegło ów zamiar i władza także postanowiła się przygotować na odebranie kolejnego porodu idei w historii. Zmobilizowano ZOMO, wojsko i MO. Rozdano dodatkowe komplety uzbrojenia. Na resortowych wtryskarkach wyprodukowano odpowiedni zapas gumowych pałek. A generał w zaciszu swego gabinetu pisał przemówienie do narodu. Na słowa: „Obywatelki i obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej! Zwracam się dziś do Was jako żołnierz...” naród będzie musiał poczekać jeszcze rok.

Ale rok 1980 obfitował także w wydarzenia niezwykle, przy których wyczyny solidarnościowców tęskniących za ciepłymi posadkami w zarządach związków zawodowych blakną. Otóż w tym roku urodził się słynny bramkarz Artur Boruc, który pełnię swego talentu ujawni w 2009 r., w eliminacyjnym meczu z Irlandią Północną. Dwa miesiące później tego samego roku przyszła na świat Anna Mucha. Kto nie zna Anny Muchy – kobiety, która słynie z tego, że w tydzień czasu jest w stanie zgubić 14 kilogramów tłuszczu z okolic brzucha i bioderek? A jej mimikę, w szczególności sposób mrugania prawym okiem przeszedł do kanonu warsztatu aktorskiego. Podobno sztuki puszczenia oczka na tzw. „Muchę” uczą w rosyjskiej szkole baletu, pekińskiej operze oraz w Hollywood.

Sześć dni po tym jak odtwórczyni roli Madzi w serialu *M jak Miłość* ujrzała pierwszy promień sztucznego oświetlenia na sali porodowej pani Dehnel powiła synka, różowego bobaska, któremu dano na imię Jacek.

Jacek Dehnel urodził się 1. maja 1980 r. Oprócz tego, że był to dzień wolny od pracy, to także był to dzień szczególny, skoro niespełna tydzień po narodzinach literata, biskupi zebrani na Konferencji Episkopatu Polski ostrzegli przed „*niepokojącymi zjawiskami negatywnymi w życiu społecznym, kulturalnym, gospodarczym, i politycznym*”.

Jakie to zjawiska mieli na myśli władarze kościoła rzymskokatolickiego w Polsce? Dziś możemy się domyśleć i podziwiać zdolności profetyczne episkopatu wspieranego mocami pozaziemskimi.

Jacek Dehnel, jak można przeczytać w licznych biogramach jest: polskim gejem, poetą, tłumaczem, prozaikiem i malarzem. Interesuje się rysunkiem. W wolnej chwili zasiądzie u boku pana dyrektora **Zachęty**, to wystąpi w TVP (nie mylić z TVN Turbo). „*Jego wiersze były tłumaczone m.in. na baskijski, francuski, gaelic, lotewski, słowacki, słoweński*”. Sam zaś zabłysnął jako Laureat Nagrody Kościelskich (2005) i Paszportu Polityki (2006). Jest też znany z tego, że niektórych nagród jak Angelus (2007) i Nike (2009) nie dostał, chociaż było blisko. Sam o sobie mówi:

żelu nie używam, we fraku chodzę wyłącznie do opery (i z pewnością nie noszę do niego melonika), zwrotu “kurwa mać” nie stosuję

[Jacek Dehnel | 2007-06-03 13:16:35]

O poecie Jacku Dehnelu świat usłyszał od innego poety – **Czesława Miłosza**. Ów utytułowany przyjaciel Iwaszkiewicza natychmiast dostrzegł potencjał w dorastającym młodzieńcu. Przeczytawszy (albo i nie) *Żywoty równoległe* (wyd. 2004) napisał:

„Pojawienie się nowego i niewątpliwie prawdziwego poety jest zawsze rzeczą radosną (...). Poetyka jego wierszy jest mi bliska i nie ukrywam, że ona to skłoniła mnie do tego pochlebnego sądu”

Niestety, nie dane było mu się zbliżyć oraz zaznać pełni smaku poetyki „nowego i niewątpliwie prawdziwego poety”, bowiem tuż po lekturze debiutu młodzieńca Czesław Miłosz zmarł. Jedni mówią, że ze starości. Inni milczą.

Namaszczonemu **Krzyżmem Czesława**, młodemu poecie z dnia na dzień zrobiło się jakby lżej, jakby łatwiej.

Ale nie wszyscy jednak podzielali wiarę Miłosza w potencjał drzemiący w Jacku Dehnelu. Oprócz przebrzydłych zawistników łasych na trofea, które przypadły w udziale utalentowanemu młodzieńcowi uwagi krytyczne zgłosił też wybitny znawca literatury polskiej i światowej, ekspert w dziedzinie poezji i kosmicznych znaków von Daenikena, krytyk, prozaik i poeta – **Jakub Winiarski**. W recenzji *Żywotów równoległych* Winiarski napisał:

„Cóż, mnie, człowieka innej epoki zdecydowanie mniej przekonały utwory Jacka Dehnela i skromniejszy jest mój zachwyty, a w istocie: zachwyty we mnie generalnie brak. Mnie wiersze Dehnela kojarzą się ze stylistycznymi wprawkami, zręczne to i bez błędów, ale – paradoks taki dostrzegam – wierszem jest tu nie każdy wiersz. Nie przekonuje mnie sprytny zabieg antydatowania utworów, mający uwiarygodnić ich językowy anachronizm i stylizację, nie bawią mnie koncepty quasi-klasycystyczne w dedykacjach (”Niegdyś niesłusznie dedykowane pannie...”) i tylko dandysowska aura tej liryki wydaje mi się poruszająca, bo śmieszna”

Jacek nie zraził się słowami krytyki. Nie miał zresztą ku temu powodów, gdyż błogosławieństwo Czesława Miłosza otworzyło mu drzwi salonów literackich. Rok po debiucie młodzieńiec odbierze **nagrodę Kościelskich**. Później **Paszport Polityki** za rok 2006 w kategorii „literatura”. Do szczęścia brakuje jeszcze **Nike**, **Angelusa** i oczywiście **Nobla**.

Zastanawiające jednak jest to co się stało z wybitnym krytykiem – Jakubem Winiarskim.

Otóż wystarczyło kilka miesięcy by krytyk zrozumiał krytykowanego poetę – uświadomił sobie, w którym momencie popełnił błąd. W recenzji kolejnego tomiku Dehnela: *Wyprawy na południe* (wyd. 2005) Winiarski napisał:

„już Dehnela lepiej rozumiem, już mnie nie rozbawia tak bardzo jego emploi, uważam, że emploi nieważne, bo Dehnel ma talent bardzo duży i że ciekawsza jest jego wersja klasycyzmu od wielu, jakie pojawiły się na polskiej scenie poetyckiej w ciągu ostatnich przynajmniej dziesięciu lat.”

Ale taka samokrytyka nie zadowoliła Winiarskiego. Obcując z dziełami Jacka Dehnela długo, często i namiętnie w 2006 r. Jakub w recenzji zbioru pt. *Wiersze 1999-2004* (wyd. 2006) wyznał:

„Poezja Jacka Dehnela – a przynajmniej wiersze do tej pory przez niego napisane – najmocniej chyba stawia pytanie o czas. Ale nie w sensie jego łatwego do zaobserwowania „przemijania”, lecz w jego tajemnym stosunku do kultury i sztuki, której najdoskonalsze wytwory przejawiają się jak gdyby w przestrzeni, gdzie władza czasu nie sięga, lub sięga słabiej, ze znacznie stępionym ostrzem. Zdaniem tym – poza wszystkimi dalszymi ich implikacjami – chciałbym dziś zasygnalizować zmianę swojego nastawienia do poezji Dehnela, z którą pierwsze moje zetknięcie, jak dziś to widzę, nie było bardzo fortunate.”

W niespełna dwa lata „stylistyczne wprawki” zmieniły się w dzieła filozoficzne, w których mędrzec rozstrzyga istotę sekundy, minuty i godziny zadając pytania o sens czasu i przemijania.

Dokonał się cud pierwszy – **Nawrócenie Krytyka**. Cudem drugim była przemiana dandysa w filozofa. Jacek Dehnel bardzo dobrze odnalazł się w tej roli. Jako filozof – miłośnik mądrości wszelkiej – zna się na wszystkim, wszystko umie i w ogóle jest taką intelektualną złotą rączką. I tak:

J a c k a S t o s u n e k d o p o l i t y k i .

Jest rok 2006. Władzę w Polsce przejęli bracia Kaczyńscy. Roman Giertych jako minister edukacji zarządza na poziomie szkół podstawowych, w gimnazjach i w szkołach średnich obowiązkową uniformizację. Przy okazji – w trosce o dobro duchowe narodu – zabrał się za „oczyszczanie” kanonu lektur z elementów antypolskich. Wylatuje m.in. Gombrowicz.

Jacek Dehnel nie pozostał obojętny na takie niszczenie dziedzictwa kulturowego. Pograżył się w filozoficznej zadumie, przemyślał wszystko raz, przemyślał drugi raz. Następnie zebrał się w sobie i jednym tchem wyrzucił ze swojego filozoficznego wnętrza następującą myśl:

to, co robi polski minister edukacji jest, moim zdaniem, żenujące. Minister Łybacka była żenująca, minister Wiatr był żenujący. Ale Giertych i Orzechowski to już spełnienie najgorszego koszmaru, to nieuctwo jakiego nawet Ochab chyba nie reprezentował.

[Jacek Dehnel | 2007-06-03 14:31:51]

Prawda, że to głęboka myśl? A wszystkim, którzy zgłosiliby pretensje do takiej oceny relacji kultura – kolejni ministrowie rządów zaczynając od roku 2004, Dehnel odpowiada:

ja, jako obywatel kraju, który opłaca tych patafianów, mam święte prawo krytykować ich, kiedy w sposób oczywisty kompromitują siebie i Polskę, udowadniając zupełny brak kompetencji.

[Jacek Dehnel | 2007-06-04 20:36:59]

Tworząc podwaliny nowej koncepcji myśli politycznej, w której kluczową rolę odgrywać będzie kategoria: „żenujące”, „żenująca” i „żenujący” oraz pojęcie „najgorszego koszmaru” i „patafiana” Jacek Dehnel objawił się jako doskonały teoretyk polityki dorównujący Clausewitzowi, co zapewne nie zostanie przeoczone przez biografów.

Traduttore traditore

Unikalny talent Dehnela ujawnia się szczególnie w jego roli jako tłumacza. I tak, w lipcu 2009 r. na portalu nieszufkada.pl publikuje tekst **Carla Sanburga** pt. *A Coin, Bronzes*.

Translatorski kunszt Jacka Dehnela objawia się nie tylko w dziele ale i w polemice z argumentami krytycznych czytelników. Oto dowód.

Pierwsze wersy oryginału Dehnel przetłumaczył następująco:

*Wasze zachodnie głowy tutaj, odlane w metalu,
Dwaj, którzy razem się zacierają,
Wspólnicy we mgle.*

[Jacek Dehnel 2009-03-16 00:43:08]

Jedna z krytycznych czytelniczek zwróciła uwagę na osobliwość wspólników zacierających się we mgle. Przeczytawszy oryginał (*Your western heads here cast on money, / You are the two that fade away together / Partners in the mist*), poszperawszy trochę w głowie, trochę w słownikach **Ewa Poniecka** – bo o niej mowa – zwróciła utalentowanemu tłumaczowi uwagę, że:

*Pan chyba nie rozumie wiersza “Moneta”, nie można tłumaczyć tak mechanicznie jak Pan to robi, lecz należy poznać kontekst i sens słów.
tłumaczy Pan początek:*

*Wasze zachodnie głowy tutaj, odlane w metalu,
Dwaj, którzy razem się zacierają,
Wspólnicy we mgle.*

toż to brednia buffo i jakaś nieudolna kalka!

Po pierwsze monety się bije (tutaj cast) a nie odlewa, odlewa się dzwony, czy armaty lub pomniki, monety się bije. I jest to w języku polskim związek frazeologiczny “bić monetę”, który też doskonale oddaje proces technologiczny, polecam na Żelaznej przed Mennicą Polską obejrzeć wystawioną prasę... do bicia, nie do odlewania.

a dalej w tłumaczeniu zagubiony jest Pan jak dziecko we mgle:

*“Dwaj, którzy razem się zacierają,
Wspólnicy we mgle.”*

*czy Pan w ogóle orientuje się o czym mówi wiersz w oryginale, do czego się odwołuje?????
Można pomyśleć, że pisze Pan, ni w pięć ni w dziewięć, o jakichś bimbrownikach pędzacych samogon na zacierze gdzieś w leśnej mgle koło Limanowej...*

Panie Jacku, bardzo lubię Pańską prozę, ale do poezji to Pan głowy nie ma i poza powielaniem schematycznych form jak pantum, pokazuje Pan, nie po raz pierwszy, że poezji Pan nie czuje.

[Ewa Poniecka | 2009-03-16 14:02:00]

Nasz bohater nie zdał się zbić z pantałyku. Nie takie zarzuty odparł, nie takie uwagi przeżył. Z wrodzoną sobie finezją i taktem odpowiedział:

Fajnie, że Pani mnie posyła do mennicy (mam niedaleko), ale wystarczy do słownika – gdyby Sandburg chciał napisać “minted”, to by tak napisał. Nasze “bicie” monety to właśnie “to mint”. “Cast” to “odlewać” właśnie. Proszę nie poprawiać autora, autor wiedział, co pisał.

[Jacek Dehnel | 2009-03-16 21:32:06]

Ewa Poniecka to nie Jakub Winiarski. Zresztą kobiety są złym materiałem na dobrych konwertytów. Pokazując, że w jej żyłach zamiast delikatnej, wycackanej krwi menstruacyjnej płynnie stężony kwas siarkowy odpisała:

*Kompromituje się Pan :)
Pan nie zna angielskiego, już któryś kolejny raz pisze Pan*

*“Good-by” to “Żegnajcie”.
GOOD BYE – Panie Dehnel, or welcome to the dictionary. a “where”(gdzie) myli sie Panu z “when”(kiedy) „My, którzy nadchodzimy, kiedy was już nie ma,”*

twierdzi Pan ze “cast” to odlewać, nie rozumie Pan podstawowych zwrotów, skąd Pan wziął prerie w liczbie mnogiej? I nade wszystko arcynieudolne “Dwaj ktorzy sie razem zacieraja” pomijam błędy z kolejnych wierszy, poziom żenujący:(, obawiam się że byłby Pan bez szans na rozszerzonej maturze z angielskiego.

Bez satysfakcji stwierdzam po tym co Pan tutaj opublikował, że się Pan ośmiesza porywając się na tłumaczenia poezji amerykańskiej. Panie Jacku, wygląda na to że nie zna Pan ani języka ani kultury amerykańskiej. Nie uważam się za znawczynię, chociaż będąc tam 4 razy, przejechałam je wzdłuż i wszerz, Pan jednak jest – Pan wybaczy – ignorantem idącym w zaparte, jak młokos.

*ps.
Wracając do “cast”, może Pan sobie “odlewać” nawet “w metalu”, ale będą Pana polewać. Może zacznie Pan uczyć Amerykanów angielskiego i wytłumaczy im to słówko.*

Ten prosty wiersz Pana przerasta, od początku do końca Pan bredzi i nawet do głowy Panu nie przychodzi, że słowo cast dotyczy wizerunku “western heads” który może być przedstawiony (cast!) na banknocie lub monecie, jak głowy prezydentów, Statua Wolności, Indianin czy inne.

Pan odlewa z metalu monety magicznym słówkiem cast w dehnelowym rozumieniu. Pozostaje tylko powiedzieć Panu w dehnelowym angielskim “good-by” czyli Dehnylu żygnaj:)

[Ewa Poniecka | 2009-03-17 00:14:42]

Jacek, mianowany 2006 r. przez Winiarskiego na filozofa, ma tę rzadką przypadłość, że nie myli się nigdy (z akcentem na „nigdy”). Wybadawszy po tonie wypowiedzi, że Ewa Poniecka nie da się łatwo przekonać do jego wersji angielszczyzny, że jest ona tego rodzaju kobietą, której definicje zapisano w słowniku pod literką W jak Walkiria postanowił użyć argumentu terminalnego, który ostatecznie przechyliłby szalę zwycięstwa w tej jakże zaciętej polemice na jego stronę. Stawka jest niebagatelna. Nie chodzi tu o „odlewanie” czy „bicie” monet, nie chodzi tu też o poezję, literaturę i jakość przekładów literackich ale o prestiż. Jeżeli chodzi o kwestie prestiżu i honoru Jacek Dehnel działa szybko i bezkompromisowo – niczym legendarna brzytwa Okchama (sic!). Odpisał:

P. Poniecka:

Jasne, że nie znam angielskiego. Dlatego właśnie kończyłem klasę dwujęzyczną z wykładowym angielskim, pisałem z angielskiego maturę, a magisterium – z translatoryki na przykładzie Larkina.

[Jacek Dehnel | 2009-03-16 23:52:32]

I wszystko jasne.

Inny rodzaj uzdolnień translacyjnych Jacek objawił przy okazji pracy nad przekładem wierszy łotewskiego poety **Karlisa Verdinsa** (**Karlis Verdins**, *Niosłem ci kanapczkę*, wyd. 2009). O tym, że Jacek jest dobry z angielskiego, bo zdawał z tego języka maturę o tym wiemy z jego rozmowy z Ewą Poniecką. Ale czy Jacek Dehnel miał ocenę celującą z łotewskiego? Podobne pytania nurtowały innych miłośników poezji:

Tłumaczył Pan z łotewskiego? To jestem pod wrażeniem, bo ja wiem tylko, że “nams” to dom, “”iela” to ulica, “kalns” to wzgórze, “parstavnieciba” to przedstawicielstwo, a “filiale” to filia, oddział. Wiem, bo dwa lata temu zakładałem w Rydze przedstawicielstwo spółki, w której pracuję, a rok temu musiałem je przekształcić w oddział:-)

[Maciek Froński | 2009-06-07 22:48:07]

Jacek Dehnel odpowiedział:

Nie znam łotewskiego.

[Jacek Dehnel | 2009-06-07 23:51:46]

Zatem jak powstało polskie tłumaczenie wierszy łotewskiego poety Verdinsa? Przetłumaczyć instrukcję obsługi pralki można przy użyciu słownika. Do tego nie trzeba specjalnej wiedzy filologicznej. Ale tłumaczenie poezji to inna sprawa. Czyżby kolejny cud? Wszystkich zainteresowanych tłumacz Dehnel odsyła do „Od tłumacza”, w którym wszystko wyjaśnia.

Ale jak to w życiu bywa znaleźli się tacy – nazwijmy ich „konserwatystami” – którym rewolucyjna metodologia przekładu się nie spodobała.

Pierwszym był **Andrzej Tchórzewski** – poeta i tłumacz, który występując pod pseudonimem „lusia gremplarka” napisał:

byli już tacy, którzy tłumaczyli z gruzińskiego nie znając nawet liter gruzińskiego alfabetu lub z nieistniejących języków takich jak mołdawski(rumuński używany w Mołdawii) czy tadżycki(perski z Tadżykistanu.)Tłumaczenie z “rybek”(przekładów filologicznych) kojarzy się z socrealizmem i ociera o hochsztaplerkę. Zapewne “lansowanie” (głównie siebie),bo żeby coś zasadnie promować z jakiejś literatury trzeba znać tę literaturę i wiedzieć, co wybrany przez nas autor znaczy w tej literaturze. W przeciwnym razie jest to zwyczajna dezinformacja przypadku współpracy pracy z “nejtiwem” są jeszcze problemy psycholingwistyczne i pytanie o zakres kompetencji językowych “współpracownika”(Kłania się “późny” Chomsky).Naturalnie, końcowy rezultat może być zupełnie znośny, zwłaszcza dla osób wierzących w cuda. Weryfikowalność takich przekładów jest bliska zeru. Sprawę ratuje cmokierstwo lub snobizm.

[lusia gremplarka | 2009-06-08 22:42:39]

Inny tłumacz i poeta – **Roman Kaźmierski** – podzielił pogląd Tchórzewskiego:

Nie akceptuję tzw. rybek, jako sposobu na tłumaczenie z innego języka. Po ponad 25 latach pobytu i znajomości języka szwedzkiego w jego wszelkich wariantach (co było nieodzowne w moim zawodzie), mam coraz więcej wątpliwości, niepewności itp. niż w początkowych latach życia tutaj.

(...)

Przez szacunek dla Autorów obcojęzycznych, przez szacunek dla ich języka, przez pokorę wobec nieprzetłumaczalności poezji w ogóle – znając i język, i literaturę szwedzką, przekładam bardzo rzadko, z wielkimi oporami i poczuciem niepowodzenia.

Życzę, oczywiście, powodzenia temu tomowi lotewskich wierszy. Pozdrawiam -

Roman Kaźmierski

[Roman Kaźmierski/nrml | 2009-08-06 21:58:55]

99,99 % populacji tego świata przyznałoby rację Kaźmierskiemu i Tchórzewskiemu. Zresztą chłopaki wiedzą, o czym piszą. Pierwszy od lat przekłada z języka szwedzkiego drugi tłumaczy poezję anglosaską, francuską, gruzińską i hiszpańską. Ale pozostała jedna setna populacji uważa owo przekonanie, że: „tłumaczy się teksty z języka, który się zna” w epoce komputerowych programów tłumaczących, słowników elektronicznych, translatorów google’a jest zwykłym anachronizmem. Trzeba przecież iść z duchem czasu!

Wydaje się, że i Jacek Dehnel należy także i do tej mniejszości. Przypuszczenie owo potwierdza jego odpowiedź starszemu koledze :

Pański argument sugerował nie wprost, że należy mieć za sobą ćwierć wieku obcowania z językiem, żeby przekładać – oczywiście muszę się zgodzić z tym, że wieloletnie obcowanie z językiem wielce pomaga tłumaczowi. I biję się w piersi, że nie obcowałem przez ćwierć wieku z lotewskim, ale podałem usprawiedliwienie: nie jestem w wieku emerytalnym, ba, nie mam nawet 40-tki i – z uwagi na to, że nie urodziłem się Łotyszem – nie miałem okazji obcować z lotewskim przez tyle lat. Ale równocześnie można podać szereg przykładów na słynne

tłumaczenia, które zrobili poeci nie znający języka oryginału, lub znający ten język krótko i pobieżnie.

[Jacek Dehnel | 2009-08-08 11:50:32]

Teoria przekładu tekstu literackiego Jacka Dehnela to nauka w sobie. Wszystkich zainteresowanych tą rewolucyjną metodologią zachęcam do lektury „Od tłumacza” w Karlis Verdins, *Niosłem ci kanapeczkę*. Książeczkę można kupić na Allegro od SuperSprzedawcy o nicku KoliberGdansk za jedyne 19,99 zł. Niecałe dwie dychy za dzieło rewolucyjne? To prawdziwa okazja.

Oprócz tłumaczeń z (dosłownie) obcych Jackowi Dehnelowi języków, nasz bohater robi karierę w TVP.

T e l e w i z j a P o l s k a

Od września 2006 do czerwca 2009 Jacek występował jako jeden z prowadzących w programie kulturalno-rozrywkowym **Łossskot**. Nie mówił zbyt wiele, ale był i to się liczy. O programie i swojej w nim roli Dehnel pisze:

Program “Łossskot” jest programem, w którym on sztuce wypowiada się trzech dyletantów – użytkowników (i zarazem twórców) kultury, a nie ekspertów. Taka jest formuła tego programu

[Jacek Dehnel | 2007-06-04 20:36:59]

Telewizja publiczna realizowała misję i program ten początkowo emitowany był o przyzwoitej porze. Nie trzeba było polewać się zimną wodą, by doczekać. Trójka prowadzących: muzyk **Tymon Tymański**, dziennikarz **Maciej Chmiel** i poeta Jacek Dehnel odwalali kawał dobrej, kulturalnej roboty. Poprawka. Dobrą robotę odwalał Tymon Tymański, który sposobem ekspresji oraz artystyczną energią przytłoczył kolegów. Doszło do tego, że Jackowi pozostało się tylko uśmiechać przed kamerą.

Ludzie to zauważyli. Niektórym zrobiło się przykro. Inni zaś odnieśli wrażenie, że ekscentrycznie ubrany młodzieniec, z czarną laseczką w dłoni jest elementem wystroju wnętrza studio nagrań. Pojawiły się więc głosy: „Jacku! Dlaczego? Powiedz, dlaczego to robisz?!” A ten, nigdy obojętny na głosy swoich fanów, odpowiedział:

pracuję tam dla pieniędzy, bo np. do komfortu pracy potrzebuję własnego mieszkania bez współlokatorów (choćby najmilszych) i martwienia się, czy znajdę kogoś do wolnego pokoju od września, potrzebuję książek, płyt i od czasu do czasu wyjazdu w jakieś miłe miejsce. A dzięki Łossskotowi mam to dzięki stosunkowo interesującej (rozmowy o kulturze) pracy na względnie rozsądnych warunkach.

[Jacek Dehnel | 2008-10-03 17:28:4]

Zaś wszystkim tym, którym się nie podoba jego telewizyjne wcielenie radzi:

Jeżeli jakość Łossskotu jest dla Pana za nisko, to przecież nikt Pana nie zmusza do oglądania tego programu. Ja nie oglądam, ba, nawet telewizora nie mam – i żyję.

[Jacek Dehnel | 2008-10-11 23:55:38]

Czy to nie dziwi, że współtwórca programu nie ogląda swojego dzieła?

Wkrótce, kiedy okazało się, że oglądalność **Łossskotu** porównywalna jest do oglądalności reklamy pianki do golenia emitowanej o wpół do szóstej rano, pojawiły się plotki o tym, że ów program kulturalno-rozrywkowy może zniknąć z anteny. Czy Jacek się zmartwił? Nie chodzi o pieniądze, ale o kulturę, która bez **Łossskotu** byłaby przecież uboższa. Jaka była jego reakcja, kiedy w lipcu 2009 r., w Gazecie Wyborczej ukazał się tekst pod tytułem: „Program kulturalny w TVP nie potrzebny”? Dehnel odpowiada:

wieści o likwidacji “Łossskotu” chodzą od dwóch lat mniej więcej :) A ja na szczęście przynajmniej od roku jestem w komfortowej sytuacji “będzie, to będzie, nie będzie, to nie będzie”. Oba rozwiązania mnie satysfakcjonują, co jest bardzo wygodne.

[Jacek Dehnel | 2009-08-02 08:56:36]

Kolejnym pracodawcom Jacka Dehnela życzymy tak utalentowanego pracownika, który nade wszystko ceni sobie „komfortowe sytuacja”. Jego podejście „będzie, to będzie, nie będzie, to nie będzie” nie jest może tak rewolucyjne jak tłumaczenie poezji z dosłownie obcych języków, ale jakże modne i popularne.

N a z a k o ń c z e n i e

Za sto lat każdy historyk literatury, który podejmie się próby analizy fenomenu Jacka Dehnela, będzie musiał odpowiedzieć na pytanie: „czy on był zawsze taki?”. Otóż, co może wydać się niebywale (choćby kategoria „niebywale” nie ma jeżeli chodzi o Jacka Dehnela zastosowania), już dziś z łatwością można znaleźć odpowiedź. Otóż: on zawsze taki był. Był najlepszy w przedszkolu, podstawówce, liceum i na studiach.

Hola, hola! – ktoś mógłby przerwać opowieść i zadać pytanie: „A gdzie matura?” Tym ciekawskim odpowiada jak zwykle nasz filozof, poeta, prozaik, tłumacz, malarz:

Maturę z rozszerzonego angielskiego, dziękuję, zdałem w 1999 roku na 6.

[Jacek Dehnel | 2009-03-16 23:52:32]

Później były studia. Studencka asceza, życie wolne od imprez, z dala od studentek, które w okolicy 2.-3. roku zrobią wszystko, by złapać męża, opłaciło się:

Nie musiałem płacić za warunki i powtarzanie, bo zdałem wszystkie egzaminy.

[Jacek Dehnel | 2008-12-08 23:09:34]

W pocie czoła, rezygnując z przyjemności tego świata, żyjąc życiem pełnym wyrzeczeń nasz bohater otarł się o absolut. I nie chodzi tu o gatunek wódki, ale o szczególny rodzaj wiedzy, która stała się wycuciem a wycucie wiedzą w dodatku w skórkowej oprawie z nadrukiem PWN. Jacek Dehnel objawia światu swoją najgłębszą tajemnicę:

Tak się składa, że moje wycucie i moja wiedza są zgodne ze słownikiem

[Jacek Dehnel | 2008-11-13 16:43:08]

I cóż, na zakończenie chciałoby się dodać: *“Zatem na kolana chamy!”*

[Wszystkie cytaty - wypowiedzi Jacka Dehnela i innych bohaterów felietonu pochodzą z portalu nieszufkada.pl]

Justyna Bargielska, Dwa fiaty

Pierwszego sierpnia 2009 roku, trzydzieści siedem minut po godzinie dziewiątej Miłosz Biedrzycki (MLB) zjadł drugie śniadanie, popił je kawą i wyraźnie ukontentowany klepiąc się po brzuchu wyznał:

„Zawsze się cieszyłem, kiedy mogłem prosto i jasno wypowiedzieć swoje zdanie o wierszach, które przeczytałem z przyjemnością. Tak jak to się stało np. na książkach Szczepana Kopyta czy Moniki Mosiewicz. Znacznie częściej zdarzało się, że w jasnych i prostych słowach musiałem odmawiać publicznego wyrażania swojej opinii, bo wiersze niewystarczająco mi się spodobały - ale o tym wiedzą autorzy i wydawcy, którzy zwracali się do mnie z takimi prośbami.”

Ilu wydawcom, ilu autorom Miłosz Biedrzycki musiał odmówić publicznego wyrażenia swojej opinii – tego nie dowiemy się nigdy. A szkoda. Warto byłoby poznać preferencje estetyczne człowieka, który jednocześnie potrafi zachwycić się głębokimi i nasączonymi filozofią kontynentalną tekstami Szczepana Kopyta (*Yass*) i odmóżdżoną, poskładaną w wersy sieczką rymującej pani prawnik – Moniki Mosiewicz (*Cosinus salsa*). Że na „prostą i jasną wypowiedź” Biedrzyckiego na temat dzieł Moniki Mosiewicz nie miało wpływu to, że razem tyrają w projekcie pod tytułem PoeWiki – o tym wszyscy wiedzą. Nikt nie śmie wątpić w to, że dzieła uduchowionej prawniczki:

*Ty pokrętna lampucero,
Zabier od mojego pice!
Wredna małpo jak cie spiero!*

albo haiku:

*ławka pod blokiem
żubr powoli wychodzi
zaraz dwunasta*

Miłoszowi Biedrzyckiemu się po prostu podobają. Że są po prostu nadzwyczajne. Po prostu odkrywcze. Po prostu wybitne. Są po prostu po prostu – chciałoby się podsumować odwołując się do postulatu prostoty i jasności, którą MLB zaprzęgał dla potrzeb krytyki literackiej.

Nie jest to pomysł zły. W notkach o książkach, wydanych tomikach roi się od potworów – zdań albo nawet całych akapitów, których zrozumienie przekracza możliwości filozofów analitycznych. Żeby nie być gołosłownym pachnący wydawniczą farbą przykład:

O najnowszym debiucie Przemysława Witkowskiego, Przemysław Owczarek pisze:

„Ta poezja żywi się asocjacjami, symbiozą odległych znaczeń, odkrywa świat nie w leksykalnych dystryktach i stratyfikacjach, ale w melanżu ich zasobów.”

Ktoś mógłby powiedzieć, że przykład Owczarka jest chybiony. Wszak jego kontakty na niwie poezji z obcymi cywilizacjami są powszechnie znane i że być może tym razem jako poeta będący na statku kosmicznym przyjął zbyt dużą dawkę promieniowania. Stąd te asocjacje, stratyfikacje i inne dziwne słowa. (Ciekawe czy o kolejnym debiucie Przemysława Witkowskiego wypowie się Przemysław Owczarek w podobnej manierze czy może zrobi to w języku robotów jako C3PO, gdzie PO będzie skrótem od imienia i nazwiska . Ale czas przyszedł zostawmy swobodnemu biegowi wydarzeń.)

Wracając do Miłosza Biedrzyckiego i jego prostoty. Kiedy MLB wypowiada się na temat książek czy wierszy swoich kolegów i koleżanek, które „przeczytał z przyjemnością” to robi to zwykle po kartezyjsku: *clair et distinct*. Kult prostych słów, zdań prostych, prostego sposobu myślenia, prostych rachunków 2+2 – tego chciałoby się wymagać od każdego szanującego się krytyka literackiego.

Jedną z ostatnich znanych książek, które spodobały się Miłoszowi Biedrzyckiemu jest tomik Justyny Bargielskiej pt. *Dwa fiaty*. Wiadomo skądinąd, że MLB zawsze ucieszy się, kiedy będzie mógł się wypowiedzieć jasno i prosto na temat książek, które mu się spodobały. Każdy człowiek lubi się cieszyć i dąży do tego, by mógł się cieszyć jak najczęściej i jak najdłużej. Dlatego pragnienie Biedrzyckiego wyrażenia swojej opinii jasno i wyraźnie i w tym przypadku jest zrozumiałe i ma swoje psychologiczne uzasadnienie. Biedrzycki ciesząc się pisał, pisząc cieszył się a cieszył się i pisał tak:

„Justyna Bargielska już w swoich wcześniejszych książkach dała się poznać jako jedna z najoryginalniejszych i najbardziej wyrazistych współczesnych polskich poetek. Tym razem proponuje nam podróż Dwoma fiatami, odznaczającą się wirem kalejdoskopowych obrazów, wirtuozerią składni i fundamentalnymi pytaniami zadawanymi w sposób, wobec którego trudno pozostać obojętnym. Tak, jakby do pierwszego, przedustawnego fiat! poetka mocą swojej mowy i umysłu dodawała własne, drugie fiat! – czasem polemicznie, czasem aprobując, zawsze poruszając.”

(Miłosz Biedrzycki o książce *Dwa fiaty*.)

Uważny czytelnik prawdopodobnie kilka lat poświęci rozmyśleniom nad powołaną przez Biedrzyckiego do życia kategorią: „pierwszego, przedustawnego fiat”. Na końcu i tak okaże się, że synteza *harmonia praestabilita z fiat* - nawet tym z silnikiem o rekordowej pojemności pół litra, który produkowała FSO – pozostanie wieczną tajemnicą swego stwórcy, który w przerwach między myśleniem, jedzeniem i śmianiem się ma zwyczaj przechadzania się po nieznanych nikomu ścieżkach.

Nie zwalnia to jednak z poznania literackiej *causa prima* tego radosnego i jakże twórczego uniesienia, którym Miłosz Biedrzycki postanowił podzielić się ze światem.

W związku z tym należy sięgnąć do źródła – tomiku Justyny Bargielskiej pt. *Dwa fiaty*.

Justyna Bargielska podłączona do programu (grupy dyskusyjnej) kserokopia.art.pl wydawała swoje wcześniejsze książki w oficynie wydawniczej Jarka Łukaszewicza. Ta jednak splajtowała (właściciel i redaktor wydawnictwa kserokopia zmuszony był do uczestnictwa w podręcznym konkursie organizowanym przez GOK, by móc wydać swoją książkę! Cóż za upodlenie dla poety-wydawcy, który ma na swoim koncie takie szlagiery jak *th* Edwarda Pasewicza.) i autorka zmuszona była znaleźć innego wydawcę.

Czy szukała długo, czy krótko – o to należałoby zapytać autorkę. Ostatecznie książka ukazała się w poznańskiej serii: Biblioteka Poezji Współczesnej.

Kilka uwag wstępnych.

Pierwsza sprawa – fatalny tytuł. I tym nie należy się przejmować. Chociaż jakiś złośliwiec mógłby powiedzieć, że w porównaniu z *China Shipping* i *Dating session* tytuł *Dwa fiaty* to i tak jeżeli nie przełom jakościowy w twórczości artystki to przynajmniej miłowy krok w dobrym kierunku.

Zanim napiszę o „drugiej sprawie” pozwolę sobie zacytować pierwszy tekst z tomiku:

*Lęk jak ze starej książki: ona się boi, że może stać się panterą
i wcale jej to nie podnieca, bo co robi pantera? Czy pantera może
nie zamykać ust do zdjęcia, czy może iść spać w swoich nowych
[butach?*

*Pantera czerstwi chleb, na który spojrzy, ma taki dar.
Młynarka ma dar też fajny, że ożywia mięso.
Ale jedno chciałaby mieć z pantery: gdy ktoś przychodzi i mówi
pociąg, który istnieje tylko w rozkładzie, właśnie odszedł, umieć
powiedzieć ach, tak? a nie próbować zjeść słońce, żeby nie zaszło.*

[Piękna młynarka]

Druga sprawa - przed przystąpieniem do lektury należy korzystając z żyłki i nożyczek wyciąć:

- 1) z Gazety Wyborczej z nagłówka: „Uwaga, rząd zapowiada podwyżki” słowo: „Uwaga”
- 2) z Tygodnika Powszechnego wyciąć stały fragment z działu recenzje: „to jest książka o”
- 3) przy użyciu kleju / taśmy klejącej połączyć słowa „uwaga” oraz „to jest książka”
- 4) z odpowiednimi fragmentami tekstu o Alicji Tysiąc opublikowanymi w Gościu Niedzielnym tak by powstał napis:
- 5) „Uwaga, to jest książka o stracie ciąży”

I teraz zacytuję drugi tekst z tomiku *Dwa fiaty*:

*To musiał być dzień Bożego Ciała. Starsza kobieta
wiodła za sobą okazałą donicę: córciu, córciu,
gdy umrę, co się z tobą stanie. A ja nie mogłam ci
starsza obiecać kobieto, że jej nie zjemy, niedokładnie znam zwyczaje
mojego gatunku, nie na tyle dokładnie.
Widuję nas, jak przystajemy na rogach ulic,
wyjmujemy z portfeli zdjęcia budynków krytych złotymi kopułami
i pokazujemy je sobie nawzajem, mężczyźni i kobiety,
starzy i młodzi, ale czy tęskniąc, czy grożąc, nie wiem.
To musiał być ten dzień, wzdłuż torów
albo skrajem parku szedł mężczyzna w brązowej marynarce,
niósł piłkarzyki główkami do dołu*

i nic na to nie poradzę, ale słońce, ono chyliło się ku zachodowi.

[Pole bawełny]

Dlaczego cytuję? Otóż sprawa z tomikiem *Dwa fiaty* przedstawia się następująco:

bez uprzedniego założenia, że wiersze te napisane zostały dla kobiet, które straciły ciężę sens tekstów jest na tyle rozmyty, że niezauważalny (np. w tomiku Zdanowicz, *Jak umierają małe dziewczynki*, była sytuacja odwrotna). Justyna Bargielska ciągle pisze szyfrem wierząc, że kategoria „cierpliwości i wytrwałości czytelnika” ma przynajmniej jeden desygnat. Moim zdaniem autorka tomiku *Dwa fiaty* popełnia błąd „szyfrując”, „kamouflując przekaz” a jej wiara w cierpliwość odbiorcy przypomina przekonanie Miłosza Biedrzyckiego, że istnieje coś takiego jak „przedustawne fiat”.

Oto przykład:

*Nikt nie umarł w tym filmie, nikt w nim nie chciał niczego.
Zachręściło w pokoiku, więc wstałam sprawdzić,
zainkubowana podopieczna ośmiuset ton bazaltu, twoja mama.
Ktoś dzwonił domofonem
półtorej, dwie godziny, a potem wstukał kod i sam się wpuścił.
Jak grzyb tęczowy na buzi Matki Boskiej,
tak kwitnie samotność, kobieca i ludzka. Gdy nie snią się stada
utopionych krów, noc lubi przynieść
coraz to głupsze prorocstwo, pięć, cztery,
trzy gwiazdki anyżku, które zostały, żeby wyjść i wrócić,
rzucić pieniędzy oknem, zrozumieć się telepatycznie.*

*Dziecko chce się uczyć o wietrze, o prądzie,
a ja mam ze sobą tylko szal zielony,
byśmy sobie mogły poudawać morze.*

[Na pasku]

O czym byłby ten tekst, gdyby nie założenie: „uwaga, to jest książka o stracie ciąży”? Luźnymi obserwacjami połączonymi za pomocą przecinków i spójników? Jest tu „śmierć w tym filmie”, „zachręszczenie w pokoiku”, jest nawet „samotność, kobieca i ludzka” (To miło, że autorka nie ulega presji społecznej i słusznie, bo zgodnie z naturą, rozróżnia wśród uczuć te, które należą do ludzi i te, które są właściwe dla kobiet), jest „noc” i „sen” i są nawet „uśpione krowy” – ale takie namnożenie zagadek przypomina poukładanie na jednej ścieżce w lesie tysiąca strzałek zrobionych z suchych gałązek, które mają być wskazówkami w zabawie w podchody. Ilu czytelników jest na tym świecie, którym wystarczy czasu i cierpliwości by sprawdzić każdy sens, by pójść w tym kierunku, który wskazuje każda ze strzałek?

Inny tekst:

*Coś jak mapy przed bitwą i ich światło z poczty,
ich brudny śnieg w szparach, ich posiedźcie tutaj
a mama zapoluje, ich dwa kręgosłupy, widok szczegółowy –*

nikt się nie spodziewał, a tutaj wtem nagle.

*I giędy, i ropa
reagują. Sąsiedzi nie mając nikogo nawzajem
wzywają policję do wyjącego wiatru.*

A kiedyś szłam latem po zwiniętych torach

[I konie, i ptaki]

Podobna sytuacja. Kalambur: „mapa przed bitwą” + „ich światło z poczty” + „ich brudny śnieg w szparach” – i w zasadzie te trzy elementy tekstu wystarczą na sześciogodzinna prelekcję na temat znaczenia „mapy przed bitwą”, „ich światła z poczty” itp.

Pytanie, które się pojawia w trakcie lektury tomiku *Dwa fiaty* – dlaczego Bargielska jako poetka rezygnuje z prostoty przekazu? Dlaczego komplikuje tekst i sens tam gdzie w grę wchodzi elementarne uczucia? Dlaczego w miejscu, w którym powinny być emocje, ścisk w gardle, tam gdzie powinna być reakcja kobiety, która na prośbę koleżanki zamiast porodu filmuje urodziny siniego trupka, są kolejne męczące wskazówki rozszerzające pole interpretacji w nieskończoność? Dlaczego Justyna Bargielska w tomiku *Dwa fiaty* stara się za wszelką cenę być – jak to ujął Biedrzycki Miłosz – „najbardziej wyrazistą” i „najbardziej oryginalną” polską poetką? I w końcu: dlaczego w tomiku *Dwa fiaty* zabrakło przede wszystkim kobiety, kobiety która:

*Stała tam i patrzyła, czy oni patrzą na nią, ale nie patrzyli.
I może tylko rząd płaszców ją trochę zrozumiał,
może glina, gdy wyszła, zwróciła na nią swoje
pocziwe, martwe oko.*

[strzela, strzela a jest motylem]

Jako czytelnik chciałbym poparzyć się od Bargielskiej ogniem. Chciałbym aby w każdym fragmencie książki „stała tam i patrzyła, czy oni patrzą na nią”. Chciałbym widzieć Justynę Bargielską - kobietę z jej wnętrzem pełnym ognia i krwi z rozerwanego serca a nie „najbardziej wyrazistą”, „najbardziej oryginalną” poetkę. Kobiety są o wiele ciekawsze niż poetki.

Katarzyna Ewa Zdanowicz, Jak umierają małe dziewczynki

Dawno, dawno temu w pewnej willi w Ameryce

1)

*Weszliśmy do łazienki i on wziął taką małą
żółtą rzecz. Nie wiem, co to było. To było coś
w rodzaju pojemnika. I on wszedł
przede mną. Kiedy ja weszłam, miał pojemnik.
I miał pigułkę przelamaną na trzy części.
I powiedział: 'Czy to jest quaalude?'*

2)

*On mówił: „Chodź tu na dół”.
A potem ja powiedziałam, że mam astmę
i że nie mogę muszę wyjść
z powodu, że zimne i ciepłe powietrze, czy coś takiego.
A on powiedział: „Chodź tu na dół, tylko na chwilę”
Więc w końcu zeszłam.*

3)

*pytanie - Kiedy mówisz, że cię podtrzymywał, to w jaki sposób?
odpowiedź - On miał ręce na moich bokach, tak dokoła tutaj i on był
pytanie - Wokół pasa?
odpowiedź - Tak. Potem on zaczął nimi poruszać, a ja po prostu wyszłam.
pytanie - Czy kiedykolwiek miałaś astmę?
odpowiedź - Nie.
pytanie - Dlaczego więc powiedziałaś mu, że masz astmę?
odpowiedź - Ponieważ chciałam wyjść.*

4)

*Co odpowiedziałaś?
Powiedziałam, że chcę wrócić do domu, ponieważ potrzebuję wziąć moje lekarstwo.
A co powiedział pan P.?
Powiedział: „Tak, niedługo zabiorę cię do domu”*

5)

*Co zrobiłaś?
Powiedziałam mu powiedziałam, że chcę wrócić do domu. Powiedziałam: Nie, muszę
teraz wrócić do domu
Co powiedział pan P.?
Powiedział, że bym poszła do innego pokoju i się położyła.*

6)

*Co się potem stało?
On przysunął się do mnie
i pocałował mnie, a ja mu mówiłam:*

*Nie.
Trzymaj się z daleka.*

*Ale trochę się go bałam,
ponieważ nie było tam nikogo innego.*

7)

*zsunął się w dół i zaczął pieszczoty.
- Co to znaczy?
- To znaczy, że on zszedł na dół na mnie, czyli umieścił swoje usta na mojej waginie.
- Co robił?
- On po prostu lizał i sama nie wiem. Zbierało mi się na płacz. Byłam trochę...
Miałam zamiar... „Nie. Przestań!”*

Ale się go bałam.

8)

*pytanie - Jak długo pan P. miał swoje usta na twojej waginie?
odpowiedź - Kilka minut.
pytanie - Co się potem stało?
odpowiedź - Rozpoczął ze mną stosunek.
pytanie - Co uważasz za stosunek?
odpowiedź - Umieścił swojego penisa w mojej waginie.*

9)

*Czy chcesz,
żebyś wszedł od tyłu?*

*Nie!
Ale P.*

*podniósł moje nogi
i wszedł w mój odbył*

10)

*Kiedy mówisz, że on wszedł w twój odbył, co przez to rozumiesz?
wło-żył swo-je-go pe-ni-sa w mój t-y-l-e-k.*

11)

„Roman, jesteś tam?” P. odpowiedział:
„Tak, właśnie wyszedłem z jacuzzi i się ubieram”

*On podszedł do drzwi, uchylił je i rozmawiał z nią
A ja wstałam, założyłam moją bieliznę i zaczęłam iść*

12)

*Zatrzymał mnie i znowu położył.
Potem zaczął odbywać znowu ze mną stosunek,
a potem po prostu przestał.*

13)

*Ponieważ ja to mogłam poczuć i to było na mojej bieliźnie.
To było na mojej bieliźnie. To było na moim tyłku i na tych rzeczach.*

*pytanie - Mówiąc to, czy sądzisz, że on szczytował w twoim odbycie?
odpowiedź – Tak.*

14)

*Siedziałam w samochodzie i płakałam.
Kiedy jechaliście do domu, czy coś do ciebie powiedział?
Powiedział coś jak... Nie pamiętam, kiedy...*

15)

*Na tym urwanym zdaniu kończy się
36. strona stenogramu protokołu przesłuchania S. G.
przed Wielką Ławą Przysięgłych hrabstwa Los Angeles, 24 marca 1977 roku.*

Wystarczyło 26 lat, by relacje trzynastolatki obrosły kulturowym mchem. Dokładnie tyle czasu musiało upłynąć, by penetrowany trzynastoletni odbył zmienić się w:

*jej ciało kruche i pachnące mlekiem
włosy wilgotne pełne snów i deszczu*

[kurz i blask]

Wiersze Katarzyny Ewy Zdanowicz z tomiku *Jak umierają małe dziewczynki* są dziwne. Bo z jednej strony trudno w nich dostrzec naiwność wpisana w wielkie, wiecznie nienasycone obrazem świata zewnętrznego oczy dziecka. Zdanowicz zamiast próbować przemycić dziecięcą emocję, posługuje się ustalonymi schematami kulturowymi. Umierające dziewczynki są: „kruche i pachnące”. Pachną „mlekiem”. Ich włosy są „pełne snów i deszczu”. Z drugiej strony w tekstach widać wyraźną stylizację na naiwną dziecięcość zarówno w formie jak i w treści. Np. Zdanowicz posługuje się prostym jak dziecięca prośba „chcę pić” i sugestywnym jak okrzyk „chcę kupę!” obrazowaniem:

*o północy plac zabaw przypomina cmentarz
i nikt się już nie bawi w piaskownicy
nie mamy łopatek grabek i wiaderek
idziemy tam się całować i nabijać z ciszy*

[Jaś i Małgosia]

Obrazy świata dziecięcego wzmagane są przez zastosowanie prostej rytmiki. Czytając tekst *SIO* (w kontekście tomiku, jest to fantastyczny tytuł! gratulacje) trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia z jakąś wyliczanką z piaskownicy.

*a on nie kocha wcale jej
i ona też nie kocha jego
leżą nago i gryzą sen
czy to coś złego czy coś złego*

*a on ma siwe krucze brwi
a ona oczy ma jak sarenka
lecz nie wiadomo kto z nich jest zły
czy grzech jest ciężki czy wina wielka*

*a na polach gnije mgła
i wilki wyją pod domami
a on to ty a ty to ja
i strach jest w nas i ponad nami*

[sio]

Ale mimo tych zabiegów w tekstach z tomiku może nie tyle brak jest autentycznych emocji, ale zostały one przerobione. Wygląda to tak jakby poetka zabawiła się poetyckim photoshopem, by z bardzo dobrych tekstów zrobić jeszcze lepsze. Dla przykładu. Oto tekst:

*trzeba zdusić tę iskrę myślała
i zdusiła ją zębami jak pluskwę*

*taka dzielna choć taka mała
umie wszystko przemienić w pustką*

[tomb raider]

i kolejny:

*gdy już ją miał
jej ciało kruche i pachnące mlekiem
włosy wilgotne pełne snów i deszczu
gdy już ją miał
i spała cicho w jego domu
i jadła mu z rąk jak oswojone zwierzę
a blask z niej jak kurz opadał na podłogę*

i przed snem mówiła obudzę się w tobie

zrozumiał że nie ma nic

[kurz i blask]

Tomb Raider jest perłą. Jest jak wyznanie 13. letniej Samantha: „powiedziałam nie i że muszę wrócić teraz do domu”. Ale w drugim tekście widoczne są już narzędzia photoshopa, za pomocą których Zdanowicz najpierw fokuje uwagę na świecie dziecka by za chwilę umiejętnie skoncentrować ją na wewnętrznych rozterkach starszego pana, który naprawdę kocha dzieci. Zrozumienie, uświadomienie wewnętrznej pustki sprawcy – po jednej stronie. Po drugiej „pachnące mlekiem” „jedzące z ręki jak oswojone zwierzę” dziecko. Obrazy, pomiędzy którymi stoi tytułowa tragedia.

Na marginesie: łatwo sobie wyobrazić, że gdyby nie tytuł tomiki i kontekst, wiersz „kurz i blask” mógłby być zupełnie inaczej odczytywany. Mógł świetnie funkcjonować jako liryczna opowieść miłosna. Jestem pewien, że istnieją na tym świecie kobiety, które chciałyby doświadczyć na własnej skórze takiego spojrzenia, które odkryłoby w nich „blask spadający jak kurz na podłogę”

Graficy uważają, że ludzkie oko nie jest w stanie wychwycić edycji graficznej, pod warunkiem, że nie przewyższa ona 25% oryginału.

W wierszach edycje „upiększające” są natychmiast wychwytywane. Pytanie w tym, czy są one udane czy nie. O ile w wyżej omawianym tekście użycie tego narzędzia może się podobać lub nie, tak w innym przypadku zabieg upiększający zniszczył tekst. Na przykład:

*moim ulubionym bohaterem kreskówek jest Jezus
czasami w upały wchodzę do kościoła
posadzka jest chłodna krew pachnie czereśniami
czeszę się jak Maryja mam swego anioła*

.....
chciałabym umrzeć na krzyżu który dla mnie zrobisz

[koncert życzeń]

Ja chciałbym przeczytać ten piękny tekst bez umierania i krzyża i kropeczek. Te cztery wersy (bo chcę czytać tylko cztery wersy) umieszczone na stronie 14. funkcjonują w określonym nastroju lirycznym, w określonej semantyce.

Na zakończenie

Katarzyna Ewa Zdanowicz, *Jak umierają małe dziewczynki*, Wałbrzych 2003

Koncert życzeń

*moim ulubionym bohaterem kreskówek jest Jezus
czasami w upały wchodzę do kościoła
posadzka jest chłodna krew pachnie czereśniami
czeszę się jak Maryja mam swego anioła*

Jarosław Łukaszewicz, trójmasztowiec

Dziesięć euro i osiemdziesiąt centów wystarczy by zaspokoić swoją estetyczną próżność. Za tę sumę można nabyć jedno ze zdjęć Jana Saudka (strona autorska: www.saudek.com) w rozmiarze 60 x 85 cm, oprawić w antyramę i powiesić na ścianie w salonie. Kiedy zaintrygowani i zachwyceni niezwykle fotografią goście będą pytali o autora należy zachować konieczne w takich przypadkach opanowanie graniczące z obojętnością na zachwyty i odpowiedzieć krótko:

- To? Aaa, to. To Saudek.

Oczywiście goście nie będą mogli oderwać wzroku od autorskiej reprodukcji. Będą nasycać się niezwykle zaaranżowaną estetyką. Po chwili milczenia któryś z gości zada pytanie:

- A kto to jest ten Saudek?

Teraz można dać upust swoim najbardziej krwiożerczym instynktom. Spoglądając z pogardą i politowaniem na ciekawskiego ignoranta, z artystyczno-pedalską manierą należy machnąć rączką i powiedzieć:

- Phi! Nie wiesz? No wiesz. Jak możesz nie widzieć? Phi!

Można też powiedzieć głośno:

- Nie wiesz kto to jest Saudek? Naprawdę?

A następnie zwracając się do pozostałych gości zakpić:

- On nie wie kto to jest Saudek? Niebywałe.

Kontemplując towarzysko-salonowy szmer, w którym przewijać się będą słowa: „niebywałe” „nie wie” „jak może? niebywałe”, „doprawdy niebywałe” można spokojnie rozsiaść się w swoim ulubionym, skórzanym chesterfieldzie i wpatrywać się w osobliwy proces wykluczania jednostki. Przyglądać się jak stado białych owiec dystansuje się od czarnej owcy, która jeszcze kilkanaście sekund wcześniej miała taki sam kolor runa co reszta.

Dziesięć euro i osiemdziesiąt centów można zagospodarować inaczej. Można wymienić w kantorze euro na złotówki i za dokładnie 43 złote i pięćdziesiąt groszy kupić sobie tomik Jarosława Łukaszewicza pt. *Trójmasztowiec*. W cenę Łukaszewicz wliczył koszt opakowania (koperta z folią bąbelkową), przesyłki (pocztą poleconą) oraz własnego niezwykle cennego czasu, który poświęci na udzielenie wszelkich informacji drogą telefoniczną na temat stanu realizacji zamówienia. Jeżeli uświadomimy sobie, że długość przeciętnej rozmowy telefonicznej to minuta i jedenaście sekund oraz że w tym czasie zamiast informować Łukaszewicz mógłby napisać przynajmniej jeden wiersz, to dla dobra duchowej substancji narodu będzie lepiej jeżeli zniecierpliwieni opieszałością poczty polskiej nie wybierzemy numeru +48 602 535917 i nie będziemy nękać poety, który w tym czasie na pewno tworzy kolejne dzieła.

Karol Maliszewski tak napisał o *Trójmasztowcu* Łukaszewicza:

Oto tajemnica poezji po przełomie: pękła ta wysoka skała, ten jakiś Ajudah, i poeta spadł wprost na wielopasmową ulicę języka; teraz błąka się tu i tam, wybierając to i owo, by nałożyć na siebie, by spokrewnić to, co do tej pory nie spokrewniano. To coś więcej niż słowna gra, czyli grzebanie w pudle z napisem „puzzle informacyjnego chaosu”. To kategoriyczne oddzielenie się od zbyt łatwo wypowiedzanego świata. Oto tajemnica miary. Umiarkowanie w widzeniu i snuciu. Arnolfini, Łukaszewicz i to trzecie.

Nie mając dostępu do tych pokładów świadomości, które są zarezerwowane tylko dla Karola Maliszewskiego nie zamierzam wnikać w istotę kategorii: „poezji po przełomie”, „jakiegoś Ajudaha”, „pękniętej wysokiej skały”, „spadającego poety”, „języka jako trasy WZ” itp.

Nie przeczę, że mądrości Maliszewskiego niczym kozaczki z futerkiem od Versace pięknie prezentują się na ostatniej stronie okładki, ale jak wyjaśnić sens odbitej pieczętki o treści „egzemplarz prawoskrętny” na jej pierwszej stronie?

Kserokopia.art.pl ma na swoim wydawniczym koncie takie produkcje jak m.in. *th* Edwarda Pasewicza czy *China Shipping* Justyny Bargielskiej. Zarówno w *th* jak i w *China shipping* połączenie tekstu i grafiki było optymalne. Do tekstów Pasewicza zapis nutowy pasuje tak, jak nutacja diastematyczna do piętnastowiecznego *Graduału Łęczyckiego*. Zaś w kontekście *China shipping* użycie czcionki z elementarzy dla dzieci także ma znaczenie. Innymi słowy wydawnictwo kserokopia.art.pl specjalizuje się w eksperymentach wydawniczych, w których próbuje się połączyć wrażliwy tekst – jakim jest poezja z obrazem.

Ale jak to z eksperymentami bywa – jedne są udane inne mniej a jeszcze inne to kompletne fiaska. I do tej ostatniej kategorii zaliczyć można właśnie *Trójmasztowiec* Jarka Łukaszewicza.

Trójmasztowiec wydany został w nakładzie 500 egzemplarzy. Do każdego z nich dołączona została ulotka z informacją wydrukowaną złotą farbą na białym papierze o treści:

„NAGRODA GŁÓWNA w II ogólnopolskim konkursie na autorską książkę literacką Świdnica 2009”.

Oprócz Maliszewskiego są także wycinki z recenzji – Agnieszki Wolny-Hamkało, która informuje target rodzaju żeńskiego, że: *„Było sobie życie. Widziało się w nim rzeczy niesłychane. Kochało się – z miłości, innym razem ze strachu, albo tylko tak sobie. Dla zabicia dnia. Brało się, co dają: sporo wściekłego piękna, niespodzianek w języku, zwykłego szarego chleba. Czasem mięso ostatnich żyjących przedstawicieli gatunku. Grzeszyło się i modliło”*. Jest też notka Antoniego Matuszkiewicza o tym, że: *„Trójmasztowcem wypływamy na głębię subiektywnej i kulturowej pamięci”* oraz o *„mroku przykrytym błyskotliwością odbić”* i *„oczywistości spływających w nieoczywistość horyzontu”* i o *„poszarpanej elipsami narracji”*.

Na temat grafiki wykorzystanej dla celów tej publikacji, to są to zdjęcia z wycieczki do Izraela. Raz kotek. Raz dziewczynka z długimi nogami. Innym razem stolik w restauracji. Powtarzający się motyw to napisy w języku hebrajskim. Ale trafi się także jakaś dziewczyna z karabinem. Oprócz tego są wystawy sklepów z butami, z ciuszkami dla ciężarnych, fotki

straganów, papci – czyli wszystkiego, co może wzbudzić we współczesnym czytelniku niepokój albo smutek egzystencjalny.

Reasumując: są to najzwyklejsze zdjęcia, które jest w stanie zrobić każdy, kto ma aparat fotograficzny i potrafi go obsługiwać w trybie „automat”. Gdyby spróbować je porównać, to fotki strzelane przez Michała Kobylińskiego (Gila Gillinga) na spędach poetów, kiedy to odbywa się masowe skarmienie sałatką majonezową są gorsze od tych, które znalazły się w *Trójmasztowcu*. Gorsze, ale tylko odrobinę.

W sprawie wierszy. Jeżeli ktoś uwierzy Maliszewskiemu w to, że są to teksty „po przełomie”, że spotka tu „jakiegos Ajudaha” itp., to się zawiedzie. *Trójmasztowiec* to zbiór tekstów banalnych. Na przykład:

*nieźle się urządziłeś – mówi
i wylicza nazwiska przedwojennych
fabrykantów – wskazuje lodówkę piecyk
i telefonken, więc gdy wyciąga
odkurzacz (posprzątam ci na wszelki
wypadek) mówi „hoover”, jak gdyby wiedziała
że on jest winien tej zawiei*

[bifurkacja]

I teraz zgaduj zgadula. O czym jest ten wierszyk? Dodać należy, że na sąsiedniej stronie jest fotka z zachmurzonym niebem i pustą plażą, na której porozkładano leżaki i rozstawiono stoliki.

Kto zgadnie proszony jest o wysłanie e-majla z odpowiedzią na adres:

poczta@kserokopia.art.pl

Nagrodą będzie nieskrywana radość poety, że ktoś zrozumiał bądź próbował zrozumieć jego przekaz.

Inny przykład kunsztu poetyckiego autora *Trójmasztowca*:

*hełoł wagino, dzień dobry szyjko
zmieniwszy kosmiczną wyporność
znosisz dary małżonko – powiedział
Arnolfini – „a gdzie zanosisz dary?”*

*do Pana dary zanoszę
że śmiercią mnie obdarzył
że mogę liznąwszy
palca wiatr stwierdzić
lub wywołać
i liście zzieleniawszy
też wydają się wilgotne
trochę*

*Arnolfini w fotelu pęcznieje
z radości i milknie kluczowa
nieufność pomiędzy Bogiem
i córką oraz jej synem jej bratem*

[małżeństwo Arnolfinich]

Jak wyżej, także i ten tekst opatrzony został obrazkiem. Zamiast plaży jest niewyraźne – bo robione nocą – zdjęcie oświetlonej skapo wystawy sklepu z sukniami ślubnymi. Łatwo się domyśleć co będzie przedstawione na pierwszym, drugim, trzecim, czwartym a nawet piętnastym (gdyby takowy istniał) planie zdjęcia. Analogicznej łatwości w odgadywaniu brak, gdy chodzi o tekst i jego znaczenie. Ale zanim czytelnik porzuci nadzieję warto spojrzeć na ostatnią stronę okładki. Przeczytać jeszcze raz notkę Maliszewskiego i Matuszkiewiczza o tym, że „od dawna tkwimy na mieliźnie” i że „jedyna głębia, to głębia pęknięcia wysychającego dna” a już nie czujemy się odosobnieni w otępieniu poznawczym. Prawda, że płytko?

Obok fotki wystawy piekarni znajduje się tekst pt. *galapagos*. Podobnie jak zdjęcia ten tekst także nie zaskakuje. Czytamy:

*pod tamtym mostem Alma maher błagała
męża, żeby nie robił wiochy, potem kiwnęła
głową (na gropiusa i poszli), i tam taki ładny
piasek na brzegu szkli się w wieczornej latarni
że i punki sobie wydeptują miejsca na orgazmy
jak żółwie błyszczą skórzane kurtki nad szprewą
chrzęszczą nity, trzaskają martensom sznurówki
sypie się do butów*

[galapagos]

Na pewno Łukaszewicz znajdzie kilkadziesiąt fanek (przynajmniej pięć w samej Świdnicy), które po przeczytaniu tekstu o „wydeptywaniu miejsc na orgazm” rozplyną się w sosie własnym. Nie wątpię także, że „trzaskające sznurówki”, „błyszczące kurtki” oraz „chrzęszczące nity” utworzą drogę do niejednego serca profesjonalnego krytyka literackiego. Mnie jednak zastanawia konsekwentne użycie wyrazów z języka obcego w zapisie fonetycznym. Zamiast Sprewa jest szprewa, zamiast Hello jest „heloł” a Michael Douglas to „majkel daglas” [*frotka*].

Czytając te fonetyzmy zastanawiam się na którym to pasie tej wielopasmówki lingwistycznej, o której pisze Maliszewski, się znalazłem? Czy może jest to namacalny dowód domniemanego przełomu?

Na zakończenie.

Trójmasztowiec Łukaszewicza jest kolejna pozycja wydawnicza, która zalegać będzie na półkach magazynowych hurtowni. Winą za taki stan rzeczy obarczony zostanie – jak w każdym takim przypadku – system dystrybucji i marketingu. Nie można odmówić Maliszewskiemu, Wolny-Hamkało ani Matuszkiewiczowi dobrej woli. Zrobili wszystko, by *Trójmasztowiec* dobrze się sprzedał. Notki o „przełomach”, „pękających skałach”, „dnach” itp., dawno się zdewaluowały. Teraz niemal każdy tomik posiada na okładce standardową

laurkę od Wolny-Hamkało, Maliszewskiego itp. Wszystkie tomiki wydawane w tym kraju przecież są dobre. Wszystkie są przełomowe, nadzwyczajne, odkrywczе, epokowe, wyjątkowe itp.. W tym kontekście tomik Łukaszewicza także się nie wyróżnia, na co zwrócili uwagę zacni i szanowani krytycy.

Samantha Kitsch, 25 wierszy

W Ameryce wszystko jest inne. Siekane kotlety z krowy – popularnie zwane hamburgerami – serwowane w bułce w zestawie z frytkami i pięciolitrową colą mają überrozmiar. W związku z tym wydaje się, że amerykański mit supermana – latającego übermenscha w niebieskim kostiumie z wielką literą S wyszytą na kłacie – dzięki tajnym, rządowym zabiegom eugenicznym został w skali masowej urzeczywistniony. Jaki überzołudek musi mieć statystyczny überamerykanin, by zmieścić ubezestaw serwowany w überknajpie?

W Ameryce wszystko jest inne. Obywatele Rzeczypospolitej Polskiej – popularnie zwani Polakami – w normalnych warunkach niereformowalni, zacofani i małostkowi po sześciu miesiącach pracy „na construction” zmieniają się w prawdziwych Amerykanów. Cudowna, amerykańska metamorfoza trwa dokładnie pół roku. Po tym czasie Chicago, które przed wylotem z Okęcia było jeszcze Szikagao zmienia się nieodwracalnie w Czikago.

W Ameryce wszystko jest inne. Zjawiska pogodowe, w szczególności te o charakterze gwałtownym mają inną skalę. Trąby powietrzne nie ograniczają się w Stanach do zerwania dwóch lub trzech dachów, ale niszczą całe miasta. Wyobraź sobie, że masz ochotę wyskoczyć sobie do IKEA w sąsiednim mieście. Robisz trzy- czterodniowy wypad. Wracasz do domu i okazuje się, że nie tylko nie możesz odnaleźć własnego domu, ale nie poznajesz miasta. Niemożliwe? Porozmawiaj z mieszkańcami Nowego Orleanu.

W Ameryce wszystko jest inne. Silniki samochodowe mają inną pojemność. 1500 cm³? 2500 cm³? 3000 cm³? Nie, nie. Pojemności zaczynają się od czterech litrów, bo tylko taki silnik jest w stanie przepalić paliwo odmierzane w galonach. Galon, to ok. 3,7 litra. Statystyczny Amerykanin tankuje swoje statystyczne auto na stacji benzynowej płacąc za jeden galon benzyny średnio dolara i 60 centów. Przyjmując, że jeden dolar to trzy polskie złote wychodzi, że trzy i siedem dziesiątych litra benzyny Polak będący na emigracji lub na wycieczce w USA zapłaci 4,8 pln, co daje jakieś 1,29 pln / L. I jak tu się dziwić marzeniom, że najlepiej radzą sobie w Ameryce i że tylko tam się spełniają?

W Ameryce wszystko jest inne. Prezydent też jest inny. Jest tak bardzo inny, że nawet niektórzy Amerykanie przywykli do amerykańskiej inności – zwłaszcza potomkowie konfederatów z Karoliny Południowej – nie mogą uwierzyć, że ten pan został 44. prezydentem USA. Trzymanie palca na przycisku nuklearnym w niczym nie przypomina zbierania bawełny na plantacji. Stąd owo zdziwienie.

W Ameryce wszystko jest inne. Roman Polański – w Europie szanowany reżyser, goszczony na salonach z najwyższymi honorami – w USA zmienił się. Roman musiał być zupełnie innym człowiekiem, kiedy łamaną angielszczyzną poprosił trzynastoletnią dziewczynkę o to, by się rozebrała, położyła na podłodze, rozłożyła swoje dziecięce jeszcze nogi a on – dobry wujek – zrobi jej kuku. Gdyby dziewczynka miała świadomość, że wujek z zagranicy kilkanaście lat później w swojej autobiografii napisze, że to jej mamusia była winna a nie on. Że to matka podsunęła mu swoje dziecko, by ten wsadził siusiaka gdzie potrzeba a następnie zrewanżował się angażem filmowym. Gdyby mała Samantha o tym wszystkim wiedziała, nie musiałaby zaciskać w milczeniu zębów z bólu. Nie musiałaby wywachiwać się w

czterdziestoletni, spocony tors. Nie musiałyby po wszystkich godzinami szorować szczotką ryżową swojego dziecięcego ciała ze spermy i śliny – z zapachu mężczyzny, który właśnie przed chwilą zakończył autorsko-artystyczny proces penetracji dziecięcego odbytu.

A propos Samantha i tego, że w Ameryce wszystko jest inne. W stanach mieszka jedna z polskich poetek – Samantha Kitsch. W 2006 r., światło dzienne ujrzał jej tomik pt. *25 wierszy*. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Każdy może mieszkać gdzie chce. Każdy może wydać tomik własnych wierszyków. Każdy może nazywać się „Kitsch”. Ale jeżeli chodzi o ten konkretny tomik, to tu wszystko jest inne.

Inność pierwsza.

Oto fragment jednego z tekstów wchodzących w skład tomiku:

*Popatrzyłem do góry
i spotkałem wzrok kropli
jasnociemną źrenicę
z twardym błyskiem kryształu
punkcikiem prawdy -
wisiąca z balkonu
gotowa w każdej chwili się odłączyć
kapnąć mi na twarz
prysnąć w oczy
Zwięźle ujęła mój dylemat:
jeśli wycofasz się zanim się oderwę -
stchórzysz
lecz gdy zacznę spadać nie zdążysz się uchylić
choć pewnie się przestraszysz
zrobisz mimowolny unik
żenujący skazany na fiasko -
stałem zgłębiając analogie*

[Kropla]

A to fragment innego tekstu:

*Kot parę razy miauknął i poszedł spać do szafy w ścianie.
Tak się zaczęła moja godzina medytacji.
Skąd brała pewność, że jest mi niezbędna?
W czym ujawniłby się jej brak?
Wrośnięty w krzesło obserwowałem, jak dzień
piął się po niewidzialnych szczeblach - i ześlizgiwał:
czas wchodził w rytm paradoksu Zenona.
Kurz na podłodze lśnił ultrafioletem i podczerwinią.
Rozszczepiałem wzrokiem atomy nad szklanką
wystygłego kompotu z rabarbaru.
Pantoflem regulowałem ruchy galaktyk.
Kot wylazł z szafy, przeciagnął się i trochę ochryple
miauknął - tak się skończyła moja godzina medytacji.
Sen z dzieciństwa, w którym umiałem fruwać,*

*pewien, że jeśli tylko zapamiętam jak -
umiejętność nie opuści mnie, gdy się obudzę.
(Wygiąłem wzrokiem łyżeczkę w szklance
wystygłego kompotu z rabarbaru -
już przedtem i tak nieco krzywą.)
W brzęku naczyń, w zapachu kociej puszki
czas nadganiał tempo, rozkręcał zwoje.
Godzina zbierała ostatnie rozproszone barwy.
Potem opisywałem ją: żmudnie, nieudolnie
i czy nie z pretensjami, że sama gotowość...*

[Godzina]

I jeszcze jeden fragment:

*Rzeka była piękna, kiedy patrzyłem na nią z mostu.
Rzeka była okropna, kiedy patrzyłem na nią z mostu.
W jednostajnym przepływie - a pozornie zastygła,
metaliczna, twarda tafla pod smużkami fal.
Oddalałem się, kiedy pociąg wiozł mnie przez most.
Stałem w miejscu, kiedy pociąg wiozł mnie przez most.
Czułem się martwy, kiedy pociąg wiozł mnie przez most.
Czułem się żywy, kiedy pociąg wiozł mnie przez most.
Było mi niedobrze - wagon poderwany z ziemi
dygocze na szynach między akwamaryną a błękitem -
to potrwa dwie minuty - to ciągnie się w nieskończoność!
Koła stukają: jeszcze, i jeszcze, i jeszcze -jak dobrze!*

[rzeka]

Konkluzja numer jeden:

wiersze zostały napisane przez chłopaka, któremu amerykańscy specje od chirurgii odcięli penisa.

Konkluzja numer dwa:

albo przez panią, której ci sami specje przy użyciu aparatu Ilizarowa wydłużyli łechtaczkę tak, by po przystawieniu do niej linijki można było odczytać „17,5 cm”

Zamieszanie z niezwykłym jak na kobietę podmiotem lirycznym można uznać za świadomy zabieg artystyczny. W interpretacji Samantha Kitsch mogłaby być przedstawiona jako kobieta-kontrfeministka, która występuje przeciwko emancypacji społecznej i kulturowej rodzaju żeńskiego. Wprowadzając podmiot liryczny rodzaju męskiego do swoich wierszy poetka maskulinizuje swoją poezję. Czyni to na przekór tendencji środowiskowej. Współczesne poetki nie różnią się przecież od polityków. Maszerują w równym szeregu machając chorągiewkami z nadrukowanym logo: „political correct”. Samantha Kitsch ze swoim męskim podmiotem lirycznym jest elementem obcym w tej przewalającej się między szwedzkimi stolami na uroczystych rautach masie rymującego celulitisu. Ale Samantha nie doceniła siły masy. Masa nie znosi różnicy, zabroniona jest każda forma indywidualizacji. W

masie trzeba być elementem masy, dlatego Samantha Kicz znalazła się w spisie treści rapującego stada – w *Solistkach*.

Inność druga.

Oto fragment tekstu z tomiku:

*Za rozpędzonych prętów balustrady
nagła szeroka powierzchnia -
ciemnozielononiebieska, srebrząca się, pomarszczona...*

[Rzeka]

A oto inny fragment - nazwijmy go póki co: **Fragment A**

*Mógłbym bez ogródek , ale farba zlazła w łazience
liszaj pojawił się na suficie, wyższe stany świadomości
ślimaczą się i śledztwo się kończy*

Podobny sposób obrazowania sprawia, że nie sposób oprzeć się wrażeniu, że napisał je ten sam autor. Jednak **Fragment A** pochodzi z wiersza Edwarda Pasewicza pt. *Robak Solipsyzmu*.

Konkluzja numer jeden:

Samantha Kitsch to Edwarda Pasewicz

Konkluzja numer dwa:

Edward Pasewicz to Samantha Kitsch

Nie są to tak absurdalne konkluzje jak by się wydawało. Pasewicz od lat związany jest z Poznaniem, z Poznania wywodzi się Samantha Kitsch. Druga sprawa, że w krainie tzw. „portalowych masek” i konkursowych zestawów wierszy opatrzonych tzw. godłem – kreacje transwestytyczne są zjawiskiem powszechnym. Nic nie stoi na przeszkodzie by Pasewicz mógł być Samantha Kitsch i na odwrót (z zastrzeżeniem, że porównujemy ten konkretny fragment *Robaka Solipsyzmu* oraz ten konkretny fragment *Rzeki*)

Inność ostatnia.

A może Samantha Kitsch jest tego rodzaju osobliwością amerykańską, która istnieje tylko w amerykańskich mitach o wolności. Może w ogóle nie istnieje? Ontyczny status kobiety-poetki (w dodatku o polskich korzeniach), która stwarza męskie podmioty liryczne, która pisze fragmenty jak Pasewicz bliski jest zeru. Zresztą czy sama „Samantha Kitsch” nie wydaje się jakaś zmyślona? Nierzeczywista? A może Samantha Kitsch jako „Samantha Kitsch” jest – na wzór Lema – wspólnym tworem zapóźnionych w intelektualnym i estetycznym rozwoju polskich poetek, które za wszelką cenę próbują skolonizować nowe obszary, których potencjał czytelniczy jest większy niż jeden?

Istnieje przynajmniej jeden dowód, który przemawia za taką interpretacją.

Otóż wszyscy fani Pani Prezes **Fundacji Literatury w Internecie** – Justyny Radczyńskiej-Misiurewicz – pamiętają jej sławny wierszyk pt. *25 wersów z okazji* (zamieszczony w tomiku Nawet). Wszyscy także pamiętają, że Pani Prezes pomyliła się w rachunku. W korpusie tekstu jest nie 25 a 26 wersów. Samantha Kitsch ma podobny problem z rachunkami. W jej tomiku jest więcej niż *25 wierszy*. Wnioskować należy, że w projekcie „Kitsch” swój udział może mieć pani prezes we własnej osobie.

Maciej Cisło, Twórcze pisanie w siedmiu krokach

Liczba 259200 jest mniejsza o jeden od liczby 259201 i o jeden większa od 259199. I to by było wszystko co można powiedzieć na temat tej liczby. Gdyby jednak przyjąć inny kontekst oraz matematyczną zasadę podziału wraz z odpowiednim dzielnikiem, okazuje się że ta nie znacząca liczba staje się najbardziej mroczną, najbardziej mistyczną, najbardziej złożoną znaczeniowo cyfrą Zachodu.

Dwa tysiące i dziewięć lat temu, kiedy Jezus - syn boga w trzech osobach - przyszedł na świat został powitany m.in. przez trzech mędrców, którzy ofiarowali niemowlęciu trzy podarunki. Dlaczego mędrców było tylko trzech i dlaczego tak mało prezentów otrzymał boski bobas? – Tego się prawdopodobnie nigdy nie dowiemy. Tak samo jak nie dowiemy się tego, co się stało z tymi podarunkami. Jezus jako osoba pełnoletnia zyskał pełnię praw a co z tym związane – swobodę dysponowania swoim majątkiem. Wszak były to jego prezenty a jednak w żadnej znanej relacji kanonicznej jak i apokryficznej nie został odnotowany fakt rozdania między ubogich złota, kadzidła i drogocennej mirry.

Semantyczna kariera cyfry trzy rozpoczęła się na długo przed narodzinami w Betlejem. Trzy głowy miał pies Cerber, trzy ostrza miał trójząb Posejdon, trzy boki i trzy kąty ma trójkąt, z którym związane jest Twierdzenie Pitagorasa. A propos Pitagorasa i jego związków z cyfrą trzy, to nie wypada nie wspomnieć o tzw. trójkach pitagorejskich.

Oprócz tradycji antycznej oraz judeochrześcijańskiej, w której karierę zrobiła ta na pierwszy rzut oka niepozorna cyfra, jest taki kontekst w rozwoju kultury duchowej świata, w którym zmartwychwstanie trzeciego dnia, to zdarzenie porównywalne do codziennej wyprawy do sklepu po trzy świeże bułki na śniadanie. Tu już nie ma żartów ani miejsca na domysły.

W kulturze duchowej narodu polskiego – bo o niej tu mowa – cyfra trzy zajmuje wyjątkową pozycję. Każdy laureat medialnej nagrody literackiej jest zawsze trzy razy cmoknięty przez Grażynę Torbicką w policzek. Relacja z tego wydarzenia zawsze pokazywana jest później trzy razy w TVP: w Teleekspresie, w Wiadomościach oraz w Panoramie. A jeżeli chodzi o radio, to najbardziej popularną rozgłośnią radiową słuchaną przez polskich wieszczów jest oczywiście program trzeci. Od czasu, kiedy to Zygmunt Solorz przestał rozdawać Paszporty Polsatu, tylko w radiowej Trójce artysta może wyblagać paszport. Paszporty rozdają także w Polityce. Ale te mają status muzycznych Fryderyków. Zatem nie mają żadnej wartości dla prawdziwego wieszca. A wieszczów w kraju, w którym duchowość wysysa się z mlekiem matki, jest bardzo dużo. Jakieś 333 do potęgi trzeciej.

Prawdziwy przewodnik duchowy narodu Polskiego tylko trzy razy wydzwania do redakcji z prośbą o opublikowanie kolejnego dzieła, które napisał. Po trzeciej odmowie – obraża się definitywnie i wydzwania do innej redakcji. Średnio trzy słowa po angielsku opanował polski wieszcz do tego perfekcji. Są to sfonetyzowane: *plizzz*, skrót: *ok*. oraz wykuty na blachę zaimek: *whatever*. Te trzy słowa wystarczają wieszczowi, by ułożyć przemówienie, które nie tylko może być odczytane przed komitetem Noblowskim, ale przede wszystkim zostanie zrozumiane przez dostojnych jurorów. Oto przykład:

Jestem ok. Pisze teksty ok. Krytycy, plizzz, nie ośmieszajcie się. Albo ośmieszajcie. whatever.

Narodowy mistycyzm związany z cyfrą ma swój początek w pewnym widzeniu.

Zdarzyło się to w dziewiętnastym wieku. A dokładnie w 1832 r. (w dacie niebywałą rolę odegrała trójka). Był piękny wiosenny dzień. Na trzeciej wierzbie - licząc od starej stodoły folwarku – przycupnął bociek. To był trzeci bociek, który tego roku zatrzymał się w tym miejscu. Rozłożywszy skrzydła, ustawił się w stronę słońca i jał się wygrzewać. Wszak nie wypada, by pradawny symbol słowiańszczyzny nie był w formie kiedy ojczyzna w potrzebie. A była! Oj była! Była i ojczyzna i potrzeba.

W takich to szczególnych okolicznościach powołany został do życia bohater literacki - ksiądz Piotr. Postać fikcyjna, ale jakże żywa w sercach i umysłach rodaków, którym nie był obojętny los cierpiącej ojczyzny. I to właśnie Piotrowi, garści grzybów halucynogennych oraz wystarczającej dawce alkoholu wzmocnionego sproszkowanym sporyszem i nasionami bielunia polska tradycja literacka zawdzięcza sławną wizję. Halucynację nazwaną „widzeniem księdza Piotra”:

Znałem go, — był dzieckiem — znałem,

Jak urósł duszą i ciałem!

On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę.

Mąż straszny — ma trzy oblicza,

On ma trzy czola.

Jak baldakim rozpięta księga tajemnicza

Nad jego głową, osłania lice.

Podnóżem jego są trzy stolice.

Trzy końce świata drżą, gdy on woła;

I słyszę z nieba głosy jak gromy:

To namiestnik wolności na ziemi widomy!

On to na sławie zbuduje ogromy

Swego kościoła!

Nad ludy i nad króle podniesiony;

Na trzech stoi koronach, a sam bez korony:

Ksiądz Piotr stał się patronem wszystkich zwolenników eksperymentów na własnej jaźni, którzy przeczesując łąki i pastwiska na kolanach poszukiwali małych grzybków na cieniutkich łodyżkach. Był niedoścignionym idolem generacji, która z nosami przyklejonymi

do małych plastikowych woreczków uwierzyła w możliwość osiągnięcia mistycznej jedności z absolutem za życia.

Widzenie księdza Piotra w różnych interpretacjach urosło do rangi wizji doskonałej. Stało się niedościgłym wzorem, idealnym przykładem dydaktycznym, na którym kształciły się kolejne generacje polskich poetów. Także cyfra trzy weszła na stałe do życia literackiego.

Trzy ruchy należy wykonać by pomyślnie ukończyć proces defekacji. Są to kolejno: oderwanie wystarczającej długości listka papieru (czynność pierwsza), złożenie papieru na pół, aby się przypadkiem nie przerwał w użyciu (czynność druga) oraz podtarcie (czynność trzecia). Liczba ruchów niezbędnych do tego, by zostać poetą także wynosi trzy. Na stronie:

www.nowy-swiat.pl/poradnik/

należy:

- 1) wpisać imię
- 2) wpisać adres email
- 3) kliknąć „Zapisz się”

Kiedy kandydat na poetę wykona te czynności prawidłowo, otrzyma pierwszy email od Macieja Cisło.

Kilka słów o nadawcy.

Maciej Cisło zanim zaczął realizować się jako autor korespondencyjnych kursów nauki pisania wierszy ożenił się z poetką Anną Janko. I to wszystko, co można powiedzieć o Macieju Cisło.

Małżeństwo z polską poetką można porównać do seksu z słonią w czasie rui. Zamiast niedzielnego obiadu, półmisek z gorącym mięsiwem, miśnieńskich waz z gorącym rosołem z kaczką, zamiast makaronu własnej roboty człowiek dostaje chińska zupkę rozpuszczoną w porcelitowym kubku. A na pytanie: co to jest? Otrzymuje odpowiedź:

- To? To taka metafora jedzenia, najdroższy.

Związek kończy się radykalnymi i nieodwracalnymi zmianami psychicznymi. Człowiek już nigdy nie jest taki sam – pod warunkiem, że przeżyje.

Bogaty w odpowiednie doświadczenia o charakterze empirycznym Maciej Cisło postanowił napisać poradnik dla poetów. Zgodnie z sztuką pisarską pierwszy w pierwszym emailu adept internetowego kursu otrzymuje motto, wstęp i spisem treści.

Motto:

Nie wystarczy mówić do rzeczy, trzeba mówić do ludzi.

Stanisław Jerzy Lec

Drogi autorze, bywasz też czytelnikiem i przecież wiesz, że książka wciąga tylko wtedy, gdy mówi coś ważnego. Oczywiście dla różnych ludzi ważne są różne rzeczy, niekoniecznie te same. Pisarz mający ambicje trafienia "do wszystkich" ("pod strzechy") prawdopodobnie nie

osiągnie swego celu. Dobrze więc zaczynać od wyobrażenia sobie odbiorcy konkretnego. Gdy już masz kogoś takiego przed oczami, pisz książkę jak list, z równym zaangażowaniem i szacunkiem dla adresata. Staraj się być przekonujący, może nawet uwodzicielski. I bardzo istotne, pamiętaj, że autorem jest tylko ten, kto ma wrodzoną łatwość pisania i nabytą trudność. Warto zapamiętać tę złotą regułę. “Wrodzona łatwość” jest kwestią talentu, “nabyta trudność” to oczywiście sprawa rzemiosła. Do obu tych kwestii za chwilę wrócimy. A oto “siedem kroków”, proponowanych przez nasz poradnik literacki:

- 1. Jak stworzyć dobry wiersz, z rymami albo bez*
- 2. O formie i treści, kiczu lirycznym i prowokowaniu natchnienia*
- 3. Powieść, jej konstrukcja, bohater i akcja*
- 4. Finał, dialogi, mowa ciała i mieszanie gatunków*
- 5. Talent, rzemiosło, notatnik pisarza i poczekalnia książek*
- 6. Sztuka niepisania, zmysły i umysł, tradycja i nowoczesność*
- 7. Organiczne źródła sztuki*

Ale to nie koniec, bo będą również DODATKI:

- I. Kilka słów do wydawcy*
- II. Najczęstsze błędy*
- III. Pożyteczne lektury*
- IV. Spis portali literackich*

Zrozumiała jest niecierpliwość tych wszystkich, którzy po przeczytaniu emaila od Maćka nerwowo, w trzysekundowych odstępach klikają na „wyślij/odbierz”. Potrzeba wiedzy o „prowokowaniu natchnienia”, o „talencie” i „mowie ciała” oraz o „ograniczeniach źródła sztuki” bierze górę nad zdrowym rozsądkiem i opanowaniem. Zmysły szaleją. Nie sposób oderwać się od sprawdzania skrzynki pocztowej. Jednak trzy sekundy to za mało. Kolejny odcinek kursu pojawi się dopiero za 259200 sekund.

Trzy dni – tyle muszą czekać subskrybenci listy majlingowej, którzy zapisali się na kurs pod tytułem: Twórcze pisanie w siedmiu krokach na kolejny. Najbardziej wytrwałych i tych, którzy wytrzymali presję nieznośnego oczekiwania spotyka zasłużona nagroda. Po trzech dniach w folderze: „poczta przychodząca” znajdują kolejny odcinek instrukcji obsługi poety.

O tym, że warto było, że opłaciło się i o tym, że gdzie dwóch się bije tam trzeci korzysta, że kto trzeci ten lepszy oraz, że gdyby kózka nie skakała, to by ślimak wystaw rogi - świadczy cytat:

- 1. Jak stworzyć dobry wiersz, z rymami albo bez*

POEZJA to jak wiadomo mowa wiązana, wiązana przez rytm, rym i figury stylistyczne, takie jak metafora, oksymoron, alegoria, hiperbola (przesadnia), elipsa, inwersja, gra słów etc. Nie ma też poezji bez pewnej "magii", która pojawia się, gdy umiemy w sobie wywołać natchnienie. Do techniki prowokowania natchnień wrócimy za chwilę.

O FIGURACH STYLISTYCZNYCH z pewnością uczyłeś się w szkole. Spróbuj sobie odnowić wiedzę w tej materii, korzystając na przykład ze "Słownika terminów literackich", Ossolineum 1988, aby nie popadać w amfibologie, katachrezy, eufuizmy itd., błędy bardzo często spotykane u debiutantów.

RYM I RYTM. Co do rymu, generalna zasada brzmi: unikaj zdźwięczeń banalnych, zwłaszcza gramatycznych. Rym gramatyczny to identyczność końcówek tych samych części mowy, przymiotników (zielony - szalony), rzeczowników (bzy - sny) itd. Współcześnie chętniej sięgamy po asonans, niż po rym dokładny.

RYTM. Dobrze, jeśli w obrębie krótkiego utworu nie zmieniasz co chwila miary. Wiersz to pieśń, z nutami czy bez, a w pieśni rytmy powinny być regularne. Zainteresowanym szczegółami toniczności, sylabotoniki, rytmicznego wiersza białego, oraz dalszymi możliwymi komplikacjami w tej mierze polecam znów "Słownik terminów literackich" Ossolineum.

WIERSZ WOLNY. Liryka wiązana nie muzycznie, a tylko przez figury stylistyczne, jest w istocie trudniejsza, niż ta rymowo-rytmiczna. Jak powiada TS Eliot, "pod firmą wiersza wolnego napisano bardzo wiele złej prozy".

Na końcu są – jak w każdym majlu - pozdrowienia i podpis: Maciej Cisło. Elementem dodatkowym jest post scriptum, w którym czytamy:

PS. Jeżeli uznacie Państwo, że nie chcecie otrzymywać od nas korespondencji, w każdej chwili można wypisać się z naszej listy.

Chciałoby się powiedzieć - cytując klasyka polskiej krytyki Jakuba Winiarskiego: „Dowcipniś z tego autora, przedrzeźnia się z czytelnikiem”. Czy istnieje na tym świecie chociaż jedna istota, która nie chciałaby zostać polskim poetą? Której nie marzy się przynajmniej jedna minuta cierpienia za miliony?

I znów najbardziej wytrwali, najdzielniejsi śmiałkowie, którym nie straszne są legendarne smoki, średniowieczne tortury i współczesne mądrości partnera życiowego Anny Janko po upływie 3 dni – czyli 259200 sekund – dowiedzą się, że

PROWOKOWANIE NATCHNIENIA. Czy łaskawość Muz można sobie załatwić na życzenie? Otóż prawdopodobnie można, przynajmniej po części. Do popularnych środków sprowadzających "furor poetycki", jak go kiedyś nazywano, należą używki, "rozprzegające zmysły" (to sformułowanie z "Listu Jasnowidza" Artura Rimbauda). Oczywiście z używkami trzeba być bardzo ostrożnym (instruktywne pod tym względem są "Narkotyki. Niemyte dusze" Witkacego, albo "Wyznania angielskiego opiumisty" de Quinceya). Wielu inspirowane muzyką (Mickiewicz improwizował wyłącznie przy fortepianie czy flecie, szczególnie ukochawszy sobie melodię do "Laury i Filona"). Do aktów strzelistych duszy pobudza nas miłość, także zachwyty podróźnicze; niektórym pomaga modlitwa. Niedozżywiony

Baudelaire twierdził, że swoje natchnienia zawdzięcza obfitym posiłkom, gdy mu się trafią, i regularnemu zasiadaniu do pracy.

Samobójcy doczekają do ostatniego odcinka kursu. Na końcu każdy dostanie dyplom – zaświadczenie, że się jest literatem - wraz z klauzulą o gwarancji zmartwychwstania po trzech dniach. W zależności od jakości drukarki, dyplom ten będzie można powiesić w trzech miejscach:

- 1) w gabinecie
- 2) nad łóżkiem
- 3) w kiblu

Tomasz Gerszberg, Ciechozimek

W liter necie pojawiłem się dokładnie 23. lipca 2005 o godzinie 12:56. Swój pierwszy wiersz napisałem kilka minut po rejestracji. (Wcześniej nie wpadłem na pomysł, by zostać poetą). Mój pierwszy wiersz, jak na każdy porządny pierwszy wiersz przystało, sekundę po tym, jak został napisany wydawał mi się niezwykle piękny. Tak piękny, że pamiętam go dzisiaj (zresztą, kto zapomina o pierwszej palcówce?). Oto on:

*Bo przyjaciel mój musi być milczący
Na rozkaz myślowy przemawiający*

*Bo przyjaciel mój musi być ślepy
Na rozkaz mój myślowy widzący*

*Bo przyjaciel mój musi być martwy
Na rozkaz mój myślowy ożywający*

*Bo przyjaciel mój musi być matowy
Na rozkaz mój myślowy błyszczący*

*Bo przyjaciel mój musi być zwyczajny
I tylko ze mną w parze cudowny*

Bo przyjaciel mój musi być jak ja

Mój drugi wiersz powstał chwilę później. Dokładnie sześćdziesiąt sekund później. Ten też uznałem za wybitny. I podobnie jak pierwszy, ten także pamiętam:

*Chcę wiersze pisać i poetą być waszym
Sprawić przyjemność jednym słowem blahym
Lub pod rozważką dać świat cały znakiem zapytania*

*Szczyście moje jest w braku papieru
I niech go dziś zabraknie bym więcej pisać nie musiał
Na ostatniej stronie niech się wypiszą wszystkie moje myśli*

*A kiedy będziecie je recytowali z pamięci
Przekonacie się jak niewiele za słowami ukryłem
Bo prosto w ucho mówić chciałem głosem wyraźnym*

*Odebrałem wam coś, czego nigdy nie mieliście i nie będziecie mieli
Wasz bark - ja spokojem ducha nazwałem
A marzenia o nim z innymi prośbami pogrzebałem*

Bo pocieszenie jest świętych a nie poety dziełem

Potem był wiersz trzeci, który wyczerpał możliwość dobowej publikacji tekstów na portalu, na którym straciłem literackie dziewictwo. Kilka chwil później poczułem ten żar w piersiach i ogień w sercu. Wtapiając się w opacie fotela kontemlowałem ten rodzaj uczucia, który powstaje w trakcie łączenia się duszy jednostkowej z przeznaczeniem świata. Właśnie umierał Marek Trojanowski i rodził się poeta Marek Trojanowski.

Tak mi się to spodobało, że w ciągu kilku godzin wyprodukowałem jakąś makabryczną, bliżej nieokreśloną ilość tekstów.

O wierszach wiedziałem tyle, że dobrze jest, gdy się rymują. Wiedziałem także, że można wiersze dedykować komuś lub czemuś. Pierwszy wiersz dedykowany napisany został dwa dni po tym, jak stałem się liternautą. Było upalne popołudnie. Była godzina 13:48, kiedy kliknąłem opcję „publikuj”. Oto mój pierwszy tekst z dedykacją:

*Przyjacielu nie słyszysz jak cię wołam?!
Gdzie jesteś, gdy błędząc drogi szukam?!
Nie chcę cię w dzień!
Ale teraz, gdy ciemna noc!*

*Przyjacielu - tak tylko ciebie nazywam!
Oddaję ci wszystko!
Za cenną miłość twoją!
Strzeż mnie przed moją własną drogą!*

*Przyjacielu!
Nie odchodź, gdy gardzę tobą!
Bądź ze mną!
Gdy w złego ducha ramionach się szarpie!*

*Przyjacielu, tak daleko odszedłeś!
Już cię prawie nie ma!
Ty wiesz, że cierpię!
Że życia samotnie nie wygram!*

[7 (z pozdrowieniami dla Kristoffa :))]

Jeżeli ktoś uważa, że cierpienie i samotność z ostatniej strofy jest kiczowata, to radzę wstrzymać się z osądem i wartościowaniem. Najlepiej teksty oceniać porównując je. Dla potrzeb takich analiz pozwolę sobie zacytować swój drugi wiersz dedykacją, jaki napisałem:

*Pamiętasz jak oddalenie nigdy między nami nie stanęło
Przeszkodą
Czujesz jeszcze, jak razem nad wodą oczy swoje czytaliśmy
Literą?*

*Poznajesz tego motyla, którego skrzydła bezszelestnie
Grały
Gdy razem w niebie odgadywaliśmy, choć bezwiednie
Dni nasze przyszłe?*

*Wspomnij te chwile, gdy upojenie codzienną naszą strawą
Było
Czy można ciał grzesznych rozmowie i duszy rozkoszy
Przeczyć?*

*Jakie to życie bez kwiatów ogrodu miłości?
Odmawiaj tego szlachetnym!
Mi daj złoto, które obłędem się mieni!*

*Wspomnij mnie, gdy nad grobem płacz się wzniesie blady!
Dotknij tego motyla, który się prochem pożywi
I wleć ponad to wspomnienie*

[8 (dla K&I - dzielnych, poznańsko-mazurskich, zakochanych:))]

Gdyby mi ktoś wówczas napisał, to co ja piszę w cyklu „z kopa w jaja”, to prawdopodobnie nigdy nie powstałoby kolejnych kilkaset tekstów. Umarłby poeta i cudownie zmartwychwstał Marek Trojanowski.

Ożywiam swoją przeszłość, bo jako drugi dokument mam otwarty tomik Tomasza Gerszberga pt. *Ciechozimek*. Wiersze wydane zostały w 2004 r. Znaczy to, że Gerszberg w roli poety wyprzedzał mnie przynajmniej o rok.

Pierwszy tekst – dziewiczy Tomasza Gerszberga wygląda tak:

*A potem będziemy mogli awansować bez przerwy
na zgrzyty w miłości, drobne porażki i zwątpienia.
Każdy z nas będzie ważniejszy od siebie i innych
jak sam prezes spółki z niczym nie ograniczoną
nieodpowiedzialnością za fioletowe śliwy pod oczami
duszy. I nikt nie będzie tęsknił do skotłowanych
prześcieradeł porannej mgły, limfatycznych plam
na słońcu przyspieszonych oddechów. Die Macht
als Erkenntnis będziemy szprycować w otwarte
automatyczne garaże żył, w szklane domy pustych
oczu. Nie będzie płaczu nad rozlaną drogą mleczną,
nad orderami gwiazd na piersi przegadanej nocy,
nad przyciasną klatką ciała w niebie żywcem
wniebowziętych małych ludzi z Polski.*

[Adwent]

Cytuję w całości, bo warto wiedzieć jak wyglądają pierwsze wiersze ludzi, którzy zapragnęli zostać poetami.

Czytając debiut Gerszberga grzęznę gdzieś w połowie. Dławię się metaforami:

automatyczne garaże żył

szklane domy pustych oczu

piersi przegadanej nocy

przyciasną klatką ciała

(adwent)

*Czekałem na ciebie we własnym cieniu
oglądając powtórki niestrzelonych bramek*

*Na nic spóźnione skargi na surowego
sędziego twoich oczu, kilka spalonych ze wstydu ataków.
Gram jak umiem. Jak rachityczny krótkowidz z macholandu
w Primera División twoich uczuć*

(blanek)

*W środku naszej podróży musiano reanimować
samochód. Nabierał sił pod kroplówką u Shella.*

*Nie będziemy nikogo uzdrawiać
maścią naszego kochania*

*Po prostu nawrócimy
i powieziemy do domu nasz sens, furą poranka,
z poduszką powietrzną liżących się dłoni.*

(470 kilometr A5)

*W świetle blokowisk chłodny stosunek
mnie do mojego ciała. W gniewie marszczę
wątrobę*

(8 pasażer)

Sztywność tego powietrza dusi kołnierzem

Patrzę na wieczór zajmujący miejsce przy parkomacie

(Bonn)

Nie potrafię dokończyć lektury. Być może dlatego, że przypomina mi się moja historia sprzed 4 lat. Widzę dokładnie swoje „oczy, które czytałem nad wodą literą”, widzę „oddalenie, które stało przeszkodą”. Nie jest mi wstyd. Tak jak nie wstydę się tego, że jako niemowlę srałem w gacie. Chodzi o to, że tak jak dziś nie robię już pod siebie, tak samo nie potrafię czytać o „wieczorach zajmujących miejsce przy parkomatach”, o „wątrobie marszczonej w gniewie” oraz o „uzdrawiającej maści kochania”.

Gienek Sobol (Kim jest Gienek Sobol??) recenzował debiut Tomasza Gerszberga w *Toposie* (6 /2004.) Pisał tak:

Debiut poetycki urodzonego w 1970 r. Autora przynosi wiersze bardzo dojrzałe. Są świadectwem podróży (Monachium, Bruksela, Turyn, Lizbona) lub zainspirowane doświadczeniem człowieka rozpaczliwie poszukującego w cyberprzestrzeni odpowiedzi na dręczące go pytania metafizyczne (Według Outlooka, @pokalipsa). Choć autor porusza wyeksploatowany temat paranoicznych lęków jednostki w świecie zdominowanym przez technologię, czyni to jednak w sposób odkrywczy, wcielając się na przykład w postać przestępcy przemycającego plik listów z Ciechozimka (B737), albo szpiega, który w przygodnych związkach z kobietami stara się odnaleźć utraconą tożsamość (Historia szpiega ochotnika). Wiersze Gerszberga, wymykające się właściwie jednoznacznyom określeniom i formułom, można najogólniej nazwać ... poezją nowoczesną. Przedstawiają obraz dzisiejszego świata takim, jakim on jest, z goryczą po utraconych miłościach, smutkiem i wyobcowaniem mimo wciąż rosnącego tempa życia, bezradną nieufnością wobec nowych mediów i postępów informatyki.

Niech tak zostanie. Niech będzie, że **Tomasz Gerszberg poetą nowoczesnym jest.**

Ewa Sonnenberg, Płonący tramwaj

Dawno, dawno temu żył sobie bardzo ubogi i tak samo mądry jak ubogi - człowiek. Każdy dzień przeżywał w zgodzie z otaczającym go światem i w zgodzie z własnym sumieniem. Żył tym i tylko tym. Dlatego wkrótce umarł z głodu.

Dawno, dawno temu jeden z ośmiu nieśmiertelnych - Zhang Guolao – podróżując na swoim osle spotkał na drodze niewidomą dziewczynkę, która zapytała go:

- Dokąd jedziesz panie?

- Tam – odpowiedział nieśmiertelny, wskazując ręką kierunek i ponaglił osła.

Inny nieśmiertelny – Lu Dongbin – zmęczony nieustanną walką z demonami postanowił odpocząć na niewielkiej polanie, na której środku leżał wielki głaz. Lu Dongbin usiadł przed kamieniem i zaczął się weń wpatrywać. Wpatrywał się i wpatrywał, skupiając na nim całą uwagę. Koncentrował energię wewnętrzną, marszczył czoło, pocił się. W końcu, zmęczony wykrztusił:

- No posuń się!

Któregoś razu pewien człowiek podróżując drogą, która dokądś prowadzi spotkał Ewę Sonnenberg. Zadał jej pytanie:

- Dlaczego twoje tomiczki są takie duże?

Ta odpowiedziała:

- Format jest jakby podyktowany samymi wierszami. Po prostu te teksty nie mogły by wybrzmieć na mniejszej powierzchni. Te teksty potrzebowały przestrzeni, powietrza, pustki. Biel kartki w tych tekstach nie jest czymś martwych, biel kartki również mówi, również wybrzmiewa, i wchodzi w dialog z zapisanym tekstem...

Ewa Sonnenberg chciała opowiadać dalej ale pewien człowiek gdzieś sobie poszedł.
(Odpowiedź zaczerpnięta z wywiadu poetki z Tomaszem Charnasem)

Azjatki zanim na skutek upływu czasu zaczną mutować w półmisek parującej wieprzowiny w pięciu smakach, podawanej z ryżem i kiełkami bambusa w cenie 18,50 pln są piękne, są młode, są mądre i co najważniejsze: kobiecość im życiu w ogóle nie przeszkadza. W jednej z legend mitologii orientu mowa jest o dziewczynie, której na imię było Mulan. Służyła ona kilkanaście lat w armii cesarza. Wykazała się bohaterstwem, odwagą i roztropnością na polu walki. Awansowała wysoko. Ale nigdy nie zdradziła się jako kobieta. Dopiero po zakończeniu służby, kiedy odwiedzili ją dawni kamraci z wojska i zobaczyli ją z rozpuszczonymi włosami przy krośnie tkackim wyszło na jaw, że przez tych kilkanaście lat spali, jedli i walczyli u boku kobiety.

W świecie bez granic, w gospodarczym świecie imitacji made in China, także etos Azjatki stał się materiałem, który jest chętnie podrabiany.

Naśladownictwo jest jedną z ważnych kategorii filozofii konfucjańskiej. Naśladowanie mistrza to jak najdokładniejsze, najbardziej wierne imitowanie każdego jego ruchu. To niekończące się ćwiczenie. Powtarzanie jednego gestu dniem i nocą by osiągnąć perfekcję. Zasada naśladownictwa w manufakturze zbitej z bambusowych rur, krytej liśćmi palmy, w której produkuje się podróbki butów firmy NIKE działa tak samo. Wycina się podeszwę. Klei ją do buta. Naszywa się logo. Wkłada sznurówki. Wkłada się do kartonu. Wycina się podeszwę. Klei ją do buta. Naszywa się logo i tak dalej i tak dalej. A cała seria powtórzeń po to, by kiedyś przynajmniej jedna z miliona wyprodukowanych par była jakościowo identyczna z oryginalnym produktem made in USA.

Z etosem Azjatycki rzecz ma się podobnie z małym zastrzeżeniem. Podróby Azjatek produkowane są nie gdzieś w bambusowej chatce w dorzeczu Huang He, ale w Polsce, gdzieś nad Wisłą.

Ewa Sonnenberg – Chinka made in Poland – zanim obrała drogę Zielonego Smoka (ginglong) by przeciwstawić się Białemu Tygrysowi (baihu), który jest symbolem świata zachodu i śmierci szkolila się w tajnikach filozofii kontynentalnej. W wydanym w roku 2001, w Bibliotece Studium tomiku pt. *Płonący tramwaj*, poetka Sonnenberg objawiła się jako duchowa powierniczka dziedzictwa filozofii zachodu. Jako adeptka sztuki poezji z niebywałą gracją i lekkością języka formułowała filozoficzne sądy na temat natury czasu, rzeczywistości, podmiotu, przedmiotu, percepcji itepeitede.

Oto przykłady.

W wierszu *Jesień. Nowela poetycka* poetka pisze:

*z katem na ty pod kolor tryumfu wypija toast
i kładzie na szafot całe DOTYCHCZAS*

[*Jesień. Nowela poetycka*]

Warto dodać, że w czasie kiedy poetka pisze, to ziemia drży i świat trzęsie się w posadach. Bo oto Gorgiasz wykorzystując doczesne medium zmienił zdanie. Wycofując się z poglądu: Nic nie istnieje (DK, B3) proklamuje nowy pogląd na świat. Otóż istnieje coś, co zwie się: „dotychczas”, coś co jednocześnie jest „do tej pory”. Owo coś można ukatrupić z łatwością – i tu na arenę wkracza ten Hegel, który napisał *Phänomenologie des Geistes* – z jaką przecina się główkę kapusty albo wypija szklankę wody. Bo czymże jest owo pisane dużymi literami DOTYCHCZAS jak nie światem, który jest by za chwilę przestać istnieć w sposób niezauważony? Czyż można przeoczyć zagładę całej znanej, przeżytej i w należyty sposób, po ludzku doświadczonej rzeczywistości, której granicę wyznacza ta jakże bogata semantycznie kategoria ontologiczna powołana do życia przez wybitną poetkę – Ewę Sonnenberg? (Zdanie niemalże kantowskie)

Inna ważną kategorią filozofii bytu, którą poetka użyła jako siły pociągowej dla swoich tekstów jest kategoria „TERAZ”. Sonnenberg pisze:

*Jesień
przetnąca karki odważnym
sprzed wieków miesza z TERAZ*

właściwe oczom rozróżnianie

[Jesień. Nowela poetycka]

Zagadnienie czasu teraźniejszego (TERAZ), który trwa dokładnie tyle ile najmniejsza jednostka czasu nie umknęło uwadze poetki. Spowolnienie siłą umysłu sekundnika w zegarku tak, by interwale między TIK a TAK odnaleźć TERAZ, które będzie na tyle stabilne istnieniowo by móc o TERAZ orzec, że TERAZ istnieje, jest najwyższym stopniem wtajemniczenia filozoficznego. Mają rację ci, którzy dopatrują się tu kontynuacji rozważań Zenona o naturze ruchu (Paradoks Strzały).

Ostatnim ciosem – dodać należy: zabójczym - który zadała poetka temu światu, w którym nigdy nie wykuto ani jednego samurajskiego miecza z prawdziwego zdarzenia jest tzw. wątplenie podstawowe.

Jednym prostym, ale jakże genialnym w swej prostocie pytaniem, poetka unicestwia rzeczywistość rozumianą zarówno zdroworozsądkowo, matematyczno-fizykalnie jak i metafizycznie.

Zapytała:

czy tutaj jest TUTAJ?

[jesień. Nowela poetycka]

Nietrudno się domyśleć skutków tego pytania. Jediną możliwą odpowiedzią, którą mogła odnaleźć Ewa Sonnenberg oraz wszyscy ci, którzy zadali sobie pytanie: „Czy tutaj jest TUTAJ” jest zdanie oznajmujące:

TUTAJ jest TAM

TAM zaś jest krainą, w której na każdego nieostrożnego albo może po prostu głupiego śmiałka czeka przyczajony tygrys i ukryty smok.

Joanna Roszak, Tintinnabuli

We Wrocławiu, na tyłach kamieniczki „Jaś” (róg. św. Mikołaja, Odrzańska) Eugeniusz Get-Stankiewicz znalazł idealne miejsce dla prezentacji swojego dzieła pt. Zrób to sam. Zrób to sam – to płaskorzeźba na której przedstawiony jest: Chrystus, krzyż i zestaw narzędzi potrzebnych do krzyżowania.

Deziło nie rzcua się w ozcy. Nomarlny kzyrż. Nomarlny Chyrtsus.

Człowiek odczytuje instalację z pamięci a nie taką jaka jest. Przypomina to czytanie całych wyrazów z pamięci. Widać ukrzyżowanego Chrystusa a nie zestaw do krzyżowania. Sprawę utrudnia dodatkowo napis: „*zrób to sam. Do it yourself.*” Wypiąskowany został na przezroczystym pleksiglasie / szkle. Jest słabo widoczny. I dopiero pod pewnym kątem pokazuje się inskrypcja: „zrób to sam”.

Inna atrakcją tego miejsca jest pomnik Dietricha Bonhoeffera. Wszystko ładnie. Wszystko cacy. Byłoby nawet idealnie gdyby nie „wiessenschaf”. Jedno „e” za dużo i mamy kolejną atrakcję miasta Wrocławia.

Wracając do sloganu: „zrób to sam”.

W epoce kolejek i niedzielnych poranków z Adamem Słodowym jednym z hitów był zestaw „Młody Chemik” – odpowiednik dzisiejszego Playstation 3. Ci, dla których w rzeczywistości gospodarki planowej zabrakło zestawów musieli obejść się smakiem. Zazdroszcząc kolegom, którzy przeprowadzali eksperyment z opłłkami magnezji i siarką w duchu przysięgali sobie zemstę na niesprawiedliwym systemie. Zdani na własną inicjatywę eksperymentowali. Najpopularniejszym eksperymentem z dziedziny do it yourself jest miniaturowy statek UFO.

Do samodzielnego wykonania UFO potrzebne jest::

jeden kapsel od butelki po wódce
dwa gramy saletry potasowej
dwa gramy cukru
trzy zapalki
jeden gwózdź

Sposób wykonania:

Należy zmieszać saletrę z cukrem. Najlepiej (najbezpieczniej) spala się mieszanka w proporcji 1:1. Ci, którzy są bardziej odważni lub mają w rodzinie chirurgów, to mogą do mieszanki dodać więcej saletry niż cukru. Panienki zaś mogą dać więcej cukru. Jak się nie zapali, to będzie można zjeść mieszankę. A jak się uda zapalić, to będzie mało ognia ale za to dużo dymu. Frajda, że ho ho. Dziewczyny się na pewno ucieszą.

Następnie:

z kapselka, przy użyciu gwoździka delikatnie wyjmujemy tekturkę, która jest na spodzie. Do wydrążonego kapselka wsypujemy mieszankę saletry i cukru. Ale nie do pełna. Musi się jeszcze zmieścić tekturka, którą przed chwilą starannie wydłubaliśmy. Ona będzie robiła za denko. Czyli: wkładamy tekturkę i zaginamy krawędzie kapselka tak, by tekturka mocno dociskała mieszankę. Pamiętaj! Im więcej upchasz mieszanki w kapslu tym dłużej twoje UFO będzie latało. Możesz ubijać młotkiem, ugniatać butem – nie bój się. Materiał jest bardzo stabilny. Nie wybuchnie.

Przygotowany korek przebijas gwoździkiem (nie tekturkę, ale odwrotną stronę – aluminiową). Dziura ma mieć średnicę gwoździka. Żeby nie była za mała ani za duża. Jak będzie za mała, to nie zapali się. Jak za duża, to UFO nie wzbije się w powietrze.

Ustawiasz kapsleki na jakiś podwyższeniu. Może być to pniak drzewa, ławka w parku, krawężnik lub kosz na śmieci. Wyjmujesz trzy zapalki. Z dwóch obskrobujesz siarkę i układasz ją na dziurce. Trzecią zapalkę odpalasz i przykładasz powoli do siarki na kapselku.

Jeżeli wszystko zrobiłeś tak jak trzeba, to masz dokładnie 2. do 3. sekund zanim UFO uda się w niekontrolowany lot. W związku z tym, że nikt nie opanował technologii obcych i nie wie jak sterować UFO lepiej leżeć plackiem na ziemi i czekać aż sobie kosmici polecą w pizdu. Kolidacja ze statkiem kosmicznym na pewno ciebie nie zabije, ale możesz na przykład stracić oko prawe lub lewe. Możesz dorobić się ładnej blizny pooparzeniowej na twarzy.

Technika doityourselfu nie ogranicza się do świata rzeczy. Małym majsterkowiczem można zostać mając do dyspozycji kilka podstawowych znaków interpunkcyjnych. W skrajnych przypadkach wystarczy przecinek.

Oto jeden z klasycznych przykładów rodem z historii o ujętym szpiegu i depeszy z tajną dyspozycją.

Treść depeszy:

Zatrzymać nie wolno wypuścić

Po dodaniu przecinka:

- 1) Zatrzymać, nie wolno wypuścić.
- 2) Zatrzymać nie wolno, wypuścić.

Przecinek można zastąpić wykrzyknikiem. Wówczas tajna depesza będzie nie tylko biurokratyczną decyzją ale nabierze powagi służbowego autorytetu jej autora.

Eksperymenty z literkami mogą się skończyć równie tragicznie co eksperyment z ustalaniem odpowiedniej proporcji mieszanki gliceryny i kwasu azotowego w celu uzyskania nitrogliceryny.

Na przykład. Do roku 1956 – przed XX. zjazdem KPZR - zmarą każdego redaktora było nazwisko Stalin. Bardzo łatwo i niezauważenie zmienia się „t” w „r”. A skutków tego rodzaju literówki nierzadko doświadczało się empirycznie w ostrym świetle pięćsetwatowej żarówki.

Na szczęście okres dyktatury w Europie skończył się. Każdy autor, korektor i redaktor może upajać się literówkami, z które dzisiaj nikt w mordę nie bije i nikt do więzienia nie wsadza. Nie znaczy to wcale, że doityourselfowa zabawa ze znakami interpunkcyjnymi odeszła do lamusa historii.

W 2006 r. Joanna Roszak, dzięki wsparciu ludzi, którzy określają siebie jako Towarzystwo Przyjaciół Sopotu wydała COŚ. To COŚ opatrzone zostało tajemniczym jak kurwa mać tytułem:

Tintinnabuli

Tylko ekspert w dziedzinie toposów i symboli kulturowych na poziomie tytułu dostrzeże ukryty przekaz. Używając tylko raz spacji udaje się wyodrębnić:

Tintina – komiksowego lalusia z grzywką powołanego do życia przez Georgesa Remi

Używając spacji dwa razy mamy:

Tin Tin – jako nazwę serii produktów firmy Ziaja

A kiedy dodamy do Tin Tin małe słówko Rin otrzymujemy praszczura – a dokładniej prapsa takich gwiazd filmowych jak Cywil czy Szarik.

Nie tylko tytuł tomiku dostarcza świetnej rozrywki intelektualnej. Przede wszystkim treść *Tintinnabuli*, która jest literackim odpowiednikiem przepisów z Lubię majsterkować wymyślonych przez majora Słodowego, zaskakuje liczbą możliwych kombinacji. Wiersze Joanny Roszak mimo, że są długie w pizdu i nudne jak ja pierdołę są dobrym materiałem zapewniającym dobrą rozrywkę na długie jesienne wieczory dla całej rodziny. *Tintinnabuli* jest grą. Mieszaniną SCRABLE i ZATRZYMAĆ NIE WOLNO WYPUŚCIĆ. Grą bez ograniczeń wiekowych. Oto zasady tej gry:

Tintinnabuli.

(Wiesz? Do it your self!)

Gra dla pięciu osób. Każda osoba przy użyciu dowolnych znaków interpunkcyjnych tworzy z podanego tekstu jeden wers strofy. Wers może być zdaniem lub równoważnikiem zdania. W jednej turze każdy ma tylko jeden ruch. W ruchu można użyć max. dwóch znaków interpunkcyjnych. Tura kończy się strofą. Grę uznaje się za zakończoną kiedy powstanie wiersz.

Uwaga: kolejność i odmiana wyrazów podanego tekstu nie może być zmieniana.

Oto przykład jednej rozgrywki.

Bierzemy pierwszy z brzegu tekst autorki pomysłu poetyckich literaków:

*linia holownicza daje jej odejść wizar d zongluje trójkątem koło się
zamyka w co by ich zamienić kolejna trucizna następne tąpnięcie
widzialni podwójnie zależni od rafy już zawsze będą tak stać graliśmy*

*w magica przywiązani do swoich talii fiauta trwa senni jak sztil ona
na boku by być bliżej tego co za ścianą meer sea see zobacz słony
wodopój jak wywabić tę sól jak się nazywa rzeka która nie wpada
do morza jak się uczyć pływać to tylko na płycznach nie ma akcji
akacji wiesz że wróżyć możesz z wszystkiego wszystko wydaje się
większe niż było aż do niewidzialności wróż z prześcieradła z pary
z salsy z hitów zeszłego lata napelnia się wanna odmierza ciepło
nadgarstkiem wycieka bokami horyzont się mnoży zaklinanie do
zaklinowania nie trzcina a wrzos nie wrzos a sam wiesz gramy
niebieską magią stworami znad morza z morza falą rozbijającą się
o siebie ostrzącą o nas magia się skrapla oparza bezpowrotnie nie
obiega ziemi ściska się niedaleka rozkładu słodzi zaklęcia jadowi
nikt od nikogo nie odejdzie nie mów co można zrobić w wodzie
sawanna pustynia tundra czy sauna kapie far far away zakopuje
koło w piasku tam gdzie zlatują się ptaki mokry ślad przy oceanii
nieudana zabawa w podchody gubi się przy złotym podziale odcinka
ona tak się ma do ciebie jak ty do całości ona tak się ma do niego*

[NIEBIESKA TALIA]

Tura pierwsza:

Ruch osoby A: linia holownicza!

Ruch osoby B: daje jej odejść wizar.

Ruch osoby C: żongluje, trójkątem koło.

Ruch osoby D: się zamyka!

Ruch osoby E: w co by ich zamienić?

Strofa pierwsza:

Linia holownicza!

Daje jej odejść wizar.

Żongluje, trójkątem koło.

Się zamyka!

W co by ich zmienić?

Tura druga:

Ruch osoby A: kolejna trucizna: następne tąpnięcie.

Ruch osoby B: widzialni!?

Ruch osoby C: podwójnie - zależni od rafy.

Ruch osoby D: już zawsze będą tak stać?

Ruch osoby E: graliśmy w magica przywiązani do swoich talii.

Strofa druga:

kolejna trucizna: następne tąpnięcie.

widzialni!?

podwójnie - zależni od rafy.

już zawsze będą tak stać?

graliśmy w magia przywiązani do swoich talii.

I tak dalej i tak dalej.

Warto zwrócić uwagę na niewątpliwy atut tekstów Joanny Roszak. Po trzydziestu minutach gry okazuje się, że wykorzystany został zaledwie ułamek tekstu:

„linia holownicza daje jej odejść wizar d żongluje trójkątem koło się zamyka w co by ich zamienić kolejna trucizna następne tąpnięcie widzialni podwójnie zależni od rafy już zawsze będą tak stać graliśmy w magia przywiązani do swoich talii”

Jeżeli sobie uświadomimy, że w tomiku *Tintinnabuli* jest ponad dwadzieścia tekstów, a wśród nich także teksty przeznaczone dla bardziej zaawansowanych graczy jak np. *Nauka pływania*, którego pierwszych jedenaście wersów wygląda tak:

*sttukZIkJH+TkjeJJEJLSUhI0pHclyQiSVpJFCV2yuiQJBFCtlEI
mt3KwmSKGQyuEWSiDQRKVHEeSrtEomSiEUURcotq201QiJJ
Ws5LSdKWR5IiiqL9aS/vJikkaZEKkZJ7ImkkCUnURAgR3TTei
RjLH19iid/NtESJCvRtTtJNEJMkSESLJSUp2EsmRYiklJcmurUl
PKZK2JNVWdxVpN+8tSdmTIEJfm+YuT6RENCIFkWhLSnREI
hJ6IhItv7W7dRPhkWgTgnCHaCeSRNMSkaLN7iaRSJIIQpHIJW
nSlkKpUZEIbG27aZESVK2FCWprfTtkhDJTYiIpLu3LUqyZEmi
4udJNrHVsnfiBRRElqQobnOXEZKgOxGSeDdtJ 1 FE20tOXdXRJ
MLiktIEkKRul CSRYIESCS6k0eUhCQ6Euu7eH7Itl Py/XkjtTu
vkXpdpLH09mLl/+21PYtEmElkSWUp75IUcv4TEyl5IokoSvO
GlGRLSZ41SkrWpCT2JIn25kqSJlksvkusJZf8kIhE6dtyLYmTiJCi*

[nauka pływania]

To okazuje się, że rozrywka zaproponowana przez Joannę Roszak powinna zyskać największą popularności w okolicy okołobiegunowej, tam gdzie zimowy wieczór trwa pół roku. *Tintinnabuli* Joanny Roszak, to nie Mickiewicz, Norwid, Baczyński, *Playboy* ani nawet *Bravo Girl*. Ale to nie znaczy, że nie mógłby stać się szlagerem eksportowym w handlu z Inuitami.

Iza Smolarek, się lenienie

W 1965 r. Theodor W. Adorno na pytanie o istotę tego, co niemieckie odpowiedział, że tym, co wyróżnia Niemców spośród innych nacji jest język niemiecki. Ma on tę właściwość, że jest w szczególny sposób – jak żaden inny język - spokrewniony z filozofią w szczególności z jej momentem spekulatywnym (tenże, *Auf die Frage: Was ist deutsch*, w GS, Bd. 10/2 Kulturkritik u. Gesellschaft II, F/M 1977).

Nie był odkrywcy.

Dokładnie czterdzieści lat wcześniej jego uczony kolega Werner Jaeger sformułował teorię - jak na Niemca błyskotliwą - o bezpośrednim pokrewieństwie między starożytną greką a językiem z umlautami, w którym na kielbasę mówi się wurst. (tenże, *Antike u. Humanismus*, L. 1925). Próbował twórczo do niej nawiązać Martin Heidegger. W trakcie lektury Hölderlina, rozważał nad niuansami oraz sposobami użycia języka. I jak to Niemiec wymyślił on sobie, że taka prosta nazwa - „Heraklit” (a Heidegger uwielbiał Heraklita) - jest właściwa TYLKO dla świata zachodnio-germańskiego. Że słowo „Heraklit” jest dowodem rozvodu między cywilizacją zachodu w sensie germańskim a kulturą zdziczałych Azjatów. Innymi słowy: żaden mongoidalny stwór o fizjonomii i posturze Bruce Lee a tylko blondwłosy, wysportowany ćwierćheros mógł mieć na imię Heraklit. (tenże, *Hölderlins Hymnen 'Germanien' und 'Der Rhein'*, w: Gesamtausgabe, Bd. 39, F/M. 1980)

Na całość poszedł Joahim Bannes. Zanim udowodnił, że Adolf jest potomkiem i spadkobiercą intelektualnym Platona, ogrzewał się trochę przy żarzących się stosach spalonych książek. Oddawał się przy tym swobodnej refleksji i wymyślił sobie a następnie ogłosił światu, że: „*χαλός ist das gotische heils, unser ,heil*” (tenże, *Platon. Die Philosophie des heroischen Vorbildes*, B/L1935).

Victor Klemperer – Żyd, który ocalenie zawdzięcza aryjskiej małżonce - miał dużo czasu by podsumować osiągnięcia filologiczne swoich aryjskich kolegów. Tyrając jak wół w aryjskiej fabryce produkował zamiennik herbaty. Mieszając różne zioła, których używano w trudnych czasach wojny jako erzac cesarskiej Yin Zhen , przysłuchiwał się uważnie otoczeniu. Czytał, słuchał, rozmyślał. A że był filologiem, to wymyślił teorię języka, który zastępuje myślenie. Sztucznego języka, który raz wymyślony uwalnia się od wszelkiej kontroli i zaczyna samodzielne życie zmieniając codzienność i ludzi. (tenże, *LTI; Notizbuch eines Philologen*, Aufbau-Verlag / B. 1947)

Nie ma powodów by wątpić, że gdyby Niemcy mówili po polsku, to właśnie polski język stałby się przedmiotem aryjskiego uwielbienia. Nie potrzeba bujnej fantazji by wyobrazić sobie światową furorę jaką robi rzeczownik rodzaju żeńskiego „kurwa”. W zasadzie jest to pierwsze słowo jakiego uczą się obcokrajowcy w kraju nadwiślanym.

Ale język polski oprócz „kurew”, „chujów”, „pizd” itp., skrywa pewną tajemnicę. Chodzi mianowicie o tzw. koncepcję czasowników czystych.

Jedenaście lat przed tym zanim Ludwig Wittgenstein wymyślił zdanie:

„Pytania i tezy filozofów biorą się przeważnie z niezrozumienia logiki naszego języka” (tenże, *Tractatus*, 4.003).

nikomu nieznany za życia a po śmierci tylko nielicznym – Antoni P. – sformułował teorię o czystym czasowniku.

Niewiadomo kim był Antoni P., niewiadomo jak miał na nazwisko, ani kim był z zawodu oraz gdzie mieszkał ów jegomość. Jedyną pamiątką jaką świat otrzymał w spadku po tym człowieku była właśnie teoria czystego czasownika.

Na karcie numer 23989A przechowywanej w dziale zbiorów specjalnych biblioteki Uniwersytetu Jagiellońskiego czytamy:

ktoś powinien napisać traktat filozoficzny na temat związków między życiem (jako rzeczownikiem) oraz czasownikami. Osobiście uważam, że przymiotniki jak: łatwe, przyjemne, dostatnie, bogate itp. - jako obciążone błędami percepcji - nie są w stanie opisać tego czym jest życie. Nie należą do jego treści ale wynikają z naturalnej skłonności ludzi do uprzymiotnikowania świata zewnętrznego. Inaczej rzecz ma się z czasownikami. Jeżeli się kocha, to nie ma wątpliwości, że się kocha. Tak samo ma się rzecz z pisaniem, czytaniem, pracowaniem. Z chwilą uśmiercenia ostatniego przymiotnika znikną wszystkie problemy filozoficzne!

Teoria czystego czasownika najlepiej prezentuje się w użyciu. Weźmy taki oto przykład:

tomik Izy Smolarek pt. *się lenienie*.

Tomik nie został wybrany przypadkowo. Przeciwnie. Zaproponowany przez poetkę tytuł oraz morfologia wierszy dają powody by sądzić, że artystce znane są założenia Antoniego P.

Zanim przejdziemy do omawiania dzieła Izy Smolarek w kontekście teorii czystego czasownika, warto przeanalizować tzw. reakcję czasownikową, którą owa książka spowodowała.

Znawca i ekspert o doskonałej intuicji językowej – Karol Maliszewski napisał:

„Tytuł debiutanckiego tomiku ‘się lenienie’ myli czytelnika, bo tak naprawdę w tych wierszach nikt się nie leni (chyba że pies), a wręcz przeciwnie – szuka, walczy, nie ustępuje..”

[Karol Maliszewski]

Zwróćmy uwagę na budowę tego zdania:

tytuł → myli
w tych wierszach → nikt się nie leni
w tych wierszach → [się] szuka
w tych wierszach → [się] walczy
w tych wierszach → [się] nie ustępuje

Wzmocnienie epistemiczne: „tak naprawdę” - pomijam. Ono wymaga osobnego opracowania.

„się lenienie” jest formą czasownika zwrotnego: lenić się. Przetawienie szyku spowodowało, że zaimek nieokreślony „SIE” stał się zaimkiem heideggerowskim, którego znaczenie oraz kontekst funkcjonowania musi uwzględnić kategorię „das Man” a zatem także autentyczny oraz nieautentyczny aspekt egzystencji.

Karol Maliszewski z wrodzoną sobie gracją pomija owe niuanse interpretacyjne. Pozostaje w ograniczeniu czasownikowym spowodowanym przez inwersję zaimka „się” w tytule. Czasowniki: „szuka, walczy, nie ustępuje” – występują tu w domyśle w formie zwrotnej. Jednak materialnie „się” zastrzeżone zostało tylko do czasownika „lenić”

Ale od początku.

Pierwszy związek czasownikowy:

tytuł → myli

Znaczenie czasownika „mylić” [wszystkie znaczenia za sjp.pl; jeżeli zostanie wykorzystane inne źródło, będzie to odpowiednio zaznaczone]

1. popełniać błąd, pomyłkę
2. wprowadzać w błąd

Karol Maliszewski pisze:

„Tytuł debiutanckiego tomiku „się lenienie” myli czytelnika”

Odwołanie się do drugiego znaczenia czasownika „mylić” jest tu bezsporne. Maliszewski nie ma na myśli osobliwości inwersji „się” w formie zwrotnej. Nie chodzi tu zatem o nieuwagę redaktora czy autorki, która jest zapewne pomysłodawczynią tytułu. Maliszewski nawiązuje explicite do treści.

Forma: „nikt się nie leni” ma korespondować z tytułem: „się lenienie”. Jednakże „się lenienie” nie znaczy: „lenić się”. Interpretacja: „nikt się nie leni” byłaby prawdziwa, gdyby w tytule nie występowała inwersja. Tak jednak nie jest i ten błąd dyskredytuje dalsze analizy Maliszewskiego.

Jednakże Maliszewski jako użytkownik specjalnej odmiany języka zdaje sobie sprawę z własnej omyłności. Używając techniki czasownikowych ogłupia czytelników. Pisze:

w tych wierszach → [się] szuka
w tych wierszach → [się] walczy
w tych wierszach → [się] nie ustępuje

Najmocniejszy znaczeniowo wśród tych trzech czasowników jest słowo „walczyć”. Wiąże się ono znaczeniowo z jakąś formą przemocy. W odróżnieniu od czasownika: „nie ustępować” w czasowniku „walczyć” zawarta jest nie tylko defensywna forma aktu fizycznego ale także – a może przede wszystkim – jego moment ofensywny, w którym chodzi o pokonanie i w walce i zwycięstwo. Walczyć można „szukając” czegoś. Człowiek może walczyć i „nie ustępować” ani na krok.

W innej postaci, w recenzji Karola Maliszewskiego forma czasownikowa:

szuka ← walczy → nie ustępuje

Wygląda następująco:

wydzierać ← musi → wykradać

[w zdaniu: „Ona musi wydzierać, wykradać życiu prawo do miłości...”]

Pozostaje rozstrzygnąć, czy debiutanckie wiersze Izy Smolarek są tak agonistyczne jakby to chciał nie tyle Maliszewski ale użyte przez niego czasowniki.

Zgodnie z zasadą: „Po czasownikach ich poznać” oto kilka przykładów z tomiku: „się lenienie”:

Przykład (1)

romantyzm otula nam uda

depczemy strach zakorzeniony między panelami

[hda: 120064896 sectors (61473 MB) w/2048KiB Ciche]

otulanie + deptanie

Przykład (2)

sztynny język już uczy się dopełniać głoski

Między jedną a drugą stroną ud wślizguję się w twój blady świt.

Pociąg tematu spada z punktu a do b.

Krótkimi pchnięciami na przemian kłamiemy.

[romantyczność]

uczyć się + dopełniać + wślizgiwać się + spadać + kłamać

Przykład (3)

przepuszczam przez skos setek oczu chitynowe światło

lekko leciuchno mnie bierze uporczywe brzęczenie

cynamonowe wieże kuszą libido śmietana bije

[się lenienie]

przepuszczać + brać + kusić

Przykład (4)

wiatr od tamtej strony cisnął w nas strzępkami sosen

złe nie śpi powiedziałeś przechylając zziębnięte szczyty gór

barwne kramy stały resztką sił tuląc się do czego popadnie

[wróżba]

cisnąć + powiedzieć + przechylać + stać + tulić się (Ach! To tulenie się!)

Przykład (5)

Reszta wysusza wargi

Siedzę na skraju wydmy i łowię wiatr

Nauczyłeś mnie oszczędzać gesty, ramiona, uda i to co poniżej.

Na piasku w kolorze włosów najpierw pełnie śmiałość potem nieśmiałość potem zdezorientowana dłoń

[22:42]

wysuszać + siedzieć + łović + uczyć + oszczędzać + pelzać

Przykład (6)

jesień nam się kurczy.

Żołędzie trzeszczą pod kołami ołowianych myśli

kłęby butwiejących wrażeń i czubki drzew sterczą ponad wodą.

Bezladny pęd starań tapla się w słowach.

Miedziane powietrze trwa pod powiekami ogrodów jakby liście nie umarły jeszcze.

[niedojrzałość]

kurczyć się + trzeszczeć + butwieć + sterczeć + taplać + trwać + umierać

Przykład (7)

granice mojej skóry nie trzymają się rozsądku

nadziwam gardło na suchy badył

Mnie też przejęzyczysz

[dosłownie]

trzymać się + nadziwać + przejęzyczyć

Przykład (8)

miasto głuchnie wirując powoli

pewnie nastaje wieczór co ledwo zauważam

stawiam kroki na śliskiej jak gzyms aluzji

*to rozbija mi frazy i przekłamuje rytm
drę retoryczne koty na figury i wiem -
tworzenie może wychodzić niezgorzej
choć bywa że bokiem*

[do odwołania]

**głuchnie + wirować + nastawać + zauważać + stawiać + rozbijać + przekłamywać +
wiedzieć + wychodzić**

Przykład (9)

zatrudniam ręce bo ciągle rosną w stronę telefonu

hipotetycznie zbliża się ósma owinięta w przelotną piosenkę

[post]

zatrudniać + rosnać + zbliżać się

Przykład (10)

nawet nie zadrżałam

[pełniej (liryk bezpośredni)]

drżeć

Podsumowanie:

Zbiór czasowników wykorzystanych przez Izę Smolarek w podanych przykładach:

otulanie + deptanie + uczyć się + dopełniać + wślizgiwać się + spadać + klamać + przepuszczać + brać + kusić + cisnąć + powiedzieć + przechylać + stać + tulić się + wysuszać + siedzieć + łowić + uczyć + oszczędzać + pelzać + kurczyć się + trzeszczeć + butwieć + sterczeć + taplać + trwać + umierać + trzymać się + nadziewać + przejeździć + głuchnieć + wirować + nastawać + zauważać + stawiać + rozbijać + przekłamywać + wiedzieć + wychodzić + zatrudniać + rosnąć + zbliżać się + drżeć

ma charakter raczej chrześcijański aniżeli clausewitzowski. Zamiast wojującej amazonki z zaszytą lewą powieką i odciętą piersią – by lepiej celować i móc sprawniej napinać łuk, mamy kobietkę, która tuli, łka i kurczy się.

Ostatni uwaga:

Antoni P., zanotował na marginesie:

Przymiotniki należą do świata estetyki. Moje czasowniki są sprawą ontologii. Jest jak Jest.

Oznaczałoby to, że Maliszewski pisząc o wojujących wierszach zwyczajnie się myli. To nie jest kwestia interpretacji. To jest robienie z czajnika maszyny parowej.

Gdyby uwierzyć w niemieckojęzyczną prawdę, że:

„Granice mego języka oznaczają granice mego świata” (Tractatus:5.6)

to okazałoby się, że Iza jest idealną kandydatką na zakonnicę a Karol ma zwyczajnie przejebane w domu. Zwłaszcza, gdy po dobrej wódce w drzwiach wita go żona lub mąż.

Marzena Broda, Światło przestrzeni

*Stirlitz mrugnął raz, mrugnął drugi raz.
Mógłby tak w nieskończoność.
Przechadza się między drzewami.
Spaceruje i patrzy na niebo.
Podziwia dzikie gęsi.
Przygląda się ptakom.
Zastanawia go symetryczny klucz.
Myślami jest gdzieś daleko.
O ile w ogóle myśli w tej chwili.
Tyle ma spraw do załatwienia.
Tyle rzeczy do zrobienia.
Tyle myśli do wymyślenia.
Sam nie wie za co ma się zabrać.
Ale wie, że coś musi zrobić.
Nie tak jak ostatnio.
Tym czasem spaceruje.
Jest wśród drzew, brązowych sosen.
Ciekawe ile mogą mieć lat – pomyślał.
I złapał się na tym, że drugi raz pomyślał.
A miał to być zwykły spacer po lesie.
Zwykle podglądanie przyrody na wiosnę.
Podziwianie powracających ptaków.
Spacer między smukłymi sosnami.
Nic nie zapowiadało, że będzie inaczej.
Że akurat tej wiosny, roku 1945 pomyśli.
A miało być przecież inaczej.
Przynajmniej tak mu obiecywano.
Ale czy mógł wierzyć tego rodzaju obietnicom?
Tego pytania Stirlitz nigdy sobie nie zadał.
Od dziecka był bardzo małowówny.
Oparłszy się o gruby pień drzewa rozmyślał.
Tym razem niewiadomo o czym.
Nasz bohater jak nigdy postanowił być skryty.
Z zadumy wyrwał go krzyk dzikiej gęsi.
Drugi raz tego dnia spojrzął w niebo.
I drugi raz tego dnia zobaczył klucz ptaków.
To dobry moment by sięgnąć do kieszeni.
Wyjąć z niej paczkę bielomorów.
Zgnieść filtr, włożyć do ust, zapalić i zaciągnąć się.
Zrobić tyle czynności zaczynających się na Z.
Ze szpiegowaniem jest zupełnie inaczej.
Szpiegowanie jest na S.
S jak Stirlitz.
Spacer to spacer i też jest na S.
Stirlitz nie chciał ale poruszył się.*

*Wolnym, niedbałym krokiem pośród drzew.
Trochę innych niż te, które mijal przed chwilą.
Stirlitz jest na S, drzewa są na D.
SD jest jak Sicherheitdienst.
Zanim przechytrzy Heydricha przejdzie się jeszcze.
Do tamtego drzewa, a może trochę dalej.
Może to być jego ostatni spacer w życiu.
A to wie tylko bóg, którego przecież nie ma.
Przynajmniej tak uczono w Akademii Marksa i Engelsa.
Dochodząc do upatrzonego drzewa Stirlitz potknął się o pniak.
Na szczęście nie upadł i nie złamał ręki.
A przecież mógł upaść i coś sobie zrobić.
Z politowaniem spojrzal na kawałek śliskiego pnia.
Pokiwał głową i mruknął coś na temat kłód rzuconych pod nogi.*

PIERWSZY DIALOG z szefową kawiarni Elefnat [3: 41 sek. Filmu]

- *Panie, słyszy pan?! Nie wiem jak pan, ale ja już zrobiłam zapas tlenu na to nasze okropne miejskie życie. Jak pan uważa, nie powinniśmy już wracać?*
- *Powinniśmy.*
- *Panie, niech mi pan pomoże z łaski swojej, nie mogę wyjść.*
- *Pani pozwoli.*
- *To już nie pierwszy las przywiózł mnie pan do lasu wiosną*

Stara dobra szkoła Tatiany Lioznowej – reżyserki *Siedemnastu mgnień wiosny* – polegająca w skrócie na tym, by robić jak najdłuższe ujęcia i marnować przy tym jak najwięcej taśmy filmowej (trzeba wiedzieć, że kategoria „jak najwięcej” w ZSRR była tym, czym do dziś jest w Watykanie słowo „amen”) nie poszła w las.

Lioznowa szybko znalazła naśladowczynię.

Marzena Broda urodziła się 27 lutego 1965 w Krakowie.

I to tyle, jeżeli chodzi o ewentualne różnice.

Jeżeli chodzi o podobieństwa, to odnajdujemy je przede wszystkim w warsztacie obu artystek. Oto pierwszy tekst z tomiku: *Światło przestrzeni*, który ukazał się w roku 1990.

*Była niebieska, zimowa noc.
Stirlitz nie zwalniał kroku.
Ulice miasta poza zasięgiem wzroku.
Wszystko usnęło pod świeżą warstwą puchu,
włochate rzeźby kamieni wyniesione na brzeg
otchlani przez czas, usnęły lasy, drogi, śpi księżyc
w srebrnej, powłóczystej sukni.
Ptaki przycichły na polach, senne obrazy
wyfruwały z pamięci przywołując zjawy.
Ślady rzucone w mokry śnieg zamarzały,
płynęła mgła za drzewami z lodu.
Nikogo nie było, tylko szmer sypiącego śniegu,*

*wiatr pod nieruchomą górą, milczący.
Czy pragnął spokoju?
Na próżno oddechy ocieplały powietrze,
aniołowie grali na trąbach przez dziurawe chmury,
ich lzy błyszczały jak prawdziwe gwiazdy,
wypisując ziemskie imiona.
Wszystko stało się martwe, senne i śniło.
Znikły gdzieś słowa, opuszczone chaty,
świt się nie zjawiał skostniały od mrozu.
Zastygły doliny, światło na zboczach,
wodospad w górach jak kryształy polarnego lodu.
Słońce usnęło, dni babiego lata, planety, kosmos,
we wszechświecie dusze. Gdzieś na końcu przestworzy
myśli - - Sypie śnieg, czas zmienia strażę.
Śpij świecie twardo w białych ramionach zimy.
Serce Ziemi bije spokojnie.*

[MOTYW Z BRODSKIEGO]

Nie jestem pewien czy wers: „Stirliz nie zwalniał kroku” na pewno był w korpusie tekstu. Wiersz cytuję bowiem z pamięci. Ale nawet gdyby w wierszu nie było wzmianki o podstawionym Standartenführerze, to nie sądzę by tekst stracił na wartości.

Poetka dynamikę i sposób narracji żywcem przeszczepia na grunt polski prosto od Lioznowej i Juliana Siemionowa. Gdyby Hitler skapitulował w grudniu, powyższy tekst Marzeny Brody mógłby być świetnym opisem zimowego spacerku Maxa Otto von Stirlitza.

Równie dobrze pasowałyby do scenariusza kolejny wiersz poetki Brody z omawianego tomiku. Pod warunkiem oczywiście, że autorka dałaby się namówić do małej korekty. Chodzi mianowicie o zdanie: „Mróz tuli w ramionach cienie” oraz o „sen przytulony do wiatru”. Tego typu pieszczoty – abstrahując od samego czasownika „tulić”, który ma charakter dekadenski – są obce zdrowej tkance klasy robotniczej. Są przeżytkiem zapożyczonym ze zdegenerowanego, chorego świata zachodu. I dlatego należałoby przeredagować owe fragmenty. Poza tym wiersz „Zima” (bo o nim mowa) jest zgodny z linią partii i powinien znaleźć się w serialu: Семнадцать мгновений весны II.

Oto rzeczony tekst:

*Zima to śnieg, świat na białą, noc
poszarpana pazurem księżycy, drogi
bez śladów, drzewa odświeżone —
pingwiny na brzegu zatoki.
Wszystko ma kształt myśli rzuconej
w przestrzeń. Mróz tuli w ramionach
cienie. Powietrze jest podszyte chłodem,
wargi posiwiące. Śpią słowa, skały, sen
przytulony do wiatru. Nie ma płynnych
gestów, ptaków zmęczonych słońcem.
Zima ma jeden wymiar, skrzy się
jak gwiazda zerwana z nieba.*

*Jest zaledwie chwilą, pierwszym oddechem.
Czyste są kolory zimna, żyją wyobraźnią
czasu na własnej planecie. Gdy sypie śnieg,
świat poważnieje w dolinach dłoni.*

[zima]

Z socjalistycznym pozdrowieniem

Cenzor.

Bianka Rolando, Biała Książka

Hitem salonu literackiego roku 2009 jest Bianka Rolando. Ów produkt miłości polsko-włoskiej (lub włosko-polskiej) najpierw okazał się być utalentowany w dziedzinie sztuk plastycznych. Dopiero później okazało się, że Bianka jest równie utalentowaną poetką.

W tym przypadku mamy do czynienia z sytuacją odwrotną niż jak to ma miejsce z przydziałem i kolejnością uzdolnień u Jacka Dehnela. Ten najpierw objawił się jako literat, później jako gej a następnie jako malarz. Czy Bianka Rolando kocha inaczej - o tym jeszcze artystka nie poinformowała, bo nie było takiej potrzeby marketingowej.

Do rzeczy.

Był piękny majowy dzień. A ściślej: to było piękne przedpołudnie dnia piątego maja roku 2009. A jeszcze dokładniej: o godzinie 10:03 i 52 sek., piątego dnia piątego miesiąca dziewiątego roku drugiego tysiąclecia Justyna Radczyńska-Misiurewicz – prywatnie żona pana prezesa z zawodu pracodawczyni Jacka Dehnela – na jednej ze swoich stron w Internecie zainicjowała na forum wątek pt. „*Bianka Rolando w Warszawie*” o treści następującej:

Dyskusja o Białej książce z udziałem autorki Bianki Rolando

oraz Justyny Sobolewskiej ("Polityka") i Piotra Kępińskiego ("Newsweek")

6 maja 2009, godzina 18.00

Austriackie Forum Kultury w Warszawie, ul. Próżna 8

Po spotkaniu zaprasza się na poczęstunek.;-)

Organizacja i organizacje: Wydawnictwo św. Wojciech, Austriackie Forum Kultury, Newsweek Polska i Art Stations Foundation

Jakież smutek musiała ogarnąć Panią Prezes. Jakież to żal zdominował bogate skądinąd wnętrze tej zacnej osoby, gdy co pięć minut odświeżając stonkę nie doczekała się ani jednego wpisu, ani jednej reakcji na anons dotyczący Bianki Rolando i jej dzieła literackiego. Wszystko było tak jak trzeba. Napisała co, gdzie i kiedy. Podpisała się imieniem i nazwiskiem. Nawet napisała o poczęstunku i o tym, że będzie za darmo. Kto odmawia w dzisiejszych czasach darmowego jedzenia? Kiedy paczka parówek morlinek kosztuje siedem złotych polskich każda możliwość darmowego wiktus jest dosłownie na wagę złota.

Miała dwa wyjścia. Pierwsze: stracić wiarę i porzucić misję tyrania na wirtualnej grzędce tkanki duchowej narodu. Powrót do roli gospodyni domowej, która gotuje obiadki panu prezesowi nie był taki zły. Ale Pani Prezes wiedziała, że koniec jej Fundacji Literatury w Internecie oznacza koniec legalnego zatrudnienia Jacka Dehnela. Nie chciała żeby ta szlachetna i delikatna natura błąkała się po kolejnych piętrach Urzędu Pracy. Przecież ten

wydelikacyony młodzieniec, wypachniony, ogolony, ubrany w cylinder, z laseczką w dłoni i przydługą kapota na ramionach przepadłby w tłumie spoconych, bezzębnych natur ludzkich. Wiedziała, że musi coś zrobić. Dlatego też następnego dnia, a dokładniej 2009-05-06 o godzinie 08:22:09 – czyli tuż po nakarmieniu dzieciaków, męża i po nałożeniu pierwszej warstwy podkładu na dekolcie i w okolicy oczu napisała:

Rzecz Bianki Rolando jest arcydziełna. Tak, nie przesadzam. Takie książki to święto.

Jeśli ktoś nie zna i może przyjść niech się zapozna, nie będzie żałował.;-) Jeśli ktoś zna to wie o czym piszę i naturalnie...

wie najlepiej.;-)

I znowu ten hatemelowski uśmieszek i ta nieznośna chwila napięcia. I tym razem nie wydarzyło się nic. I ten post nie zadziałał.

W bogatym i uduchowionym wnętrzu pojawiło się najpierw z wątplenie a później złość, która zmieniła się ostatecznie w rezygnację.

Kiedy dzień później – siódmego maja pojawił się pierwsza reakcja na prezesowski anons, Justyna Radczyńska-Misiurewicz nie zareagowała. Jakby straciła wiarę w narodową estetykę. Nie kontynuowała wątku. Pozwoliła mu umrzeć. I wątek umarł.

Ale nie Bianka Rolando. Ta jako malarka i poetka miała i ma się dobrze.

W tekście *O chwale Ateńczyków (Πότερον Αθηναίοι κατά πόλεμον ή κατά σοφίαν ενδοζότερο*, 476 f, ed. Stephanus, 1572, T. IV), Plutarch cytuje sławne – także dziś - powiedzenie Simonidesa, że poezja jest mówiącym malarstwem, malarstwo zaś jest milczącą poezją.

Nie wiem o czym milczy malarka Bianka, ale chciałbym dowiedzieć się o czym mówi poetka Rolando. Dzwonię do kilku znajomych. Wysyłam odpowiednie majle. I po kilku dniach dostaję solidny załącznik w PDF. Trochę tego jest. Płytką z nagraniem ma przyjść pocztą.

- Pierdołę. Na chuj mi nagranie Maksia, który zamiast „kobieta mnie bije” będzie mi recytował wierszyki. Jakoś nie wierzę spoconemu grubasowi.

Jerzy Stuhr miał w życiu kilka dobrych ról. Ale według mnie on i poezja to byty kompletnie nieprzystające. Mogę sobie wyobrazić scenkę łóżkową, w której Jerzy gramoląc się na rozebrana kochankę sapie:

Chodź tu kotko miauu, miauu
Pokażę ci com chciauu chciauu

Ale sytuacja: Jerzy Stuhr czytający wiersze Stefana George – to przekracza nawet moją osobistą power of imagination.

Otwieram załącznik PDF. *Biała Książka*. Skan okładki: jakieś biuściaste ciało z zaznaczonymi odległościami. Myślę sobie – to pewnie artystyczne nawiązanie do tej części duszy i twórczości Bianki Rolando, w której objawia się jako malarka. Taka wariacja na temat znanego rysunku człowieka wpisanego w kwadrat Leonarda da Vinci.

Ale to nie rysunek fokusuje moją uwagę, ale przymiotnik: „biała”. W głowie mi kołacze: biała, biała, biała plama, hic sunt leones.

Wyruszam na podbój Afryki.

Tekstem z *Białej Książki*, który szybko stał się moim ulubionym, jest *Pieśń Piąta*. Jest to stosunkowo długi tekst i żeby nie zanudzać czytelnika postaram się go streścić. Otóż *Pieśń Piąta* opowiada o tym jak to osoba, rodzaju żeńskiego chodzi sobie po mieście. Jest to niezwykle podmiot liryczny. Bo kiedy wsiada do autobusu, to:

*Dziewczyny na mój widok mocniej przytulają
swoich przystankowych towarzyszy, drżąc
jak sadzonki pomidorów wspierające swój ciężar
na solidnych patykach, które korygują ich kształt*

Podmiot liryczny, jak zwykły pasażer, musi wysiąść kiedyś z autobusu MZK. Wówczas skazany jest na perypatetyczny ogląd rzeczywistości. I oto, co widzi:

*Chodzę, patrząc się na bezcelowy ruch
Ich mobilność jest absolutnie zbędna
Na dworcach świata mam swoje apartamenty
President Suite z marmurową posadzką
Oddaje mi ona swój zbawienny chłód, spokój
Obdarty jestem z koronek tłumiących oddech i ciało
Drapię się za uchem, spoglądając na wysokie kobiety
w reklamówkach całe życie za 35 złotych z resztą
Jestem cieniem, przybrudzonym krawężnikiem
w którym zbierają się kałuże, mokre odpadki*

Jestem przekonany, że mówiąca malarka mogłaby w podobny sposób zdać relację z turnieju szachowego. Wszak opanowała do perfekcji odpowiednie metrum.

Następna *Pieśń* Bianki Rolando – *Pieśń Szósta* – także porywa. Oto początek, który jest forpocztą „arcydzieła” – jak to trafnie ujęła Justyna Radczyńska-Prezes-Misiurewicz:

*Chłodny poranek zaglądał mi ostro w oczy
jego mocne uderzenia to jasna tenisówka
Prosto w głowę pachnącym butem z gumy
W mojej głowie jeszcze vino bianco*

[pieśń szósta]

Ale nie tylko „chłodny poranek zaglądający w oczy” może być problemem. Bianka Rolando z właściwą sobie lekkością obrazowania pisze o innych udrękach powodowanych przez prozę życia:

*Poczułem przeciągły ból w klatce piersiowej
cicha czerń okryła moje zmęczone oczy
Bolesna depilacja trwała zaskakująco krótko*

[pieśń szósta]

Przestrogi dla zawałowców w społeczeństwie, w którym obniża się wiek osób zagrożonych zawałem mają wyjątkową wartość edukacyjną. O depilacji nie mogę nic powiedzieć. Pozostaje mi tylko uwierzyć podmiotowi lirycznemu na słowo.

Pieśń Siódma niczym nie zaskakuje. Widać, że poetka-malarka obywatelstwa polsko-włoskiego jest w wyjątkowej formie. Oto dowód:

*Tchnienie jak wiatr zdmuchnęło mnie czule
ruszyłem w kierunku cichych konstrukcji
pelen nieśmiałego oczekiwania na jakieś zaproszenie
to wszystko przez te kokosy, jak zwykle
Ich egzotyczna woń kołysała mnie w uśpieniu
CHODŹ - szepnęło niejęzykiem jakieś nieistnienie*

[pieśń siódma]

„ciche konstrukcje”, „czule zdmuchnięcia”, „nieśmiałe oczekiwania”, „egzotyczne wonie” – wszystko to znamy z klasyki polskiej poezji kobiet – tomiku *Pożegnanie z czerwienią* Ewy Lipińskiej. Bianka Rolando świadomie i odtwórczo podąża za kanonem, który wyznaczył tekst starszej koleżanki pt. *Przebudzenie*” a który wszedł do klasyki poezji kobiet:

*siwy mróz jak rozczochrana broda
zimne światło z trudem przebija noc
zmarznięte dłonie chowam głęboko
w pamięć twojego ciepła*

*zaciskam mocno powieki
bezczelnie wpycha się blady świt
w sam środek snu
gdzie pomarańczowe ciepło kamasutry
owija mnie szczelnie jak sari
które odplątywałeś tak cierpliwie
jak niecierpliwie mnie potem kochałeś*

[przebudzenie]

Bianka Rolando – literackie objawienie roku 2009 – oprócz przymiotniczków stara się zaoferować swoim czytelnikom kilka ważnych i pożytecznych nauk. Proponuje m.in. przyspieszony kurs akustyki:

*Żaden z tych głosów nie był głośniejszy czy cichszy
dlatego wszystkie były słyszalne równocześnie*

[pieśń siódma]

Następnie kurs socjologii dla początkujących:

Chodź do nas, chodź do nas, wielość cię woła

Jesteśmy cudnie przeludnieni

[pieśń siódma]

I na końcu kurs mechatroniki dla zaawansowanych:

*Usłyszałem w swoim duchu rwącą tęsknotę
byłem ścigany z wielką szybkością*

[pieśń siódma]

Oczywiście sprawę można skwitować następująco: wszystko można sprowadzić do absurdu. Wszystko i wszystkich jeżeli ma się na to ochotę i jeżeli się sprowadzać do absurdu potrafi. Twórczość Bianki Rolando także.

Jednak można sprawę przedstawić inaczej. Wiersze rekomendowane przez Justynę Radczyńską nie mogą być przecież banalną sieczką. Muszą to być teksty ważna zarówno pod względem estetyki, sposobu narracji jak i treści. Nie może być tak, że rukowoditiele mylą się w swoich rekomendacjach. Ja się mogę pomylić. Może się pomylić Bianka Rolando, ale Justynie Radczyńskiej mylić się nie wypada.

Dlaczego jest tak, że mimo gorących, powtarzanych jak dogmat zapewnień: „Rzecz Bianki Rolando jest arcydziełna”, w *Białej Księżce* czytam:

*Kim jesteś, o piękna przyjaciółko moja
o rudych włosach, zawsze mi się takie podobały
spiętych jak kurtyna, tylko dwoma punktami
Jakże twoje jasne oblicze jest olśniewające
Piłaś zawsze esencję z herbaty, inni rozwadniali
stąd pewnie twój herbaciany odcień
Twoją cerę pokryły piegi i niedoskonałości skóry
wrażliwej z tendencją do wysuszania się
Z długimi nogami na ręczniku plażowym leżysz
kremem posmarowana UV 100, byś się nie spaliła
jesteś tak cholernie wrażliwa na wszystko*

[pieśń dziesiąta]

Czy tylko ja widzę tu banalny landszaft z jelonkiem na rykowisku?

PS.

Jeżeli Bianka Rolando maluje tak jak pisze, to wkrótce jej grafiki będą zdobiły ściany restauracji sieciowych SFINX, FARAON itp., w całej Polsce.

PS.II

Tak się zaczytałem, że nawet nie zauważyłem, że to nie Jerzy (Maksiu) ale Maciej (z Poranku Kojota) recytuje wiersze.

Bianka Rolando, Biała Książka (II)

Uzasadnienie JURY

Szanowni Państwo, jako przewodniczący Jury tego prestiżowego konkursu na wstępie chciałbym podziękować wszystkim autorom, którzy nadesłali wiersze. Z roku na rok odnotowujemy coraz większe zainteresowanie naszym konkursem. Zwiększa się także poziom artystyczny nadsyłanych tekstów. Dlatego coraz trudniej wybrać nam, doświadczonym przecież jurorom, którzy za honoraria jurorskie niejedną zgrzewkę piwa kupili i niejedną kebab zjedli, właśnie ten jeden, ten jeden jedyny wiersz warty miliona dolarów.

Zanim ogłosimy zwycięzcę przypomnę tylko, że wyboru dokonało bardzo, ale to bardzo profesjonalne jury w składzie: **Marek Trojanowski** (przewodniczący jury), **Bronisław Maj**, **Rafał Rżany**, **Piotr Śliwiński**, **Mariusz Grzebalski**, **Stanisław Bereś**, **Jakub Momro**, **Anna Kałuża**, **Alina Świeściak** oraz aktor **Maciej Stuhr**, który sam nie bardzo wie co tu robi.

Nie muszę chyba dodawać, że jurorzy, to osoby mogące poszczycić się dorobkiem w dziedzinie poezji – z reguły są to tomiki wydane własnym sumptem, czasami tomiki pokonkursowe, ale zawsze tomiki.

Przejdźmy już do konkretów. Szanowni Państwo, mamy zaszczyt ogłosić, że pierwsze miejsce i główną nagrodę w wysokości jednego miliona dolarów, w **Ogólnopolskim Konkursie Jednego Wiersza** wygrała pani **Bianka Rolando** – godło: „Tak, tak, to ja” wierszem pt. *Pieśń piąta*. Oto zwycięski wiersz:

*Pierwszy kawalek
o najbardziej łagodnych krawędziach
Z powiewem wiatru w przyszerokich spodniach
wielokrotnie rozrywanych w bolesnym kroku
od zbyt długich i tanecznych kroków
z oddechem, którego wszyscy unikają
podśmiechują się ze mnie w autobusie, jestem Blu
Dziewczyny na mój widok mocniej przytulają
swoich przystankowych towarzyszy, drżąc
jak sadzonki pomidorów wspierające swój ciężar
na solidnych patykach, które korygują ich kształt
Dzieci patrzą na moje ciemne oblicze
szukając oczu do rozpoznania twarzy
Chodzę, patrząc się na bezcelowy ruch
Ich mobilność jest absolutnie zbędna
Na dworcach świata mam swoje apartamenty
President Suite z marmurową posadzką
Oddaje mi ona swój zbawienny chłód, spokój
Obdarty jestem z koronek tłumiących oddech i ciało*

*Drapię się za uchem, spoglądając na wysokie kobiety
w reklamówkach całe życie za 35 złotych z resztą
Jestem cieniem, przybrudzonym krawężnikiem
w którym zbierają się kałuże, mokre odpadki
wsiąkają we mnie swobodnie i lekko
Wystraszeni swoją pewnością siebie, uciekają
na drobnych nóżkach, w podziemne przejścia
Szarobura cera uczyniła mnie prawie umarłym
co może stać z człowiekiem, gdy nie słucha mamy
co może stać się z człowiekiem, gdy nie słucha innych
Moje kroki bujają się w rytmie siarczanych opowieści
Prawdziwie niesamowite, bo oni tak zawsze
moi kompani częstują mnie nimi jak papierosami
Nie mam przeszłości, nie mam ani ojca, ani matki
nie mam licznych siostr, braci, przyjaciół, wrogów
nie mam kochanek, ani kochanków
nie płaczę, nie szukam pocieszenia
ani laski, ani litości, ani gniewu, ani ciebie
Nie jestem samowystarczający, ale wystarczający
dlatego jestem nieproszonym dozorcą
komentatorem pięknych, rozproszonych detali
Dostaję grosze od zgarbionych ludzi
dzięki temu co dzień jem czerstwy chleb
piję najtańsze, wiśniowe wino
w plastikowo-kryształowym kielichu uwielbienia
Toczą mnie w środku jakieś nieznane choroby
których objawów ciągle oczekuję
Z pełną świadomością przyjmuję wszystko
Moje ciało tęskni już za rozkładem
Czuję tę piękną i skuteczną presję
tę dyskretną elegancję wycofywania się
w środku przyjęcia*

Chciałbym teraz przeczytać uzasadnienie werdyktu. Proszę Państwa, dostojna laureatko oraz wy wszyscy, którzy wysłaliście swoje wierszyki, oto uzasadnienie:

Błyskotliwy poetycki koncept, ironia, humor - jak w liryce Wisławy Szymborskiej. Niezwykle skupienie wizji i kondensacja sensów - jak u Emily Dickinson. Kunsztowna konstrukcja wiersza - jak u Brodskiego czy Heaney'a. Zachwycające wirtuozeria języka - jak u Barańczaka. (1) Stanowi dobre jej podsumowanie, jak gdyby streszczając ścieżkę, którą podąża ta liryka: wąską, pełną zakrętów i uskoków, pomiędzy życiem "czystym" a życiem zamykanym w słowach. Życiem od pisania niezależnym, powiedzmy: literacko nie (nad)świadomym, ale życiem biegnącym niby w rytm napędzanych przez nie słów (jest to więc relacja jak najbardziej zwrotna). To wiersz, w którym równe prawa mają język i wchodząca w niego rzeczywistość. Przychodzą mi na myśl słowa "zamieszkać w języku", przy czym koniecznie trzeba powiedzieć, że "zamieszkać" jest tu może nawet ważniejsze i pseudonimuje szereg "ustateczniających" wartości, przede wszystkim miłość kobiety i więź (co nie znaczy jedność czy zgodę) z Bogiem.(2) Bianka Rolando porywa się na rzeczy niepopularne i ponoć niemożliwe. Ryzykuje i więzi uwagę czytelnika. (3) Te tajemnicze, zwrócone ku sobie i wzajemnie oświetlające się mini-fabuły mają w sobie coś z mrocznego

mitu. Żyjący na pograniczu snu i jawy, ascetyczny podmiot bardziej przypomina humanoidalną hybrydę niż człowieka. Ludzkie są jego uczucia, zwłaszcza niespełniona miłość - cicha bohaterka tego tekstu.(4) Urzeka ta umiejętność płynnego przechodzenia z tej naszej prozaicznej rzeczywistości w jakiś specyficzny zaświat czy międzyświat, uruchamiany zarówno myśleniem o naszym organicznym zanurzeniu w niebyt, "życie po życiu", śmierć, sen, stany prenatalne oraz egzystencje równoległe czy alternatywne, jak i doświadczeniem poetyckim, będącym formą wyobraźniowej wyprawy w uniwersum kształtów, obrazów i duchowych wydarzeń, które nic nie mają wspólnego z naszym mozolnym czołganiem się ciałem i zmysłami po ziemi (5) Zdaje się być szukaniem uzasadnień tak dla poezji, która nie chce być zniekształconym echem swoich dawnych możliwości, jak i dla życia, które nawet jeśli nie wierzy we własną wypowiedzialność - musi mówić (6). *Pieśń Piąta* (7) rządzi się logiką przemieszczenia, a poetka namiętnie tropi oznaki podstawień jednych słów pod drugie, uniemożliwiając językowi znieruchomienie. (8) Poetka zmieniała jednak tonację: mroczniejsza, pesymistycznie podbija ciemne sensory (9) Żongluje poetykami, ale nienachalnie. Ślady symbolizmu czy (przede wszystkim) surrealizmu nie trącą w jej wierszu pretensjonalnością, efekt rozsunęcia rzeczywistości i podmiotu nie jest ani modernistycznie udramatyzowany, ani beztrąsko spostmodernizowany. Co prawda heterotopie, językowe dryfy powodują tu alienację języka, uwalniają go od ładu, który nim rządził, i ustanawiają ład nowy, "czynny do odwołania", ale język, wypróbowując wciąż nowe możliwości połączeń, usiłując ustanowić nowe zasady ładu, szuka kontaktu ze światem (10) Bianka Rolando uczy nas czytać na nowo (11).

Przypisy:

- 1 [Bronisław Maj, Agnieszka Kuciak, *Retardacja*]
- 2 [Rafał Rżany, Tadeusz Dąbrowski, *Te Deum*]
- 3 [Piotr Śliwiński, Bianka Rolando, *Biała Książka*]
- 4 [Mariusz Grzebalski, Sławomir Elsner, *Antypody*]
- 5 [Stanisław Bereś, Bogusław Kierc, *Zaskroniec*]
- 6 [Piotr Śliwiński, Wojciech Bonowicz, *Pełne morze*]
- 7 [Marek Trojanowski]
- 8 [Jakub Momro, Andrzej Sosnowski *Dożynki 1987-2003*]
- 9 [Anna Kałuża, Julia Fiedorczyk, *Planeta rzeczy zagubionych*]
- 10 [Alina Świeściak, Łukasz Jarosz, *Biały tydzień*]
- 11 [Maciej Stuhr, Bianka Rolando, *Biała książka*]

Tadeusz Dąbrowski, Te Deum

O Tadeuszu Dąbrowskim, tegorocznym laureacie Nagrody Kościelskich tak mówią na salonach:

*Twórczość Dąbrowskiego, wyróżniająca się ostrością widzenia spraw estetycznych, egzystencjalnych i metafizycznych, jest jednym z najciekawszych osiągnięć najnowszej polskiej poezji (źródło: **uzasadnienie jury**)*

Piotr Matywiecki – salonowiec pierwszego sortu – twierdzi, że:

Tadeusz Dąbrowski to wielka i spełniająca się nadzieja polskiej poezji. Należy do najmłodszego pokolenia twórców, a już zdążył zaimponować krytyce i czytelnikom niezwykle interesującymi przemianami. I właśnie teraz osiąga dojrzałość.

Po trzeciej dokładce sałatki majonezowej - obowiązkowego posiłku salonowego - oraz po dwunastu lampkach czerwonego wina marki Sophia, które nienaturalnie pieni się w kieliszkach (kto by się przejmował takimi detalami, gdy mowa o tego typu absolutach jak Dąbrowski), Matywiecki ogłosił:

Zapowiedzi te spełniły się nade wszystko w znakomitym, dojrzałym tomie Te Deum (2005). Należy ten zbiór do bardzo charakterystycznych przejawów czegoś, co nazwałbym teatralizacją liryki dzisiejszych młodych poetów, którzy świadomie "ogrywają" swój występ przed publicznością czytelniczą. Poeta jest w książce Dąbrowskiego aktorem swojego ja, a wiersz stanowi jakby scenę dla jego monologu. Monolog ten wygłaszany jest niejako "na stronie" - niby samotny, a przecież w obecności innych postaci i w obecności widowni. Mamy wrażenie, że podmiot tych utworów kultywuje własną chłodną tożsamość, że utrzymuje się w równym dystansie do przeżywania własnego egocentryzmu i do obiektywistycznej obserwacji świata. (Poprzednikiem Dąbrowskiego w tym stylu poezjowania był Marcin Świetlicki.)

Jest coś hamletycznego w postawie bohatera tych wierszy. To bezkompromisowa, krytyczna młodość, która wie już, że nieuchronnie świat uwikluje ją w swoje nieczyste gry. Hamletyczne jest także ironizowanie i częsty sarkazm Dąbrowskiego.

Żiri od Nagrody Kościelskich zapewne ma rację. Nie myli się także Matywiecki. Dlatego najwyższy czas, by ktoś się pomylił – niech to będę ja.

Uwagi wstępne.

Niniejszym oświadczam, że nie wiem co znaczą lub co znaczyć mogą takie pojęcia jak:

*ostrością widzenia spraw estetycznych
ostrość widzenia spraw egzystencjalnych
ostrość widzenia spraw metafizycznych*

Błędne pojęcia nie mam co znaczy, że:

Poeta jest w książce Dąbrowskiego aktorem swojego ja

Może chodzi o to, że:

Dąbrowski jest w książce poetą aktorem swojego ja

Tylko drukarzowi coś się pomieszało?

Nie wiem także dlaczego Matywiecki palaszując sałatki, popijając Sofię tak bardzo się asekuruje pisząc o *Te Deum* Dąbrowskiego. Pisze:

*„wiersz stanowi **jakby** scenę dla jego monologu. Monolog ten wygłaszany jest **niejako** „na stronie” - **niby** samotny”*

Zastanawiam się także czy tylko ja widzę różnicę między tym zdaniem a jego inną wersją:

wiersz stanowi scenę dla jego monologu. Monolog ten wygłaszany jest „na stronie” – samotny

Czy Matywiecki w przerwie koniecznej do pokonania odcinka między tacką serów a blachą z zapiekanką z łososia w sosie beszamelowym zdał sobie sprawę, że jakiś inny bywalec salonu, którego może spotkać w trakcie salonowej odysei między kolejnymi potrawami, powie mu:

- Co ty chłopie pierdolisz? Jaka scena? Jaki monolog? Jakie „na stronie”?

On, ocierając serwetką tłusty majonez z brody, odchrząknie i powie:

- *No wiesz, to jest taka „jakby” scenka, „jakby” monologu, który wygłaszany jest na „niejako” stronie. A samotność to jest tu taka „niby” – mówiąc to, Matywiecki mrugnie porozumiewawczo do kolegi po fachu.*

- Acha – odpowie kolega. I na tym się rozmowa zakończy. Matywiecki odetchnie z ulgą.

Chce się czegoś nauczyć myśląc się w trakcie. Sięgam po **Te Deum** Tadeusza Dąbrowskiego.

Pierwsze Prawo Trojanowskiego brzmi:

Jeżeli pierwszy wiersz w tomiku jest do dupy, reszta jest do kitu.

By się czegoś nauczyć czytam na głos pierwszy wiersz:

C z w o r o b o k

*Przychodzi prędko poranek na cię,
oobywatelu ziemi!
Ez 7, 7*

*Samochody spływają jak krople po sznurku szosy,
potem zniecka wsiąkają w osiedla i podwórza,
żelbetonowe ogrody hipermarketów. Woda*

*niczego nie obmywa, natrętnie bębni w skroń, szuka
pionu; kropla pyta kroplę o drogę.
Odwracam się na drugi bok, tu nagie drzewa*

*prężą się, jakby chciały młodymi gałęziami
podeprzeć nośną ścianę nieba, na której robaki
niebanalnie udają ptaki i zaciek równie*

*ciekawie się rozlewa w jakiś sztuczny kwiat.
Wstaję, budzę się, włączam telewizor; świat
wraca do początku.*

Oto nauka, którą wyniosłem z krótkiego pobytu na salonie:

Widok „samochodów spływających jak krople po sznurku szosy” zawdzięcza Dąbrowski „ostrości widzenia spraw estetycznych”. Natomiast fakt, że samochody te, po tym jak już spłyną, to „znieca wsiakają w osiedla i podwórza, żelbetonowe ogrody hipermarketów” wziął się z „ostrości widzenia spraw egzystencjalnych”. Ostatni rodzaj ostrości – „ostrość widzenia spraw metafizycznych” pojawia się, gdy podmiot liryczny w wierszu „odwrócił się na drugi bok”. Wówczas to ujrzał: „nagie drzewa”, które „prężą się, jakby chciały młodymi gałęziami podeprzeć nośną ścianę nieba”.

Kiedy sobie pomyślę, że nowe spory teologiczne będą dotyczyły tego, czy niebo ma jedną ścianę nośną czy też nieskończenie wiele? Czy istnienie ścian nośnych wyklucza istnienie ścian działowych? W końcu, czy ściany są pomalowane na białą, a może w niebie wolą jednak tapety? Kiedy sobie o tym wszystkim pomyślę, to zaczynam wierzyć, że myślenie powinno być reglamentowane w jakiś sposób. Że najlepiej to w ogóle nie myśleć i po prostu wierzyć Matywieckim i członkom żiri. Wierzyć w to, że Tadeusz Dąbrowski jest nadzieją polskiej poezji. W takie coś można tylko wierzyć. credo quia absurdum est.

Joanna Gładkowska, Hallo poezja

Jest rok 3274. Na Ziemi nic się zmieniło. Ludzie są tacy jak dawniej. Koty także są takie jak kiedyś. Żeby się wysrać muszą czuć piasek pod łapkami. Nawet słońce, które zgodnie z przepowiedniami miało wybuchnąć, wypalić się lub coś w tym rodzaju, w dalszym ciągu wschodzi na wschodzie i zachodzi tam gdzie zawsze zachodziło. Innymi słowy: nuda. I gdyby nie maleńka stacja badawcza w okolicach pierścieni Saturna, można by sądzić, że czas na tej planecie zatrzymał się dawno, dawno temu, gdzieś w okolicy XXI w.

- Dawaj tu tę kurwę Hans – ryknął złowieszczo Brunner trzymając w ręku solidny kawałek stalowej linki.

- No trzymaj, żeby się nie rzucała – sapał, mocno przywiązując jej kończyny do oparcia aluminiowego krzesła.

Hans Skywalker w trakcie przesłuchań odgrywał zawsze tego dobrego. Prywatnie: mąż trzech kobiet, ojciec siódemki dzieci. Zawsze uważał, że siedem przynosi szczęście. I rzeczywiście, szczęścia nigdy mu nie brakowało. Zaraz po studiach dostał etat na międzyplanetarnej stacji badawczej, w której przesłuchiowano kosmitów. Nie było to zadanie łatwe. Przez 3200. lat naszej ery ludzkość z niecierpliwością oczekiwała Bliskiego Spotkania. Powstało wiele filmów na ten temat, sformułowano dziesiątki hipotez naukowych, wysyłano w przestrzeń kosmiczną zaproszenia drukowane na złotych płytkach. Nawet dzieci śpiewały piosenki o małych, zielonych ufoludkach. Bez skutku. Aż do tego dnia.

To było normalne popołudnie. Normalne psy poszczekiwały w obejściach normalnych domów na przedmieściach normalnego miasta, w którym roilo się od normalnych ludzi i równie normalnych zdarzeń. Oczywiście tego dnia, wszyscy normalni mieszkańcy przedmieść byli w pracy i nie złościło ich poszczekiwanie psów, za który ich właściciele w dzień wolny od pracy zgarnęliby normalny opierdol. W poniedziałkowe popołudnia normalne psy mogły szczekać do woli.

Statek kosmiczny wylądował z hukiem punktualnie o godzinie trzynastej dwadzieścia jeden. Po ilości decybeli i kurzu, który towarzyszył lądowaniu można było wnosić, że talerzopodobna kapsuła lądowała awaryjnie lub też – co się później okazało prawdą – najnormalniej w świecie się rozbiła.

Łatwo się domyślić, że zdarzenie to wywołało sensację. Międzynarodowy komitet powitalny, złożony z prezydentów, premierów, papieża, który występował jak zwykle w podwójnej roli: jako pasterz stada wiernych owieczek i przedstawiciel wszechmocnego Pana Mogę.

A propos Pana Mogę. Otóż na soborze w Kozuchowie w roku 2562, kategorię „bóg” uznano za przestarzałą. W imię podążania za zmianami, zdecydowano się na śmiałą reformę. Starego Stwórcę wysłano na zasłużony urlop. Na tronie wszechwładcy zastąpił go nowy, lśniący niczym zderzak Cadillaca Eldorado z 1954 r., Pan Móc. W społeczeństwie superkonsumpcyjnym hasło „chcieć to móc, móc to chcieć” nabrało niemalże mistycznego wymiaru. Takiej mistyki o charakterze masowym potrzebował Kościół od zawsze. Tyle o reformie.

W każdym razie, wszyscy mieszkańcy ziemi powitali tego dnia kosmitów. Ślęcząc przed telewizorami, które nigdy nie wyszły z mody, społeczeństwo popijając piwo, przegryzając chipsy, chrupiąc popcorn – potrawy zawsze na czasie – tyło i rozkoszowało się każdą sekundą Bliskiego Spotkania.

Entuzjazm zaczął opadać w okolicach trzeciego miesiąca pobytu Obcych na Ziemi. Emisje na żywo przerywano coraz krótszymi reklamami. Ludzie często zmieniali kanał. Dlatego zainteresowanie ze strony reklamodawców spadło. W końcu ile można wlepić się w talerzopodobny statek Obcych? Gdyby chociaż wydobywały się z niego jakieś dźwięki, gdyby błyskał jakimiś laserami, które pulweryzowały by każdego, kto się zbliży – innymi słowy: gdyby coś się zaczęło z nim dziać, to spektakl o nazwie „Relacja na żywo z lądowania obcych” zmieniłby się osobny kanał tematyczny o wdzięcznej nazwie Alians TV.

Kiedy społeczeństwo nasyciło ciekawość do tego stopnia, że na metalicznych powłokach niestrzeżonego Statku Kosmicznego zaczęło pojawiać się tu i owdzie graffiti, do akcji postanowili przystąpić naukowcy. Przy użyciu archaicznych metod – palnika acetylenowego, szlifierek kątowych i łomów – sforsowano coś, co uznano za wejście, a co faktycznie było nierównością w poszyciu. Jak się później okazało, kosmici używają technik teleportacyjnych. Drzwi nie były im do niczego potrzebne.

W środku odnaleziono trzech kosmitów. Istoty były w świetnej kondycji psychicznej. Zdrowe, dobrze odżywione. Wszystko wskazywało na to, że jest dobrze. Potwierdzały to grymasy twarzy Obcych, które antropolodzy rozpoznali jako uśmiechy. Innymi słowy: aliensi uśmiechali się do ludzi, którzy kilka minut wcześniej rozwalili im palnikiem ścianę statku kosmicznego. Można było tłumaczyć pewną kurtuazją i traktować owe uśmiechy w kategoriach pewnych procedur dyplomatycznych. Wszak na pierwszym, historycznym Bliskim Spotkaniu nie wypada okazywać wrogości.

Dzisiaj wiemy, że nie chodziło tu ani o dyplomację czy kurtuazję ale o zwykłą głupotę. Kosmici okazali się największymi głupkami w kosmosie, bo tylko tego rodzaju głupota – kosmiczna głupota – prowadzi do trzeciej planety tego układu słonecznego.

Kosmiczne mamy powtarzały swoim kosmicznym dzieciom:

- Droga Mleczna, bleeee
- Układ Słoneczny, bleeeee
- Ziemia, bleeee
- Człowiek, bleee

Na każdym szczeblu kosmicznej edukacji uczono, że spotkania z człowiekiem nie mają sensu. I że zawsze źle się kończą – na stole sekcyjnym jakiegoś tajnego laboratorium wojskowego. Dzieciom w celach instruktażowych pokazywano slajdy z incydentu z Roswell. Powtarzano, że homofilia – czyli miłość do człowieka – zawsze tak się kończy. Ci, którzy uważają inaczej prędzej czy później skończą w próbkach z formaliną. Pokawałkowane ciała robiły kosmiczne wrażenie, zwłaszcza na kosmicznych maluchach, uczonych poszanowania dla wszelkich form życia. Kiedy dzieci dorastały, pokazywano im zdjęcia wybuchów nuklearnych. Kosmiczna młodzież dziwiła się, że czystą energią atomu można wyzwać bez żadnej kontroli. Każdy nastoletni kosmita po obejrzeniu filmu z Hiroszimy wiedział, że ostrzeżenie wytłoczone na tylnej obudowie kosmicznego piekarnika - „W celu wymiany

rdzenia grzewczego zaleca się wezwanie wykwalifikowanego pracownika serwisu” - ma głębszy sens.

Do godziny trzynastej dwadzieścia jeden tamtego feralnego popołudnia, od początku istnienia gatunku homo sapiens, kosmitom udawało się omijać Ziemię. Za wyjątkiem tych nieszczęśników z Roswell żaden kosmita nie postawił stopy, macki, płetwy – czy też innego organu odpowiedzialnego za poruszanie się – na powierzchni niebieskiej planety. Ludzie, utwierdzeni w przekonaniu, że są sami we wszechświecie dusili się we własnym sosie. Wszystko to odbywało się z korzyścią dla wszechświata. Rasa homo sapiens była inwazyjną, drapieżną rasą, niespotykaną na taką skalę w kosmosie. W tym sensie ludzie byli wyjątkowi. Żadna istota nie wymyśliła tylu i tak bardzo finezyjnych technik zabijania przedstawicieli własnego gatunku, co ludzie. W obawie przed człowiekiem na rubieżach galaktyki Drogi Mlecznej postawiono tabliczki z wyraźnym ostrzeżeniem:

„uwaga! Zły człowiek! Drapieżnik pierwszej klasy”

Tylko głupiec mógł zignorować przestrożę.

Jedno z praw rozwoju wszechświata, odkryte przez Piątego Wszechwładcę brzmi:

NIEZALEŻNIE OD ZAAWANSOWANIA I STOPNIA ROZWOJU, W KAŻDEJ SPOŁECZNOŚCI GŁUPOTA JEST WARTOŚCIĄ STAŁĄ.

Mimo kosmicznego wysiłku kosmicznej edukacji nie udało się uniknąć spotkania z człowiekiem. Ale czy można było się spodziewać innego finału podróży kiedy to na podbój galaktyki wyrusza trzech największych głupków? Doprawdy, beznadziejne przypadki. Praktycznie bezmózgie i faktycznie głupie. Przykład kosmicznej korespondencji między tym, co praktyczne a tym, co faktyczne.

Cały wszechświat przyglądał się temu, w jaki sposób naukowcy traktują obcych przybyszów. O ile niektórzy ludzili się, że być może po kilku tysiącach lat człowiek zdołał pozbyć się cech drapieżnika i wykształcić w sobie większe zdolności empatyczne zawiedli się. Pierwsze cięcie chirurgicznego skalpela rozwiąło złudzenia.

Naukę z tego spotkania wyniosły dwie strony. Kosmici wiedzieli, że muszą zreformować proces edukacji i że należy umieścić więcej tabliczek z ostrzeżeniami w pobliżu Układu Słonecznego. Mieszkańcy ziemi mieli dowód, że nie są sami w kosmosie.

Trwało to kilka lat. Rach-ciach i w okolicach Saturna umieszczono bazę badawczą. Ściślej rzecz biorąc, był to tajny ośrodek badań wojskowych, w którym badano kosmitów. Bazę wybudowano we wnętrzu jednego z meteorytów wchodzących w skład pierścieni Saturna. Była to świetnie zakamuflowana pułapka. Jako wabik, na zewnątrz wystawiono tabliczkę podobną do tych, które ostrzegały przed człowiekiem.

Na tej jednak napisano:

„STOP”

Dalej wszystko było już proste. Kosmici, którzy nie potrafili odczytać tekstu, zatrzymywali się z ciekawości, by dokładniej przyjrzeć się dziwnemu napisowi. Ci, którzy znali ziemskie

pismo zatrzymywali się, bo kiedy pojawia się znak STOP, to trzeba się zatrzymać. Jedni i drudzy padali łupem ziemskich oddziałów. Każdy nieostrożny kosmita kończył między szklanymi płytkami jako próbka histologiczna, na które coraz to nowe zapotrzebowania składały ziemskie szkoły.

- Brunner, nie bij tak mocno, bo ta zielona krew tak łatwo się nie zmywa – szepnął Hans do kolegi.

Brunner Kenobi był klasycznym oprychem. Lubił dać w mordę, lubił zebrać porządną wpierdoł. Godzinami opowiadał historie kolejnych blizn, które pokrywały jego twarz i skórę głowy. A niedowiarkom – bo zdarzali się tacy, którzy opowieści o tym jak pokonał gołymi pięściami siedemnastu chłopca traktowali jako legendy wysrane z palca – zawsze, ale to zawsze spuszczał solidny łomot. Nie patyczkował się. Wiedzieli o tym jego koledzy – których miał niewielu. Wiedział o tym Hans, z którym pracował. A ci, którzy o tym nie wiedzieli mieli po prostu pecha. Tak też pocieszał Brunner wszystkie swoje ofiary, które próbowały zbierać uzębienie w kałużach wypływanej krwi. Wpatrując się w rozkwaszone gęby, w przecięcia skóry w okolicy nosa, z której wystawały kawałki różowawej chrząstki mawiał:

- Miałeś pecha chłopie. Miałeś pecha.

Brunner był normalnym przedstawicielem swojego gatunku. Był człowiekiem. Co więcej – był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Pozbawiony konkurencji, bił własne rekordy w szybkości wydobywania zeznań od schwytych kosmitów. Jego ostatni czas to 39 sekund. Normalny człowiek z akumulatorem na jajach pęka po jedenastu. Ale tamten kosmita to był wyjątkowy twardziel.

Dzisiaj Brunner miał do opracowania samicę. To siedemnasta w tym tygodniu. Kiedy upewnił się, że istota jest solidnie skrepowana mrugnął porozumiewawczo do Hansa. Ten bez słów podszedł do kokpitu sterującego i nacisnął jeden z przycisków.

- Agrhhhhhh – rozległ się krzyk

- Powtórz – powiedział Brunner, przyglądając się z wyraźną satysfakcją temu przerażającemu spektaklowi. Czy jest taka kultura, taka cywilizacja a w końcu taki wszechświat, w którym widok istoty rodzaju żeńskiego, przeszywany tysiącami wolt nie budziłby przerażenia? Kolejny impuls, kolejny okrzyk bólu i smród palącego się białka.

- Możesz uniknąć tych nieprzyjemności – powiedział Hans, rozpoczynając swój spektakl dobrego policjanta.

- On – wskazał na Brunnera, który w tym czasie zrobił sobie małą przerwę na papierosa – może tak w nieskończoność. To prawdziwy potwór. Jak to mówicie „Drapieżnik pierwszej klasy”.

Kosmitka podniosła głowę. Na jej twarzy oprócz bólu widać było przerażenie. Hans przywykł do takich widoków. Metodologia badawcza Brunnera w połączeniu z kategorią „Drapieżnika pierwszej klasy” zawsze przynosiła ten sam efekt: ból i przerażenie.

*Za szybko
przyjdź
naprzeciw siądz
i rozpal*

*na końcu drogi
Znak*

Wykrztusiła z siebie. Hans nie za bardzo rozumiał, co miał znaczyć ten bełkot. Zanim zdążył zapytać usłyszał:

*Białym światłem świec
i gaś
te drogę w
popielniczce
przyduś ziemię
do obrazu
Ogromem*

[cafe nikt]

- Co, masz ochotę na papieroska? – zapytał z drwiną w głosie Brunner – Masz pecha, to moja ostatnia fajka, ale dam ci pojarę. Chcesz?

Nie czekając na odpowiedź przytknął żarząca się końcówkę do gałki ocznej istoty.

- Uuuu, boli? Teraz już wiesz dlaczego u nas na ziemi mówi się, że palenie szkodzi zdrowiu. Jak ja was nie kurwa nienawidzę. Jesteście dla mnie kupą zielonego, rybiokiego gówna, które w gównie powinno skończyć. I ten wasz kosmiczny bełkot. Nauczono was latać statkami a mówić nie umiecie. Dukacie i dukacie. Jebane jąkały – cedził przez zęby Brunner.

- Poczekaj, ona chyba chce coś powiedzieć – przerwał mu Hans.

Głos kosmitki był cichy ale wyraźny:

*o twe ramię by ciszę oznaczyć
pies się otrze ogonem
zahaczy
spójrz wychodzę dobranoc
do reszty*

[pokój duszny]

Hans spojrzał na Brunnera. Już miał go zapytać, czy coś przypadkiem rozumie z tego wszystkiego, czy w swojej karierze zawodowej spotkał się z podobnym wyznaniem, ale Brunner dzisiaj jakoś nie zdradzał ochoty do dyskusji. Seria: prawy prosty, lewy hak i prawy podbródkowy zrobiły swoje. Głowa kosmitki zwisała bezwładnie.

- Patrz jak dynda – cieszył się Brunner – Normalnie metronom, co sekunda. Lewo, prawo, lewo i prawo – śmiał się spoglądając to na sekundnik zegara to na głowę kosmitki.

- Nie chce ci przerywać zabawy, ale to już...

- Ty, a czy ja się do ciebie przypierdalałam? Czy ja tobie trupy liczę, kosmitów reglamentuję? Zapomniałeś, co zrobiłeś dwa dni temu? – warknęła.

- No dobrze. Dobrze. Jakoś się wytłumaczymy. Cuce ją – odparł Hans spokojnym tonem. Starął się udobruchać kolegę, w którego towarzystwie nikt nigdy nie był bezpieczny.

Kiedy kosmitka odzyskała przytomność, Hans postanowił zastosować sztuczkę ze zmianą tematu. Ignorując całą sytuację oraz kontekst spotkania nie stąd nie zowąd wypalił:

- Ładne masz dłonie. Lubię zadbane laski. Macie tam u siebie jakieś salony manicure?

Instynkt przeżycia oraz jakaś wewnętrzna siła woli zmobilizowała kosmitkę do kosmicznego wysiłku. Wiedziała czym grozi brak odpowiedzi na pytanie. Pokonując ból fizyczny, niewyobrażalny w przypadku złamań kości twarzy, resztkami sił wykrztusiła:

*kurzu na dłoniach
nie wycieramy
błyskotki chowamy
o dziwo
zbieramy się razem
w zmurszałych kawiarniach
bezwiednie sącząc
piwo*

[białe panny]

Brunner nie wytrzymał. Podszedł do krzesła i kopnął. Ciężki, okuty blachą wojskowy buty na nodze Brunnera niczym nie różnił się od noża. Działał z takim samym skutkiem. Siła uderzenia była tak duża, że krzesło wraz przywiązana kosmitka przewróciło się.

- Ja ci dam kurwa „zmurszałe kawiarnie”, i „bezwiedne sączenia”. Ja ci dam – kopał leżącą kosmitkę. Kolejne razy zmieniały jej ciało w zielonkawą papkę. Kiedy Hans zorientował się, że to właśnie finał przesłuchania, że jeżeli chce dołożyć jakąś cegiełkę od siebie w budowaniu odpowiednich stosunków między ziemianami a kosmitami, to musi się pospieszyć. Zareagował błyskawicznie.

Sześć minut później Hans siedział na ławce w szatni.

- Trudno się zmywa ta zielona breja – mamrotał pod nosem polerując białą szmateczką swoje ciężkie, wojskowe buty.

Bartłomiej Majzel, Bieg zjazdowy. Biała Afryka

Fascynacja śmiercią ma swoje stałe miejsce w kulturze. Trup obrysowany białą kredą na miejscu zbrodni zawsze wywołuje zaciekawienie. Jest większą sensacją niż informacja o tym, komu przypadła Nagroda Nobla z ekonomii.

Zwykły śmiertelnik w kontakcie ze śmiercią nie ma szans. Jak pokazuje historia, nawet syn boga jedyne – Jezus Chrystus – miał z nią pewne problemy, bo jak powszechnie wiadomo powrót do żywych zajął mu trochę czasu. Jednakże istnieją wybrańcy na tym świecie, których demokratyczne prawo śmierci omija – to poeci.

Obszarem, który chętnie zagospodarowała nekrofilia jest literatura, zwłaszcza poezja. Wierszyki – czego stara się dowieść Bartłomiej Majzel – świetnie nadają się na kostnicę pełną żywych trupów.

Ewolucja twórcza Bartłomieja Majzla jako poety usłana jest trupami. Trup ściele się gęsto i na każdym kroku. Śmierć inną śmierć śmiercią pogania. I tak:

w 2001 r. Bartłomiej Majzel jako poeta skontaktował się ze śmiercią osiem razy. Tyle razy pojawia się rzeczownik „śmierć” w tomiku, który wówczas wydał pt. *Bieg Zjazdowy*. Wystarczyło jednak pięć lat – czyli bagatela jakieś 1825 dni – by ilość kontaktów poety Majzla ze śmiercią wzrosła do siedemnastu, o czym każdy zainteresowany może się przekonać studiując wydany w roku 2006 tomik tego poety pod tytułem *Biała Afryka*.

Warto dokładnie, krok po kroku, prześledzić ewolucję tego osobliwego związku poety i śmierci. Wyniki analizy mogą nie tylko zaskoczyć ale być może doprowadzą czytelnika do tajemnicy nieśmiertelności.

Rok 2001. Bartłomiej **Majzel vs Śmierć & Umieranie**. Runda 1

Przedmiot obserwacji: tomik *Bieg Zjazdowy*

Cel obserwacji: zbadania częstotliwości kontaktów ze śmiercią

Wyniki:

Poeta Majzel stara się przekonać wszystkich, którzy mają problemy z zapamiętywaniem, że: pamięć już jest na mecie. a meta śmiertelna (1). Chociaż, jak sam uważa: nigdy nie był ruszony przez śmierć (2). Są zdaniem poety ludzie tacy, którym: wydaje im się że rozpoznali śmierć (3). Ale co oni tam mogą wiedzieć. Im się przecież tylko wydaje – chciałoby się dodać. W odróżnieniu od nich poeta Majzel jest wyjątkowy, bo kiedy inni pracują w pocie czoła osiem godzin dziennie, by zarobić na kredyty, czynsz i jedzenie, Bartek także pracuje, ale trochę inaczej i za inne wynagrodzenie. Opowiada tak o swoim zajęciu: siedzę w pracy wiersze piszę zarabiam na śmierć (4). Poeta wierzy w szczególną teorię przeznaczenia. Na końcu każdej drogi – jego zdaniem – zamiast rajy czy też w najgorszym wypadku piekła, znajduje się ... śmierć. Wszystkie porody są jej podporządkowane. Nawet te najbardziej nienaturalne jakimi są poetyckie „porody nasion”. Poeta grzmi z wysokości: będziemy rodzic nasiona dla śmierci.(5) Ale co tam nasiona, także zwykły krwiak wg poety jest: już od

początku przeznaczony śmierci. (6). Poeta prawdopodobnie uprzedza wszystkich naśladowców, że kontakt ze śmiercią nie należy do przyjemnych i że na podstawie jest zadbanie o odpowiedni strój. Najlepiej taki, którego używa się w podczas wspinaczek wysokogórskich lub przechadzek po biegunie, gdyż: ależ zimno tak stać i pisać/zapisać na śmierć (7). Gdyby znalazł się śmiałek, który zachęcony opowieścią o spotkaniu ze śmiercią zechciał takie spotkanie powtórzyć, poeta Bartłomiej Majzel przewencyjnie, by mieć czyste sumienie deklaruje: zbyteczna była ta opowieść o śmierci (8)

Informacje dodatkowe.

W tomiku *Bieg zjazdowy* podmiot liryczny „umierał” 6 razy. Czasami w sposób efektowny, tak jak to miało miejsce wczoraj kiedy to podmiot liryczny: umierał wczoraj tak ostro jak nigdy by trzy wersy dalej umierać wczoraj całymi latami. (9). Zdarzało się także, że podmiot: zakochał się nagle w czystym umieraniu (10). Zawsze, niezależnie od tego czy kochał czy nie, w tym ciągłym umieraniu towarzyszyło mu jedno pytanie: i nie wiem dlaczego. dlaczego tak wyją umarłe mieszkania.(11) Umieranie w tomiku pojawiała się także w wydaniu kolekcjonerskim, w wersji longplayowej jako: the best of umieranie. jego greatest hits. (12).

- 1 [po robaczywości]
- 2 [pukanie]
- 3 [płacz startera]
- 4 [pracowity]
- 5 [wyprawa po trzodę pachnącą]
- 6 [krwiak]
- 7 [już tylko zjazdowy]
- 8 [wyprawa po gruszki]
- 9 [kikut]
- 10 [plaga]
- 11 [przed biegiem]
- 12 [plaga]

Rok 2006. Bartłomiej **Majzel vs Śmierć & Umieranie**. Runda 2.

Przedmiot obserwacji: tomik *Biała Afryka*

Cel obserwacji: zbadanie czy po 5 latach, oprócz tytułów coś się zmieniło.

Pierwszy raz „śmierć” pojawia się w tym tomiku w tekście o bardzo tajemniczym tytule. Oprócz tajemniczego tytułu, wiersz posiada treść. Jest to historia o dziewczynie, która: poddaje się śmierci kiedy ktoś odpływa (1), która kiedy już się podda, to się: się śmierci oddaje. żeby się wreszcie dowiedzieć do jakiej granicy można się oddawać. (1). A kiedy już się poddała, oddała i dowiedziała, to: odczuwa wyraźnie brak śmierci (1) i do każdego kolejnego kochanka mówi: niech twoje imię będzie umarły lub śmierć (2) i chce, by: miłość była ciasna i odwracała uwagę od śmierci. (3) Tak się skubanej spodobało, że nie potrafiła nawet wyobrazić sobie: użycia siebie do całkiem innych celów niż życie i śmierć.(4). A co robi w tym czasie podmiot liryczny? Podmiot liryczny produkuje taką oto myśl: mając do wyboru słowo ech: nieśmiertelność, bądź słowo: nieskończoność. już od rana wybieram to drugie. (5) ale póki co na nieśmiertelność nie ma co liczyć, podmiot liryczny wyznaje: na razie zaczynam tę śmierć od początku (6)

Zdarza się także, że główny bohater robi sobie przerwę w tej jakże wyczerpującej czynności jaka jest myślenie. Wówczas nęka domowników pytaniami: babciu babciu jak się żyje?

zapytałem. już dawno nie słyszałam tego słowa: życie. bo ono funkcjonuje tylko w ramach śmierci. (7). Kiedy się dziecko nasłucha takich opowieści, to trudno się dziwić, że w pewnym momencie uwierzy, że: dotykiem można śmierć uprościć (8) lub, że można: zapisać się na śmierć (9). Najzabawniejszy w tomiku *Biała Afryka* jest jednak tekst o tym, jak umarły podąża do źródeł - jednak po drodze pochłania go dym, który twierdzi, że: śmierć wymaga skupienia (10)

W tym całym śmiertelnym bigosie doprawionym umieraniem występują bardzo uduchowione wersy o śmierci. Bartłomiej Majzel ewoluował. Od czasu publikacji w Bibliotece Studium obrósł w nekrofilityczne piórka. Otrząsał się poetycko – czego daje wyraz tworząc takie oto zestawy zbudowane ze słów:

śmierć mojego szeptu który nagle zszedł? (11)

śmierć mojego głosu który nagle wiersz? (12)

Poeta Majzel wyszkolił się także w zakresie umierania. Pisze o tym jak: umarły słuchał tych głosów jakby z drugiej strony (13) i, ów umarły, który ma taki dziwny nawyk słuchania głosów, to nie jest zwykły umarły, ale: całkiem umarły na wylot (14). Jedno z przesłań poety do świata umarłaków brzmi: umarły nie powinien o życiu zapomnieć.(15).

W ogóle poecie po tych pięciu latach tak się umieranie spodobało, że napisał wierszyk, w którym umierania tyle, co grzybów po deszczu. I ten wierszyk na zakończenie przytoczę w całości. Ku przestrodze, na dzień wszystkich świętych, ku potomnym, by pamiętali – każdy umiera. Każdy za wyjątkiem poety:

na szczęście nikt nie przyszedł-więc tańcz

*umarły zasłużyłem sobie na wygnanie.
w dodatku wprowadziłem się w trans
żeby cię wreszcie zobaczyć żywego.
co się udać rzecz jasna nie mogło.
ponieważ umarły zasłużyłem sobie na wygnanie.
a nie na spotkanie.
lecz wprowadziłem się w trans.
nic ci o tym nie mówiąc. nic nie wspominając.
żeby cię nagle z zaskoczenia zobaczyć. czy jesteś
taki jakim umarłeś. czy nie
umarłeś. ale się stworzyłeś z tej samej gliny krwi. co inni.
z gliny która pomimo pięknych snów pozwala tworzyć życie
wyłącznie jako archipelagi samotnych wysp.
a nie jako doskonałą całość
ogrodu w kolorowych kwiatach.
tak więc również umarły. ale nie w tak istotny sposób
udaję się na spoczynek. na wiatr jak pranie wystawiając siebie.
dosłownie umarły zasłużyłem sobie na wygnanie.
na wieki wieków.
w obcej galaktyce.*

1 [.....z tyłu-dołu]

- 2 [maluje jej wargi i zęby i jest całkiem obcy]
- 3 [biała zasłona zwisająca z jej pociętej twarzy-za zasłoną pleśń]
- 4 [umarły umywa ręce-od rodziny niebieskiej-i gna]
- 5 [słaba ta kawa-nie słodzę kiedy pada-spada]
- 6 [my tę wściekłą książkę-my ją doprowadzimy do samej rozpacz]
- 7 [zwidy]
- 8 [dzieje jednego słońca]
- 9 [implozja]
- 10 [umarły podąża do źródeł - jednak po drodze pochłania go dym]
- 11 [jak każdy dziki ptak-umarły nie czeka kiedy otworzą-otwiera]
- 12 ibidem.
- 13 [świetne rozmowy-ale już po czasie]
- 14 ibidem
- 15 [niech będzie cisza niech się nią nasycą]

Jacek Gutorow, *Inne tempo*

Co polski poeta może zrobić poezji? – to wiemy: Ukatrupić.

Co może zrobić poezja z polskim poetą? Na to pytanie odpowiada słynny eseista, sprawdzony juror i felietonista, rowerzysta, poeta a miejmy nadzieję, że wkrótce także i prozaik - Jacek Gutorow.

Jacek Gutorow jest tak uzdolniony, że *fiu, fiu*. W tym przypadku jak w żadnym innym onomatopeiczne „*fiu*” należy traktować z taką powagą, z jaką traktuje się prawdy wiary. Sławny eseista, felietonista, bilardzista, poeta a wkrótce i prozaik jest w stanie wydać w jednym roku (jak to się zdarzyło w 2001) trzy książki. Ile Gutorow książek produkuje rocznie? To pozostanie słodka tajemnicą uzdolnionego rowerzysty i bilardzisty.

W jednym z ostatnich swoich dzieł Gutorow, natchniony polski poeta pogrążony w transie, wszedł w dziwną relację z poezją jako taką. Poezją rozumianą pierwotnie – najogólniej jak to tylko jest możliwe. W tomiku *Inne tempo* Jacek Gutorow opisał owo spotkanie trzeciego stopnia. Oto fragmenty stenogramu:

*Piątek. Jestem w Chróscinie.
Poezja zasłania mi widok
na ogród. W telewizji informacje
z kraju - niezbyt czysta proza,
trochę przegadana.
Nie wsłuchuję się, ale wiem:
po raz kolejny w tej dekadzie
budujemy nową Rzeczpospolitą.
Pamiętam łubiny. Kiedyś
napisałem o nich wiersz. Niedobry.
Z tego okna dobrze je było widać.
Bawię się pilotem. Stado dzikich gęsi
przelatuje po niebie. Żadnych innych
przemian w najbliższej przyszłości.
Po polach spacerują wrony.
Dzwon wzywa do kościoła
to, co zostało z wiernych.*

[Łubiny]

Okazuje się, że poezja może „zasłaniać widok na ogród”. Być może dlatego wierszyk o łubinie, o kondycji prozy w kraju, odbudowie Rzplitej, zabawie pilotem od telewizora, o stadku dzikich gęsi, wronach spacerujących po polu, dzwonie dzwoniącym – pozostaje wierszykiem o: łubinie, o kondycji prozy w kraju itp. itd.

Pierwszy kontakt Jacka Gutorowa z poezją nie wypadł dobrze. Chyba, że ktoś lubi opis ogródka i proste konstatacje: „w kraju jest źle” „proza przegadana” itp.

Drugi kontakt poety z poezją także nie zachwyca. Słowo kluczowe „poezja” pojawia się w tytułowym wierszyku. Oto kontekst użycia:

*Zmienia tempo,
jakby zmieniał biegi.
Jest kawa i są dwa słońca.
Po chwili pada deszcz,
a on czyta dział ogłoszeń (to też poezja).
Jest. Są. Będziemy.
Zapytuje sam siebie o wartość tego zsunęcia się
w wolne miejsce pozostałe po wyobrażeniu.
Wydaje się, że nic tam nie ma.
Ale to trwa krótko:
pod koniec słowa
wymyślają kolejną intrygę.
Bierze go inne tempo.*

[Inne tempo]

Okazuje się, że poezja w swej najczystszej formie może przeszkadzać poecie w codziennych rytuałach. Żona o poranku, bez makijażu z papilotami we włosach widziana przez pryzmat poezji zmienia się w kalafiora z maską gazową w miejscu, w którym powinna być twarz. Cóż pozostaje poecie jak tylko zastanowić się, „zapytać o wartość tego zsunęcia się w wolne miejsce pozostałe po wyobrażeniu”? Przecież żona w nie tylko przed, ale w chwili ożenku i krótko po wydawała się taka idealna. Taka piękna. Taka doskonała. „Ale to trwa krótko” – oznajmia poeta i główkuje jak tu się pozbyć babsztyla, który od półtora roku nie goli nóg. „Wymyśla kolejną intrygę” i wpada na pomysł: zamiast klasyki – czyli arszeniku lub atropiny do kawy, zacznie z żoną biegać. Narzuci mordercze tempo biegu – inne tempo. Babka nie wytrzyma i zejdzie na drugim okrążeniu.

Jak widać poezja przy bliższym spotkaniu może okazać się zabójcza. Nie tyle dla poety ale dla jego otoczenia, szczególnie: tego najbliższego.

Kolejna relacja ze spotkania z poezją zawarta jest w długim tekście pt. *Paralaksa*. Wiersz ten jest wyznaniem zrozpaczonego podmiotu lirycznego, który wie, że jego stwórca – żywy poeta – musi w niedługim czasie dostarczyć skrypt wydawcy by wywiązać się z zakontraktowanego terminu. Podmiot liryczny wpada w pewnym momencie w panikę i zaczyna opowiadać o tym, jak to się źle pisze wiersze i że są słowa, słowa, słowa.

*właśnie w tej chwili siedzę przy biurku na placu teatralnym i zapisuję
te słowa, które mają mnie uratować*

[Paralaksa]

Zanim podmiot liryczny wykrztusi z siebie rzeczownik rodzaju żeńskiego, który nas w tym przypadku najbardziej interesuje, opowie o:

*właśnie w tej chwili zrobiłem kawę, a ty rozpuściłaś włosy takim gestem,
jakby miały opaść do samej ziemi*

*właśnie w tej chwili miasta obwodnice jezdnie ciągi neonów zestrzelone
obłoki niosące resztki ech nad miastem piękne miasto*

Innymi słowy: klasyka. Podobnie jak sałatki majonezowe na oficjalnych imprezach służą zapchaniu żołądków zanim podany zostanie łosoś lub pstrąg z grilla, tak w tym przypadku wyznania:

„obłoki niosące resztki ech”, „zrobiłem ci kawę a ty rozpuściłaś włosy” – służą po to, by zapłacić jakoś tych 80 zakontraktowanych stron. Trzeba coś napisać. Niech to będą „resztki ech” i „zestrzelone obłoki”, ale ważne żeby w ogóle były. Tak jak w serialu składającym się z 1000. odcinków. Nikt nie pamięta o czym jest odcinek 489., ale bez tego odcinka nie byłoby serialu tysięciodcinkowego.

Ale skupmy się na słowie kluczowym. W pewnym momencie, w omawianym tekście, kiedy już poeta wyrzuci z siebie wszystkie: „sztuczne szelesty” (a propos „szelestów” w poezji. W liceum im. K.K. Baczyńskiego, na lekcjach języka polskiego mieliśmy gablotkę, w której umieszczano sławne cytaty, fotki i inne takie głupoty. Na samej górze, dużymi literami wyklejono napis: „BYŁEM JAK LIPY SZELEST”. Pewnego razu zrobiłem użytek z małej karteczki, którą poskładałem odpowiednio i przypiąłem szpileczką tak, że z „L” zrobiło się trochę kwadratowe, ale łatwe do zidentyfikowania „C”. Taki niewinny „daszek” a tyle zmienia), przechodzi do opisu relacji spotkania z poezją:

*właśnie w tej chwili udaję, że jestem dorosły; jako wyimaginowany
dorosły udaję, że jestem dzieckiem; jako zupełnie niemiernodajny
dzieciak mam pretensję do dorosłych, że traktują mnie jak dzieciaka;
w końcu sam nie wiem, ile we mnie z dziecka, a ile z dorosłego
właśnie w tej chwili kropla deszczu sływa po szybie i nie ma w tym
nic ale to nic poetyckiego*

Faktycznie. Jacek Gutorow jak zwykle i tym razem się nie myli: w tej logicznej łamigłówce nie ma tym nic poetyckiego.

Czy jest tu cząstka logiki? Za chwilę się okaże.

*A udaje, że jest dorosły
A jest wyimaginowany i jest dorosły
A jako wyimaginowany i dorosły udaje, że jest dzieckiem
A jako dziecko ma pretensje do B, że jest A a nie B
A nie wie czy jest A czy B*

Wniosek:

A powinien dostać manto od B

Kolejnym zapychaczem w tomiku jest oda do mandarynki. Gutorow jako poeta nie oszczędza nie tylko siebie jako pisarza, ani swojej reputacji w środowisku. Poeta litości nie ma także dla czytelnika. Wie, że czas nagli, że zakontraktowany tomik wysłać kiedyś trzeba. A nuż pobity zostanie rekord z roku dwa tysiące jeden, w którym to wydał X, Na kresach człowieka oraz Aurorę. Dlatego po powrocie z piątkowych zakupów w TESCO, wrócił do mieszkanca. Usiadł przy kuchennym stole, na którym postawił jedną małą mandarynkę, którą zakupił w

promocji za 4,99 PLN/siatka. Wpatrzył się w nią raz. Wpatrzył raz drugi. Zamyślił się trzy razy. Pięć razy westchnął i tym oto sposobem udało mu się napisać pierwszą część ody do mandarynki:

1.

Otwieram oczy i widzę mandarynkę.

[mandarynka]

część druga i trzecia ody mają podobny ciężar gatunkowy co część pierwsza. Ale mimo to zacytujmy je:

2.

Jest cudownie okrągła, wycofana i wysyła pomarańczowe promienie.

3.

*Jej skórka: gładka w dotyku, szorstka w wyobrażeniu.
Zajmuje miejsce światła, które skupiło się gdzie indziej,
w jaśminowcu pod balkonem lub tu i tam,
na mahoniowej politurze.*

Ciekawym eksperymentem byłoby porównanie mandarynki kupionej w TESCO z mandarynką zakupioną w AUCHAN albo w sieci marketów KAUFLAND. Poeta nie wpadł jednak na ten nowatorski pomysł i kontemplując indywidualne piękno cytrusa w końcu dotarł do tego etapu podróży w głąb własnego natchnienia, w którym poeta spotyka się z esencją poezji. Gutorow zamiast po staropolsku ugościć ową szlachetną damę, wkłada w usta podmiotu lirycznego wyrzut:

11.

Ile mi dałaś, poezjo.

No ile.

*Ledwie starcza na mandarynkę
i kilka dygresji.*

Trudno się dziwić. Taka a nie inna reakcja ma swoje uzasadnienie. Każdy polski poeta chciałby kupować mandarynki w KaDeWe a nie w TESCO. Z drugiej strony jednak Gutorow nigdy nie zrobi zakupów w Almie, bo poezja nie była dla niego szczodra. Tych „kilka dygresji”, natchnienie, które „ledwie starcza na mandarynkę” – to o wiele za mało jak na NOBLA, NIKE itp.

Jacek Gutorow publikuje książki od 1997 r. Dostał kilka nagród. Ale nie dostał ich tyle, ile spodziewał się otrzymać przez te wszystkie lata mąk twórczych i rozterek artystyczno-duchowych. Ma świadomości, że dawno osiągnął szczyt swoich literackich możliwości. Ody do mandarynek nie tyle nie są zapowiedzią jakichś postępów w rozwoju, ale przede wszystkim są dowodem pewnego wypalenia artystycznego. Poeta nie wiedząc o czym ma pisać, ustami swojego doppelgängera wyznaje:

Chcę wyjść poza ramę wiersza - ku temu, co bezimienne.

Chcę zrzucić poezję jak starą skórę.

[czego nie namalowali Holendrzy]

Ale z poezją jest jak z kamorą. Nie można tak sobie odejść. Za coś trzeba płacić rachunki, trzeba przecież jeść, kupować perfumy żonie, nowe tiszerty kochankowi. Poezja zawsze upomni się o swoje. O tym Jacek Gutorow dobrze wie i wiedzę o tym przekazał podmiotowi lirycznemu:

*Wyjść z ładnych wierszy
i nie dać nic po sobie poznać.
Zrozumieją?
Honoraria nie są przewidziane.
Tylko zwrot kosztów podróży.
Ale wychodzi się na swoje.*

[I. Jadąc na wieczór poezji]

Ten, kto wierzy w to, że „Honoraria” (w jakiegokolwiek postaci: prestiżowe spotkanie, relacja w Wyborczej, zajawka w TVP, audycja w radio, gruby szmal) „nie są przewidziane” musi uwierzyć także w to, że Jacek Gutorow gotów jest wystąpić w świetlicy Szkoły Podstawowej w Niedoradzu, w której zaprezentuje swoje wiersze na temat mandarynki.

Podmiot liryczny powołany do życia w tomiku Inne tempo zdradza także inne szczegóły przeniesionego na niwę wiersza obcowania poety z poezją. Poezja okazuje się być demonem, który „dociska język”. Kategoria „dociśniętego języka” podobnie jak pojęcie ubezwłasnomyślenia pochodzi z dawnych czasów, w których dociskano, odciskano, rozkazywano jak myśleć. Gutorow-Poeta w kontakcie z tą dziedziną ducha jaką jest poezja czuje się jak wyrobnik. Jak robotnik przymusowy w Trzeciej Rzeszy, któremu rzucono na plecy ciężki kamień i kazano obchodzić tak kilkakrotnie KZ. To reżim, rygor, to zniewolenie i ośliniony, zbrojny w kły wilczura pysk:

*Ale słowo. Mógłbym z nim pojechać
na poetycką wiosnę lub literacką jesień.
Łączy cholewki wysokiego buta
i dociska język do nogi.
A dociśnięty język to przecież poezja.*

[II. Sznurowadło]

Ostatnia relacja ze spotkania z poezją pojawia się w kolejnym tekście-zapychaczu. Mowa o wierszu: Nad brzegiem rzeki.

W roli rzeki – wystąpiła w wierszu Odra. I jak to z rzekami w wierszach bywa – rzeki posiadają brzegi (Jak w piosence: „Był już niejeden las, wiele przeszliśmy rzek, ale najpiękniejszy, ale najpiękniejszy jest naszej Wisły brzeg”). Niestety ów desant literacki nie powiódł się. Podmiot liryczny oznajmił:

*Żadnej inspiracji.
Na brzegu - przed poezją.
Na brzegu - po poezji.
Powietrze tu nie wieszczy.*

[nad brzegiem rzeki]

Tomik Jacka Gutorowa jest kolejnym beztreściowym produktem wydawniczym. Łatwo jest mi sobie wyobrazić wszystkie specjalistyczne recenzje oraz achy i ochy docierające z jądra poetyckiego światka do uszu autora omawianego dzieła. Jednak powodem tego szumu nie jest wartość tomiku, ale zasada wzajemności. Trudno uwierzyć bowiem w najbardziej wyszukaną laudację na temat Innego tempa gdy sam autor rozpoczyna tomik takim oto przepięknym, idealnie odartym z treści wszelkiej tekstem:

*Ledwie tknięty, wieża i czarne planty.
Światło zatracą się w malignie.
Szarosine dzieci idą do szkoły
po rosistej darni, z której usunięto detale.*

[Ledwie tknięty, wieża i czarne planty]

Skoro jest to taki zły tomik, to kto go wydał? Jak zwykle, tak i w tym przypadku odpowiedź może być tylko jedna.

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Piosenka o zależnościach i uzależnieniach

Hollywoodzcy producenci oper mydlanych wiedzą, że nie można polegać na pamięci statystycznego konsumenta ich produktów. Ażeby telewidzowie nie pogubili się w okolicy trzeciego z zaplanowanego tysiąca odcinków serialu, wprowadzili tzw. rekapitulację. Każdy – licząc od drugiego – odcinek zaczyna się od charakterystycznego: „W poprzednim odcinku....”.

Specyficzna dla produktów kultury masowej metoda tresowania konsumenta, tak by poruszał się w zakresie zaplanowanego w scenariuszu sensu w roku 2008 odkryta została dla potrzeb tzw. kultury wysokiej. Kolumbem – jak zwykle jeżeli chodzi o wyławianie nowych łądów w tej dziedzinie – było wrocławskie Biuro Literackie.

Dygresja

Coś było nie tak. Wydawnictwo wydawało kilkanaście, kilkadziesiąt tomików w roku. W specjalnym konkursie „poławiało” nowych poetów-debiutantów. Wydawano gwiazdy firmamentu literackiego. W kolejności alfabetycznej: Bonowicz, Dehnel, Elsner, Fiedorczuk, Grzebalski, Gutorow, Honet, Jarniewicz, Jarosz, Jaworski, Kierc, Majzel, Maliszewski, Miłobędzka, Mirahina, Pióro, Podczaszy, Podgórnik, Różewicz, Siwczyk, Sommer, Sośnicki, Sosnowski, Suska, Świetlicki, Szychowiak, Tkaczyszyn-Dycki, Wojciechowski, Zadura, Zdrodowski.

Były nagrody i nominacje. Czasami nawet pojawiła się zajawka w Telekspresie, notka w lokalnym wydaniu Gazety Wyborczej, jakiś dzingiel w radio. Tutaj machineria wydawnicza nie zawodziła. Zapach świeżej farby drukarskiej, buchający kłębami z mieszkania położonego na trzecim piętrze przy ul. Piłsudskiego 89 unosił się nad Wrocławiem. Ale duch unieść się nie chciał. Widmo także.

Naród nie reagował na dawki przez Biuro Literackie w końskich porcjach tkanki ducha kultury. W codziennym rytmie naród uduchawiał się megahitami Polsatu, pierwszymi stronami tabloidów, relaksował się w rytmie napierdalanki RMF FM. W każdym razie naród w dni powszednie i w święta miał w dupie te sto tysięcy wydanych tomiczków poetyckich oraz zakutego w nich ducha.

Eksperyment z przerobieniem masy zjadaczy chleba w aniołów nie powiódł się. Wyhodowane w nienaturalny sposób istoty powróciły do swoich codziennych zajęć. Zaczęły znowu żreć chleb. W klubach, pubach, w korporacjach, w firmach i w garniturach. Z obowiązkowymi laptopami, w służbowych autach, na obowiązkowych spotkaniach, obiadach, kolacjach opłacanych firmowymi kartami VISA – tam i tym żył naród. Czy ktoś tu widział anioła?

Nie potrzeba geniusza by rozpoznać jednolity bulgot masy, by zamiast subtelnych chórów niebiańskich usłyszeć jednolite mlaskanie dobiegające z mieszkań, w których masa żre tę samą paszę (Czy wiesz, że woda mineralna „Nałęczowianka” produkowana jest przez koncern NESTLE?). Czy przy tych korytach jest miejsce dla jednego anioła? Masa odpowie,

że z chęcią, i owszem, że tak, że oczywiście – że z anioła to najlepsze są pieczone skrzydełka w ostrej panierce, smażone w głębokim tłuszczu.

Dialog na Górze

- Ile jeszcze musi czasu minąć, byś zrozumiał, że nie różnisz się od zwykłego bydłęcia hodowanego na rzeź? Stworzono cię po to byś jadł, by ciebie jeść.
- Aniele Boży Stróże mój, odpierdol się.

Puszka zupy Campbell niczym się nie różni od przeciętnego tomiku, przeciętnego poety. Konsystencja produktu masowego – upchana zawsze w 50. stronicowy zeszyt (dlaczego średnia objętość tomiku wynosi 50 a nie 60, 70 albo 100 stron? Czyżby redaktorzy obawiali się przedawkowania w grupie najwierniejszych fanów? Dlaczego poeci mają fanów a nie czytelników? – kwestia do zbadania!) w upstrzonej okładce. Później jest anons: „Sezon na ostro”. „Tomik do nabycia wraz z gazetką”, „Gazetka sprzedawana wraz z tomikiem”, „Oddam tomik w dobre ręce”, „Czy ktoś chciałby tomik? Proszę o majla”, „Jestem krytyk. Mieszkam tu. Wyślij mi swój tomik”. I tak w kółko, i w kółko.

*I kręci się, kręci się koło za kołem,
I biegu przyspiesza, i gna coraz prędzej,
I dudni, i stuka, łomoce i pędzi.
A dokąd? A dokąd? Na wprost!
Do dna.*

Bo na dnie nie ma rajy. Tu zamiast białych skrzydeł są słupki:

Silesius 20.000 zł
Nike 100.000
Nagroda Literacka Gdynia 50.000 zł

Są słupki, są sprzedawcy, hurtownicy, są wydawnictwa i księgarze – niekoniecznie w tej kolejności, ale to gdzie jest początek układu trawiennego a gdzie koniec nie ma znaczenia. W piekle semantyka zredukowana jest do tego, co na dole słupka:

Jestem najlepszym poetą bo zgarnąłem 170 tysięcy złotych polskich. Słownie: sto siedemdziesiąt plus coś tam od wydawcy i kilka groszy za spotkanie autorskie od kierowniczkę GOK-u, miłej Pani Gosi. Jestem najlepszym poetą.

W tym piekle Charon cienko przędzie a i Cerber nie ma się dobrze. Wychudł i wyliniał od kiedy Styks zamienił się w Zysk i ludzie zaczęli oszczędzać swoje obole. Takiej sytuacji na dole nie przewidział nawet Marks.

Gdzie podzieli się ministrowie z rządów dusz. Dlaczego, wychodząc na ulice widzę tego samego bydłaka, którego spotykam w lustrze? Dlaczego nic się nie zmienia? Te same pucowate twarze bananowych ludzi, okrzyki radości, laudacje z okazji Ceny Czyniącej Cuda, która w salonie literackim przybiera formę:

Redakcja czyni Tomik
Tomik Czyni Poetę
Poeta Czyni Tomik

Nazwisko Czyni Poetę
Poeta Chce Nagrodę
Nagroda Dostaje Poetę
Poeta Żre
Poeta Żre

Panie Ministrze, a gdzie tu miejsce na wiersze?

Informuję, że żyjemy w wolnym, niepodległym, demokratycznym kraju. Mam chleb. Chwilowo jestem bezrobotny, ale narzekać nie mogę. Inni mają gorzej. Ale ja nie w tej sprawie do Pana się zwracam. Chodzi mi o to, że moja dusza nie ma domu. Bezpańska wala się po ulicy, wiatr nią hula. Psy ją rwą, Panie Ministrze, zrób pan coś. Bądź pan człowiekiem. Duch bez dachu nad głową długo nie pociągnie. To nie ciało, które bez wody i dwa tygodnie wytrzyma. Tkanka duchowa jest bardzo wrażliwa. Zwłaszcza na tego rodzaju niewygodę, które przynosi z sobą bezdomność. Pal licha brak wody!

Jeden tysiąc poetów, kilkaset tomików w roku i długo oczekiwana odpowiedź z Ministerstwa:

Wydatki publiczne, tj. wydatki budżetu państwa i samorządu terytorialnego na kulturę i ochronę dziedzictwa narodowego w 2008 r. wyniosły 6798,1 mln zł (nominalnie o 14,7% więcej niż w 2007 r.), co w odniesieniu do PKB2 stanowiło 0,58% (w roku poprzednim – 5928,4 mln zł, tj. 0,51%). Udział wydatków z budżetów jednostek samorządu terytorialnego w tych wydatkach wyniósł 78,8% (w 2007 r. – 79,0%).

Na rynku wydawniczym zaobserwowano w 2008 r., w porównaniu z rokiem poprzednim, zarówno wzrost liczby wydawanych tytułów książek (o 12,0%) jak i ich nakładów (o 9,6%). Wydano 28,2 tys. tytułów książek o łącznym nakładzie 85,0 mln egzemplarzy. Na 100 mieszkańców przypadają więc przeciętnie 223 egzemplarze wydanych w 2008 r. książek. Nieznacznie zmniejszył się – z 3,1 tys. egz. do 3,0 tys. egz. – przeciętny nakład jednego tytułu. Wzrosła też (o 14,1%) liczba tytułów wydań pierwszych, które stanowiły 86,9% wszystkich wydanych pozycji. (koniec cytatu)

Panie Ministrze, czy zna Pan zasady pisowni skrótów?

Kultura, kultura, kultura, kultura, kultura. Kultura powtórzona sto tysięcy razy zmienia się bezkształtną papkę. Jest egz bez kropki. Rekordem w przeglądarce internetowej dla hasła: „wogóle”.

Sytuacja w piekle:

W piekle pojawia się pomysł na miarę Szatana: zamiast szlifować mózgi milionów można oszlifować jeden mózg poety! Gdzie tam frezarka! Tokarka! Szlifierka! Zwyczajnie siekierą ociosać, by z grubsza wpasował się w ramy. Niuanse są dla poetów. Dla masy liczy się żarcie i kogo pokażą w TVP tuż po reklamie.

Komunikat Oficjalny

My, Poeci, zgodnie orzekamy:
to nie nasza wina ale grubego, szorstkiego i oślinionego języka, w którego pułapkę wpadliśmy. Zawinił redaktor, krytyk, zawiniła teściowa i żona, która była w ciąży. Czy

człowiek wie? Może zdaje sobie sprawę człowiek z tego jaki koszmar przeżywa poeta, kiedy niemowlęciu wyzynają się zęby? Kiedy trzeba spłacić kredyt i zarabiać trzeba? Przecież poeta też człowiek i jak on chce żyć, mieszkać i żreć! Domaga się chleba. A ulica polecieć by chciała, wzbić się. Oderwać od ziemi. Jako poeta dobrze ulicy radzę, niech ulica na dupie siedzi i się z miejsca nie rusza. Nieba nigdzie nie ma. Wszędzie pracować trzeba. Pisać. Pisać. Pisać. Tyrać w pocie czoła. Niech ulica nie prosi, nie błaga, nie woła.

Koniec Długiej Dygresji

Dycki-Tkaczyszyn, Tkaczyszyn-Dycki (kolejność nie ma tu znaczenia) o imieniu Eugeniusz zaprzęgnięty przez wrocławskie Biuro Literackie wyprodukował tomik wierszy, w którym uwzględnił metodologię rodem z oper mydlanych. W wierszu numer II pisze:

*zanim ks. Skorodecki uratował od ruiny
cerkiew gnieździło się w niej ptactwo
nie brakuje opinii że ks. Skorodecki
niczego nie uratował lecz zdewastował*

[II]

A kolejny wiersz (tekst numer III) zaczyna się tak:

*zanim ks. Skorodecki uratował
od ruiny cerkiew gnieździło się
w niej ptactwo (pamiętam pierwsze
lekcje religii w pounickiej*

[III]

Co by się stało, gdyby na skutek błędu drukarskiego albo roztargnienia czytelniczego człowiek zaczął czytać tomik Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego, pt. *Piosenka o zależnościach i uzależnieniach* od wiersza numer III?

Można zadać pytanie natury bardziej ogólnej: czy możliwe jest istnienie wiersza numer III bez wiersza numer II i odwrotnie? O czym są te wiersze?

W całości wiersze wyglądają tak:

*zanim ks. Skorodecki uratował od ruiny
cerkiew gnieździło się w niej ptactwo
nie brakuje opinii że ks. Skorodecki
niczego nie uratował lecz zdewastował*

*jednak duch mojej matki (uwolniony gołąbek
z rąk syna) przychodzi wyłącznie tutaj
zatrzymuję się w pobliskim hoteliku i uskarżam
na drożyznę lub na pustki wokół siebie*

[II]

*zanim ks. Skorodecki uratował
od ruiny cerkiew gnieździło się
w niej ptactwo (pamiętam pierwsze
lekcje religii w pounickiej*

*świątyni) i nic nie wskazywało
że wyłącznie tutaj zamieszka
duch mojej matki: gołąbek uwolniony
z rąk syna i uniesiony do nieba*

*podczas gdy ja zatrzymuję się
w pobliskim hoteliku i uskarżam na pustki*

[III]

Najbardziej zatwardziały fan nie pamięta fabuły pierwszego odcinka serialu pt. *Moda na sukces*. Trudno przypomnieć sobie także treść odcinka 3908., którego polska premiera miała miejsce dwa tygodnie temu. Ta sama trudność dotyczy cytowanych tekstów Tkaczyszyna-Dyckiego.

Jest kościół, ksiądz, matka, gołąbek i nuda. Nuda, nuda i nic się nie dzieje. Można zapytać o funkcję księdza oraz o to, dlaczego podmiot liryczny odczuwa w tak istotny sposób niedogodności hotelowe, by uskarżając się na pustki pisać wierszyk na temat uskarżania się. Równie dobrze można skorzystać z tajemnych technik pitagorejskich by odczytać w tęsknocie podmiotu zaklęcie ABRAXAS. Wszystko to jednak słusznie napiętnowane zostanie jako nadinterpretacja.

Kolejny fragment wiersza z omawianego tomiku – wiersz numer IV:

*przychodzą do mnie ludzie
których dzisiaj już nie ma
jeszcze bardziej piękni aniżeli
Dyccy z tamtych lat to fakt*

I następny:

*przychodzą do mnie ludzie których
dzisiaj już nie ma (Jasiejo,
Jasiusio i Jasieczko) pewnie dlatego
spotykam się z nimi bo bez nich*

[V]

W międzyczasie jakiś narrator z boku podpowiada: w wierszu numer V, Dycki, który był w wierszu numer IV zmieni się w Jasiejo.

No i zmieni się. Po za tą zmianą w wierszu nic specjalnego się nie dzieje. Tak samo jak w kolejnym zestawie (wiersze XIII i XIV):

bądźmy szczerzy księgozbiory nie są nam

*dziś potrzebne przeczytaj nekrolog
Stefana Piotra Strzeńskiego (1928-2006)
lub Danieli Głabińskiej (1921-2006)*

[XIII]

*musisz się z tym pogodzić że księgozbiory
nie są nam już niezbędne musisz i to udźwignąć
przeczytaj nekrolog przedwcześnie
zmarłego Mateusza Dąbrowskiego (1985-2002)*

[XIV]

I w kolejnym, kolejnym i tak do końca. I kiedy czytelnik dojrzy do tego końca, to czytelnik musi zadać sobie pytanie:

- 1) Czy mój duch stał się inny? Ulepszył się?
- 2) Czy przeczytałem o czymś ważnym?
- 3) Czy moja dusza znalazła swoje locum?

Oto kilka możliwych – losowo wybranych – odpowiedzi:

- 1) Nie.
- 2) Nie
- 3) Nie

I żeby te odpowiedzi nie pozostały bez uzasadnienia zacytuję wiersz Gienka:

XXXVIII. *Piosenka o połyku*

*krzyk kobiet i jeszcze ten kamień
pełen pokarmu żeby go wepchnąć
do ust dziecka które również chce się
załapać (dajcie mu cycka)*

*kamień na swój sposób uszczęśliwia
bądź unieszczęśliwia kolorowy świat
gdy zostaniemy z nim w środku
nocy by coś z siebie dać (dajcie mu*

*nasienie) niech drze mordę
dajcie mu Dycia który drze się najgłośniej
gdy go pomylić z kamieniem:
wepchnąć mu kamień do ust to połknie*

Można z tekstu destylować treści. Ale można także zamiast szukać dziury w całym udać się do najbliższej knajpy. Wypić kilka głębszych i zapomnieć o sieczce serwowanej przez wrocławskie Biuro Literackie. Na dziś dzień obstawiać można w ciemno: polityka wydawnicza podporządkowana potrzebom społeczeństwa masowego, komercji, rynkowi itp.,

doskonale mija się z celem. Tak doskonale jak Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki minął się z powołaniem ministra w rządzie dusz.

Solistki

Pewnego razu, w pewnym świecie równoległym przeprowadzono eksperyment. Wybrano kilka poetek i zamknięto je na 25 lat w jednym pomieszczeniu. Kiedy czas badania minął kobiety zostały wypuszczone. O dziwo, zamiast rozejść się każda w swoją stronę, panie usiadły na pierwszej napotkanej ławce i dokończyły rozmowę. Oto zachowana relacja.

Zofia Bałdyga, spoglądając na zadumane koleżanki, które podobnie jak ona zdawały sobie sprawę, że to już koniec wspólnego życia, wspólnych miesiączek, radosnego i twórczego istnienia w odizolowaniu na powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych, rzekła z nostalgią w głosie:

*Niby razem, a jednak po długich rozmowach
trudno uchwycić się nawzajem. Role,
złożone na ręce służby szkicują się same.
Malarz. Skrzypaczka. Szwagierka.*

[balkon]

Niektóre z dziewczyn się popłakały. Niektóre starały się powstrzymać łzy. Walcząc z nienośnym ścisaniem gardła na wysokości przetyku, pociągając nosem wiedziały, że gdyby były same tak jak jeszcze kilka chwil wcześniej wspólnie ryczałyby jak bobry. Koleżanka Zosia wyraziła to, co wszystkie odczuwały: że 25 lat to stanowczo za mało, by się poznać, „się uchwycić nawzajem”.

Samantha Kitsch wykazała się największym opanowaniem. Od dziecka rodzice wpajali jej zasady realizmu. Mawiali: bierz to, co ci życie przyniesie bo lepszy wróbel na dachu niż rydz w garści. Starając się uspokoić koleżanki, których zachowanie budziło coraz większe zdziwienie przechodniów i jednocześnie nawiązać w jakiś sposób do perory koleżanki rzekła:

*Dwie zebry na zarośniętym pastwisku rumianków i pokrzyw.
Tęcza.*

*Okolicę objęła strefa zamieci, poza widnokrąg.
Szczelnie oblepione stalagmity drzew
sięgnęły nieba.
Idąc po chrust, byłem jedynym ruchomym
punktem, aż błyskawica roziskrzyła złoża lawy i kry spłynęły.*

[odludzie]

Koleżanki spojrzały po sobie, starając się w zapuchniętych od płaczu oczach odnaleźć choćby najmniejszą wskazówkę, która pozwoliłaby odgadnąć sens słów: „Idąc po chrust, byłem jedynym ruchomym punktem, aż błyskawica roziskrzyła złoża lawy i kry spłynęły”. Nic nie przychodziło im do głowy, kompletna pustka, zero absolutne – czyli stan umysłu, który towarzyszył zebranych paniom od zawsze. I zapewne zastanawiałyby się aż do śmierci, gdyby nie Marzanna Kielar, która postanowiła ratować sytuację. Zastosowała jedyną sobie znaną – dogadać należy, że skuteczną - metodę przerwania krępującej ciszy. Zmieniła temat na:

serduszka, miłość i kochanie. Lekko rozleniwionym tonem, z nieudawaną lekkością powiedziała:

*Księżyc rysuje taflę wąskim ostrzem łyżwy.
Czas rozłamuje się jak ciosany kamień, wzdłuż kruchej
jasnej żyły
tamtej miłości.*

[***]

„Uffff, nareszcie o coś o miłości!” – pomyślały panie a zrobiły to na tyle głośno, by nie tylko wewnętrznie odczuć ale po raz pierwszy w życiu usłyszeć wspólny, wrodzony im wrażliwy na piękno głos wewnętrzny, który w tej chwili siłą i natężeniem dorównywał okrzykom strajkujących stoczniowców w Warszawie. Wydaje się to nieprawdopodobne, by suma pomyślanych w tej samej chwili myśli zmieniła się w falę dźwięku. Jednak nie wolno nie doceniać tego rodzaju myślenia. Zgodnie z ogólnie przyjętą definicją, nota bene autorstwa także osobnika rodzaju żeńskiego - Ewy Sonnenberg – kobieta jest organizmem wyjątkowym:

*Miała lekkie jak piórko serce
delikatny podmuch wiatru mógł ją zabić
czasami nawet czyjeś westchnienie
umiała czytać z kącików ust i z kształtu małego paznokcia
każde słowo które usłyszała ważyła długo w sobie*

[wrażliwość]

Podobną wizję kobiety znajdujemy u innego klasyka gatunku. Marta Podgórnik pisze:

*Jej kruche, drobne serce
szwankowało od jakiegoś czasu. Lata wcześniej, kiedy jej smutne
i nudne życie starej panny z nalogami miało jeszcze sens, była zwinną
łączniczką, rączką lanią wśród okopów śródmieścia. Nigdy się nie
skarżyła. Ani też nie kryła się z niczym specjalnie. Lubiła z nimi
jeździć samochodem, lubiła z nimi jeździć pociągiem, uwielbiała
wręcz z nimi śmigać autobusem. Tramwaj trochę ją przerażał.*

[Lido Dream]

Istota kobiety jako fenomenu nie redukuje się do różnicy między wagą pióra (lub: „kruchym, drobnym”) a 340. gramami – średnią wagą serca dorosłego człowieka. Znaczenia nie ma także zabójcza dla tego organu prędkość „lekkiego podmuchu wiatru” wyrażana w kilometrach na sekundę ani unikalna umiejętność „czytania z kącików ust” (niektórzy agenci CIA potrafią czytać z ruchu warg, ale techniki czytania z kącików ust jeszcze nie znają w Langley). Dla każdej kobiety liczy się tylko jedno. Jest to tak precyzyjnie przecież zwerbalizowane przez Ewę Sonnenberg geometryczne piękno: „kształtu małego paznokcia” oraz wrodzony wszystkim paniom strach przed tramwajami.

Wracając do pogawędki, która na szczęście dla zebranych ewoluowała w filozoficzny dyskurs o miłości.

Panie często brały się za literackie bary, konkurując w dziedzinie najwymyślniejszych opisów uczucia towarzyszącego wzmożonej perystaltyce jelit zwanej popularnie: motylkami w brzuchu.

Tematy lunarne, tak pospolite w kobiecych rozmowach o naturze miłości zawierają ukryty sens. Motyw „księżycy” zawsze kojarzony jest z pewną tajemnicą, z niespełnioną miłością Selene do pogrążonego w wiecznym śnie Endymiona. Dlatego kiedy koleżanka Kielar wspomniała o księżycu, który „rysuje tafelę wąskim ostrzem łyżwy” stało się to, co zawsze działo się w takich sytuacjach. (Tutaj analogia do dynamiki wieców komunistycznych z początku minionego stulecia jest jak najbardziej uprawniona. Kiedy któryś z mówców zawołał z mównicy: „przec z panami!” natychmiast wyzwały się niemożliwe do opanowania kolejne figury retoryczne. Tłum żądał: „śmierć panom!”, „precz z własnością prywatną”, „bij w nich”.) Zebrane panie zaczęły się prześcigać w pomysłach. Zaczęła Aneta Kamińska. Dlaczego ona? Dlatego, że jej imię zaczyna się na A. Wstała z miejsca, tak by ją wszystkie towarzyszki dobrze widziały, obciągnęła bluzeczkę, pogładziła zmarszczki na kiece i wyrecytowała z pamięci:

*on
przynosi miłość w
dłoniach w
ustach w ramionach ma tyle
ciepłych
miejsc w swoim
głosie w swoich myślach w swoim
szaliku dla
niej
nie dla
mnie*

[***]

Aneta jeszcze nie zdążyła wrócić na swoje miejsce, gdy rozpalone słowami o miłości przynoszonej w ustach i ramionach, słuchaczki zaczęły się prześcigać, która wymyśli coś równie ujmującego. Magda Kamoń wykorzystała siłę bicepsów oraz techniki odgapione od samego Chucka Norrisa. Kiedy ogłosiła swoje stanowisko w sprawie miłości:

*ludzi niszczy się stopniowo każdym zdjętym
z nich zdjęciem odbitym na ścianie cieniem
tarcie ciała o miłość potem szklane korale
zamieniłam na ptaka*

[palacze tytoniu umierają młodziej]

wszyscy wiedzieli, że szlag trafił kolejność alfabetyczną – na co oczywiście zebrane panie czekały z niecierpliwością. Żadna ani przez sekundę nie zastanowiła się nad znaczeniem: „tarcie ciała o miłość” – to nie było ważne. Istotnym było tylko to, że rzeczownik miłość w tym przypadku wystąpił w bardziej egzotycznej komitywie lingwistycznej niż to przedstawiła poprzedniczka. Po krótkim, wspólnym:

- Uaaaaaaaa!

wyrażającym zachwyt i uznanie dla talentu kobieciny, panie starały się jedna przez drugą włączyć do dyskusji. Niezawodna w każdej sytuacji Marzanna Kielar i teraz pokazała co potrafi. Bez wysiłku stworzyła taką oto perełkę:

*Na swoich nagich brzegach morze - w szronie gwiazd -
jak zapomniana, boska część nas samych
powtarzało, bezsenne: miłość,
miłość.*

[***]

Kamila Janiak próbowała nawet totalnego rozczulenia. Jakaś demoniczna żądza widoku zapłakanych twarzy, której Kamila dzielnie stawiała czoła, gdy ta się pojawiała i tym razem odniosła zwycięstwo nad dobrą częścią duszy poetki. Uważnie studiując twarze zbitych w gromadkę samic, jakby spodziewając się reakcji, wyznała lakonicznie:

serce mam miękkie i gumowe

[wiersz o róży z filipowic]

Sześć sekund grobowej ciszy i nagle hekatombiczny ryk – odgłos, z którym może się równać tylko skondensowany jęk mordowanych dzieci, ich matek i ojców w hitlerowskich obozach zagłady. Owłosienie rwane kępami z głów, spod pach, z klatek piersiowych wypełniło powietrze. Nie sposób było oddychać. I gdyby nie Iza Smolarek i jej instynkt samozachowawczy panie marnie by skończyły. Nauka bowiem dostarcza nieskończonej liczby dowodów na to, że ludzie bez tlenu żyć nie mogą. Iza, powstrzymując łzy i drżenie głosu powiedziała:

*miłość
szura teraz po domu uparcie dziwiąc się intensywności zapachu
ciężkich
kwiatów*

[Spokojny jesienny pan, czyli apokaliptyka wieczorków tanecznych]

Tego było trzeba. Wyobrażenie domowego ogniska, ciepła wełnianych papuci, kwiatków w wazonie zadziało jak potrójna dawka relanium. Panie zaczęły szeptać: miłość, ach, miłość, miłość, miłość i jeszcze raz miłość. Panie wzdychały na tyle długo, by pogrążyć się w rodzaju hipnotycznego transu. Znalazły się w świecie marzeń, w którym wszystko z miłości powstaje, do miłości powraca a kiedy trwa jest najczystsza formą kochania.

Świat rzeczy pomału zaczął tracić ostrość. Rozmywał się przykrywany kolejnymi warstwami miłosnych marzeń i pragnień. Odurzonym paniom groził upadek na samo dno najromantyczniejszego z romantycznych miłosnych den, z którego powrót do świata żywych nie jest możliwy. Zresztą jedna z nich – najbardziej wrażliwa, czuła i uduchowiona Monika Mosiewicz – już przepadała. Przeszując z nóżki na nóżkę powtarzała:

*Jestem papugą drepczącą na drążku,
powtarzającą: miłość! miłość! miłość!*

[nie chcę]

Inne panie były o krok od podobnej metamorfozy. Z pewnością ławka, na której przysiadły niewiasty zmieniłyby się w grzędę, gdyby nie jedno proste pytanie, które zadała Anna Piwkowska:

*Jaka jest miłość dla człowieka
bliższa, niż ta łącząca ciała?*

[piosenka]

Rzuciwszy naprędce trzy możliwe odpowiedzi:

A)

*Miłość jak czarny węgiel,
jak stal, jak ołów srebrem
powleczony. Gwałtowna lawina kamieni.*

[z ikony]

B)

*Oglądamy razem obraz.
Z mrocznego tła
dopiero po chwili wylawiamy zarys stołu
i ich dwoje przy lampie.
Po lewej stronie
drewniana figurka Świętego Jerzego,
który zabił smoka.
Tak właśnie będąc dzieckiem
wyobrażałam sobie miłość.*

[„...Wiedeńska”]

C)

*Jednak moja miłość jest odważna jak francuski lotnik,
który pierwszy pokonał drogą powietrzną kanał La Manche
i przestrzeń wokół mnie już nie istnieje.*

[zazdrość]

Oczekiwała podobnej reakcji koleżanek. Zauważyć należy, że pytanie Piwkowskiej wcale nie jest błahe. Otóż forma interrogatywna wywołuje okreśłą reakcję wewnętrzną. Znak zapytania wykryty w tonie głosu, zidentyfikowany jako znak zmusza umysł do produkcji odpowiedzi, co samo w sobie jest procesem racjonalnym – nawet, gdy wymyślona odpowiedź będzie najlepszą z możliwych. Zawsze odpowiedź będzie odpowiedzią na pytanie.

Tak też się stało w tym przypadku. Usłyszawszy charakterystyczne dla wypowiedzanego pytania zawieszenie głosu, poetki stopniowo zaczęły wybudzać się z letargu. Wszystkie, za wyjątkiem tej najbardziej wrażliwej, która przemieniła się w papużkę falistą. Tej nawet traktat

Łukasiewicza na temat Arystotelesowskiej zasady sprzeczności recytowany wprost do ucha nie przywróciłby do ludzkiej postaci.

Sprawczyni owego zbiorowego cudownego ozdrowienia na umyśle, w obawie przed nawrotem choroby, postanowiła zmienić temat na – jakby to powiedzieć – równie kobiecy lecz bardziej pragmatyczny. Postanowiła porozmawiać o kuchni.

Widząc, że większość zebranych powróciła do formy sprzed otumanienia, powiedziała:

*Dziurawiec przekwita,
więc suszę go nad kuchnią podtrzymując ogień.
Tutaj gdy przyjdzie wieczór modlimy się obie*

[LIST PISANY NA PRUSOWIE W SIERPNIU 1995 ROKU]

Czy mogła wybrać lepiej? Czy jest na świecie coś bardziej użytkowego niż kuchnia i jej naturalny satelita: kobieta? Trudno się dziwić zatem, że zebrane panie ochoczo podchwyciły temat.

Agnieszka Wolny-Hamkało natychmiast sięgnęła po najprawdziwszą z prawdziwych, najzwyczajszą wśród zwykłych, najbardziej prozaiczną z prozaicznych sytuacji życiowych i przerobiła ją na wiersz:

*postawili nago w tym samym pokoju,
wcześniej obdarzyli żoną, mężem,
dziećmi, lekką kuchnią i wspianą pracą.*

[piracka piosenka]

Twórczo temat rozwinęła niezawodna zawsze, gdy zaistnieje potrzeba twórczego rozwinięcia czegokolwiek – Agnieszka Kuciak. Do dyskusji o roli kobiety i jej miejscu w kuchni postanowiła wpleść wątki aquaryczne, przedstawiając alternatywne miejsce naturalne, w którym każda pani czuje się dosłownie i w przenośni jak rybka w wodzie. Chodzi oczywiście o wydzielone miejsce do prania – czyli pralnię:

*W domu jest tyle prania, a czas magli
wszystko prócz naszych kołder, ścierek, żagli!
A ciocia znowu siedzi przed budzikiem,*

[zen przed zegarem]

Tylko Marzena Broda nie wniosła żadnej autorskiej treści do archetypu kuchni czy łazienki. Nie dlatego, by różniła się jakoś od swoich koleżanek. Zdumiewającą jałowość twórczą w tej kwestii wyjaśnia:

*Były w domu rzeczy święte: fotografia przecięta
czarną wstęgą żalu, nadtopiona świeca w lichtarzu
z pożegnalnego wieczoru, telefon zawieszony na ścianie*

[DOM Z CZERWONEJ CEGŁY]

Jak się okazuje, w równoległych światach buduje się domy bez aneksów kuchennych.

Na koniec warto zadać ważne z perspektywy rodzaju żeńskiego pytanie: czy w światach równoległych mężowie biją? Piją? A może dla odmiany: są lepsi, bardziej wyrozumiali, hojni, lojalni? Szukając odpowiedzi na te pytania liczyć możemy także na pomoc pań. Oto relacja Agnieszki Kuciak:

*Takie po-życie, gdy na widok żony
mąż, miażdżąc muchę, czuje się zmuszony.
Jakie wydaje tony bąk puszczoney?*

[trzy po trzy]

Wynika z niej, że żonaty mężczyzna ma dość swojej baby i aby umilić jej współżycie zmusza do analizy „tonów puszczonego bąka”. Zaiste pospolita to tortura i praktykowana w całym kosmosie. Kobiety skazane na mężów (którzy nigdy nie odważą się pierdnąć na pierwszej randce) zmuszone są dokonać żywota u boku pierdzącego mężczyzny.

Justynie Radczyńskiej mąż kojarzy się tylko z chroniczną przykrością – do łez. Twierdzi:

*bo to przez nią pewnie słono się płaci i
słono płacze bo ktoś musi być przecież
winny nawet jeśli nie miał imienia
tylko męża*

[antologiczna żona Lota]

Mimo, jak się okazało, znanych niedogodności związanych z posiadaniem męża, kobiety nawet w światach równoległych nie są w stanie długo bez chłopa wytrzymać. Nawet gdy owdowieją, doświadczwszy uprzednio na własnej skórze plaskaczy zmieniających policzki w pulsujące i piekące czerwone plamy, przeżywszy p traumę bąków puszczonego w miejscach publicznych, przy jedzeniu, w sypialni – to jednak budzi się w nich jakaś masochistyczna chęć powrotu do patriarchalnego kieratu. Wiedzę na ten temat zawdzięczamy wyznaniu Izabeli Filipiak:

*Myślałam że wdowieństwo to przywilej A to
jest nie kończące się nagabywanie
Nie pragnę żadnego z nich Będę musiała
wybrać jednego z nich Nie tęsknię do powrotu
mojego męża Ale pożądam jego przygód*

[niezgrabna tkaczka]

Z relacji rozmowy wynika, że problemy kobiet w znanym nam świecie niczym nie różnią się od tych, z którymi zmagać się muszą panie w światach równoległych. Spodziewać się należy, że nawet w N-wymiarze problem staropanieństwa, kuchni, okrutnego męża, miłości, zranionego serca także będzie wzruszał, rozczulał, mobilizował do działania wszystkie stworzenia kobietopodobne.

Izabela Kawczyńska, Luna i pies. Solarna soldateska

Skrzyżowanie cycznego stworzenia zwanego popularnie kobietą z komputerem mobilnym – laptopem - jak do tej pory nie przyniosło spodziewanego przełomu cywilizacyjnego. Kobiety obdarzone laptopami pisały albo o „zranionych serduszkach” albo o pochodnych zranionych serduszek. Czyli:

- *duszyccze* (bo ta lubi pomieszkiwać w zranionym serduszkach i wspólnie z nim łkać)
- torciku śmietanowym (bo tylko konsumpcja trzech półtorakilogramowych kawałków kalorycznej atomówki jest w stanie ukoić na chwilę wewnętrzny ból)
- *aster gawędce* (na zranione serce dobrze robi napar z ziół albo spacer po łące i zbieranie roślinek)
- *o matce boskiej* (bo ona jak wszystkie kobiety też swoje w życiu wycierpiała. Oj miała się ona z tym swoim synkiem, miała!)
- *o radiostacjach szpiegowskich w latach 80.* (skrzyżowane z laptopem kobiety uważają, że określenie Kraj Rad pochodzi od czasownika: „radować się”. W związku z tym starają się współżyć z lampowymi urządzeniami nadawczo-odbiorczymi, by zranione serduszko dla odmiany zaczęło się radować).

2008 r. genetycy znudzeni monotonią łkających, zranionych i czułych serduszek postanowili przeprowadzić bardziej radykalny eksperyment. Zrezygnowali z doświadczeń na zwykłych kobietach i pod nóż wzięli bibliotekarkę. Pod pretekstem jakichś tam badań zwabiono jedną taką do szpitala, gdzie w narkozie wszczepiono jej do lewego przedramienia laptopa. Odzyskawszy przytomność kobiecina spanikowała. Nigdy nie widziała laptopa na żywo – w bibliotekach pracuje się na niezawodnych IBM 386 z monitorami monochromatycznymi. Lekarze uspokoili ją podwójną dawką jakiegoś ogłupiającego farmaceutyku. Kawał dobrej roboty odwalił także psycholog, który wmówił kobiecie, że dwukilowy laptop wszczepiony do ręki to najnowszy trend paryskich domów mody. Ten argument okazał się niezwykle skuteczny. Kobieta uspokoiła się, wyciszyła a jej organizm przestał walczyć z przeszczepem. To pozwoliło bibliotekarce osiągnąć wewnętrzną równowagę duchową niezbędną, by pisać. I tak się stało. Pisała, pisała, pisała. Pisała za każdym razem, gdy drapała się po lewej ręce.

Aż nagle coś błysnęło, coś zaskwierczało. Słońce nagle zgasło Po chwili zaświeciło i znowu zgasło. Ziemia zadrżała raz. Zadrżała raz drugi a później trzeci, czwarty i piąty. W normalnych okolicznościach takie zachowanie przyrody mogłoby być uznane za odbiegające od normy, gdyby nie dokumenty historyczne, które informują o podobnych aberracjach w sytuacji, w której słowo stawało się ciałem.

Kilka, kilkanaście a może miliard miliardów lat po tym jak Najwyższy mocą jednego wypowiedzianego słowa powołał do istnienia świat, cud tego rodzaju stworzenia został z sukcesem powtórzony. Krzyżówka bibliotekarki i laptopa kilka miesięcy po zabiegu wklepała do mobilnego komputerka dokładnie 3.262 słowa. W rolę Najwyższego wcieliło się Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego. Nie wiadomo dokładnie, który z członków redakcji „Serii Poetyckiej” wypowiedział formułę: fiat. W każdym razie: stało się. Z 3.262 słów bibliotekarki zrobiono tomik *Luna i pies. Solarna soldateska*

Luna i pies jest unikalnym dokumentem. To opowieść istoty nie tyle zdziwionej, ale przede wszystkim zaskoczonej i trochę rozczarowanej tym, że akurat właśnie jej przypadły cycki w udziale. Kawalki zwisającej skóry, majtające się przy każdym bardziej energicznym kroku, sprawiające, że trucht do przystanku autobusowego, do którego właśnie podjechał autobus jest koszmarem dla wrażliwych obserwatorów a i kierowca oglądający to w lusterku zwykle ma dość, zamyka drzwi przed nosem cycatego stworzenia i odjeżdża pałac gumę.

W tekście *Matka*, Kawczyńska pisze:

*moja matka tak bardzo zawstydzona, że mogę być kobietą,
a przecież w jakimś pradawnym czasie wyrosłam z jej
podniecenia, które ogarnęło ją po sam czubek głowy, od
wydekolotowanych kłykci palców poczynając, w podrzędnym
klubie o nazwie młodość, rodzinne ciepło ogniska połknęło ją
doszczętnie, by wypluć mnie z jej brzucha dziewięciomiesięcznym
falstartem, z dziurawej łąki łona w topaz widnokregu*

[matka]

Znana z romansów dynamika sytuacji, w tym przypadku:

zawstydzonie → podniecenie → wydekolotowanie → podrzędny klub → miłość → ciepło → brzuch → łono

została wzbogacona o resztę tekstu, która w założeniu miała uczynić z romansidła dramatyczny apel poetki w centrum miasta, przykładającej skalpel do lewej piersi i krzyczącej: „Uwaga tnę!”.

I tak: wstyd zmienia się w wielki wstyd (bo tylko „wielki” wstyd zasługuje na utrwalenie w wierszu). Podniecenie też zyskuje wymiar niemalże kosmiczny, bo czymże jest ów „czubek głowy” albo „wydekolotowane kłykcie palców” jak nie oznaką osiągnięcia jedności poetki z tekstem na poziomie formalnym? Ciepło ujawnia swoją dodatkową oprócz grzewczej funkcję – mianowicie: połyka i wypluwa. Jest zatem ciepłem niezwykłym. Łono staje się – co w tym przypadku nie dziwi – „dziurawą łąką”. Żeby było ciekawiej: to wszystko okraszone jest półszlachetnym kamieniem – „topazem widnokregu”. Coś pięknego!

W kolejnym tekście poetka-bibliotekarka zdecydowała się ujawnić światu największą tajemnicę rodzaju żeńskiego. Czyli opowiedzieć o czym myśli kobieta kiedy zdarzy jej się pogrążyć w zadumie.

Oto myśl pierwsza, kobiety, która myśli:

*zastanawiam się, czy przypominam ją z profilu
uniesieniem ramion, które starość przecina jak klakson
rozrastający się w miejskiej ciszy drobieniem
kurzych łapek,*

[Kobieta z uchem w kształcie muszli]

Oto myśl druga tej samej kobiety w tym unikalnym dla rodzaju żeńskiego stanie psychicznym:

*czy przypominam ją sobie tylko przypadkiem jak
siedziała pochylona tam, gdzie nikt inny nie zechciał
siadywać nawet przez przypadek,*

[Kobieta z uchem w kształcie muszli]

I myśl trzecia:

zastanawiam się,

[Kobieta z uchem w kształcie muszli]

Kiedy czytelnik zorientuje się, że przedmiotem kobiecej refleksji jest bezwartościowe, standardowe obrabianie dupy, poetka szybko zmienia ton. Powołuje do życia „Divinę”.

Divina jak na divinę przystało jest Niemką mieszkającą w Eisenhüttenstadt, która sześć razy w tygodniu trenuje pod opieką Manfreda Hoepfnera rzut dyskiem. Taka divina nie ma czasu dla mężczyzn ani na miłości i podobne głupoty. Zresztą zafascynowana jest własną łechtaczką, która w miarę postępów w treningu i proporcjonalnie do ilości połykanych pigułek oraz kolejnych bitych rekordów własnych wydłuża się. Ale kiedy jednak odwiedzi ją jakiś zakochany absztyfikant jest bardzo krytyczna. Nie chodzi tu bynajmniej o zaniedbane dłonie itp. Divina na wejściu wystawia na próbę intencje i cierpliwość zalotników. Wita ich słowami:

*co masz mi do powiedzenia zatrząśnięty w chitynowym
pancerzu równo skrojonych garniturów, dzwonisz do moich
drzwi i mówisz: jestem, i przez chwilę naprawdę jesteś, robaku,
pod czarnym butem faktów spasionych jak narkotyczne wizje,
opłakiwanie pięknych saren nawykłym do zręczności nożem,
patroszenie smutków wyciekłych z niemych pysków gęstą taftą śliny,
czy przyszedłeś mnie skrzywdzić? czy chcesz mi tylko spojrzeć w
oczy? w medaliony rozklekotanych jezior bełkotliwe i skrzywdzone
strach jak drzenie skrzypiec zasycha na rzesach, podskórna czułość
męskich torsów czerwonych jak piekący srom, chcesz się zabawić?
chcesz się zabawić w boga? próbujesz się zgubić czy znaleźć?*

[divina]

Taki tekst skutecznie odstraszy nawet najbardziej rozkochanych w muskularnych divinach młodzieńców, którzy resztę swojego życia spędzą w zaciszu celi zakonnej próbując odkryć sens słów:

opłakiwanie pięknych saren nawykłym do zręczności nożem

patroszenie smutków wyciekłych z niemych pysków gęstą taftą śliny,

medaliony rozklekotanych jezior bełkotliwe

strach jak drzenie skrzypiec zasycha na rzęsach

czułość męskich torsów czerwonych jak piekący srom

A kiedy któryś z nich odkryje w końcu, że w słowach tych nie ma żadnego sensu, że wyprodukował je podziurawiony mózg skażony sterydami anabolicznymi, będzie już za późno na nową miłość.

W innych tekstach tomiku *Luna i pies*, poetka Izabela Kawczyńska w obawie przed zaszufladkowaniem przez krytykę porusza tzw. tematy pozostałe. Oto sposób owego poruszenia:

słońce gapi się z talerza nieba spieczonym żółtkiem, pożera wilgoć śwędzącym, głodnym pępkim

[Noc czarna od spalin]

o zmroku latarnie sennie bełkoczą

[noc czarna od spalin]

Być może nie zawiniła tu poetka, ale spaliny, których się nawdychała. Tego nie wiadomo. Widoczna jest jednak inspiracja poetyką pozaziemskich cywilizacji, którą pamiętamy z tomiku *Rdza Przemysława Owczarka*. Kawczyńska także wydaje się obcować z dziwnymi stworami. Oto jak opisuje jedno z pozaziemskich stworzeń, które nie przetrzymało polskiej zimy:

„z zimy zamarł, a łapki miał kruche, bardzo różowo przechadzał się po dłoni, przechadzki robił prześwitujące”

[Gekkonidae. Dom]

Ziemitanom pozostała nadzieja, że nieznanne stworzenie nie złożyło przed śmiercią jaj. Że nie będziemy musieli borykać się z plagą „różowych przechadzek” lub „przechadzek prześwitujących”. Ich wpływ na nasz ekosystem mógłby mieć fatalne skutki.

Konrad Góra, Requiem dla Saddama Husajna

Jedna z youtubowskich wytwórni filmowych wyprodukowała swego czasu parodię przygód porucznika Borewicza, zaczynającą się sławnym tekstem: „Sie masz Borewicz, słyszałem, że w każdym odcinku wyrywasz jakaś dupę. Idziemy do Maxima na dziwki?”. Ale oprócz scen z basenu, na którym 07 „wrywa dupy” jest też taka, w której nieustraszony oficer milicji spotyka córkę bin Ladena – dzieje się to w 6. minucie i 29. sekundzie filmu. Reżyser parodii miał następującą wizję spotkania kultury późnego socjalizmu z kulturą islamu:

Borewicz do kobiety:

- Jak na córkę bin Ladena to całkiem fajnie wyglądasz. Sorry, że ci starego zajebałem ale może się poruchamy. Co ty na to?

Następuje chwila napięcia. Kobieta przygląda się przystojniakowi w białej koszuli i odpowiada:

- Illaha allaj lajaj haha la allah

- No do chuja waclawa polskiego w szkole nie miałaś?! – przerywa jej wyraźnie poirytowany oficer władzy ludowej i kwituje:

- No kurwa nic nie poruchałem w tym odcinku.

Dialog międzykulturowy okazał się być ważną inspiracją nie tylko dla filmowców. Także współcześni poeci polscy zapragnęli posmakować bliskowschodnich klimatów.

W 2008 r. Konrad Góra wydał tomiczek *Requiem dla Saddama Husajna*.

Polemika tego poety z duchowością i tradycją bliskiego wschodu może nie dostarcza tyle rozrywek co parodia filmowa perypetii polskiego Jamesa Bonda, ale w dialogach międzykulturowych nie o rozrywkę przecież chodzi.

Adresatem *Requiem dla Saddama Husajna* Konrada Góry jest sam Saddam Husajn. A jakże! Nie od dziś wiadomo, że polscy poeci jak już prowadzą jakiś dialog to albo z przeznaczeniem, albo z bogiem albo z Saddamem Husajnem.

Trudno wymagać od Saddama by nauczył się polskiego – a tylko tak mógłby zrozumieć przesłanie polskiego wieszczka. Nie dlatego by Saddam był leniwy, by brakło mu talentów lingwistycznych. Każdy Irakijczyk wie, że Saddam jest jak Allah, że potrafi i może wszystko i związku z tym także z nauką jednego z europejskich języków nie miałby żadnego problemu. Szkopuł w tym, że Saddam pod koniec 2006 roku doświadczywszy na własnej skórze całego spektrum wartości, jakie niesie z sobą cywilizacja Zachodu, nie przeżył. Śmierć w jakimś stopniu utrudnia naukę języków obcych dlatego ostatni władca Iraku polskiego się nie nauczył.

Konrad Góra jako poeta, wieszcz i Polak przygotował się także na taki rozwój sytuacji. Antycypując pośmiertne milczenie i ogólną impotencję martwego dyktatora postanowił przetłumaczyć swoje requiem na język zrozumiały Irakijczyków w tym – dla samego Saddama.

Oto przykłady tej autorskiej translacji (przy użyciu programu Techland) dzieł poety Konrada Góry:

*W do wczoraj nieznanym powietrzu. Beznarodowy jak Wojvodiniec.
W państwie, gdzie z braku Żydów i granic wszędzie
Wygasłe wojny toczy się o macice*

[wrocław]

W wersji oryginalnej fragment wyglądał tak:

*Wczoraj wylądowaliśmy na lotnisku w Bagdadzie.
To mówi obserwator z ramienia ONZ. Jest źle.
Za ciepło. Nie można oddychać tak jest gorąco
I jak zwykle jest wojna o złoża ropy naftowej*

Z innym fragmentem program tłumaczący Techlandu miał problemy:

*J a k para dla soli język w język
Zlizywana z lustra. Tak w cieniu
Miłości dojrzewa żółć nieskończonego
Łaknienia i sypie się popiół spod powiek
Pierwszego dnia, jaki dane znieść.*

[Ślepiec-Pasożyt...]

Powyższy fragment – mimo iż nieprzetłumaczalny – jest bardzo ważny. Cytują go na głos żołnierze marines za każdym razem, gdy szturmują bunkry i podziemne kryjówki zwolenników obalonego dyktatora. Po słowach: „jaki dane znieść” słychać charakterystyczne zgrzyt metalowych sztab w pancernych zamkach pancernych drzwi, które nagle stają otworem przed nosicielami demokracji. Plotka głosi, że próbuje się go używać w górach Afganistanu w akcjach przeciwko talibom.

Ale za to kolejny akapit z *Requiem dla Saddama Husajna* nie sprawił kłopotu odpowiedniemu softwerowi:

*Strumień kobiet sprzed Biedronki
Wpływa do martwych mieszkań
Strumienia mężczyzn zza Biedronki*

[Źródło]

W przekładzie tekst ten brzmi następująco:

*Martwe mieszkania umierają szybciej
Niż biedronka w strumieniu moczu*

Zorientowani czytelnicy zapewne zorientowali się, że podane przekłady są zaledwie rybkami i daleko im do statusu kongenialnych przekładów – czyli tzw. przekładów dehnelskich.. Aby jednak zadowolić najbardziej wyrafinowany gust czytelniczy i zmysł liryczny kolejne

fragmenty przełoży program tłumaczący Techland z pomocą prof. Sadari Al-Ali Mohikanina, który od dwudziestu lat mieszka w Polsce, który tyle samo lat zasypia każdego wieczoru u boku swojej polskiej żony.

Tekst Konrada Góry:

*Witajcie Chrzczyciele! Malusia Polusia,
Córusia tatusia, który poszedł w księdze.
Z różanego w brunatny krew jej pępowiny.
Ssie palec, mając sutek przy ustach. Urodzony
Lachociąg, będzie z niej pożytek dla starców i gości
Skurwionego plemienia na końcu mapy bez konturów.*

[pocałunek na chrzciny]

Ten sam tekst w przekładzie kongenialnym:

*Życie jest piękne i słońce świeci
Dzieci się bawią, śmieją się dzieci
Tu pasikonik tam idzie mrówka
To przedszkolank dzienna harówka*

[imieniny w przedszkolu]

Aby posmakować tego unikalnego przesłania polskiego poety do ducha Saddama przyjrzyjmy się innym translacjom. Poeta Góra pisze:

*Oś snu, która wykręca ciało
Bez tchu, cały refleks spojrzenia
Skierowany przeciwległe do ziemi.
Tu już nie ma życia. Jego pamięć
Jest płytsza od kłocznej muzyki
Choćby w najjaskrawszej ciszy
Końca.*

[oś snu, która wykręca ciało]

Prof. Sadari Al-Ali Mohikanin przetłumaczył ten fragment tak:

*Człowiek musi się dobrze wyspać
Bo inaczej się kiepsko czuje na drugi
Dzień. Jest jakby otepiały, zamroczony.
I ma problemy z zapamiętywaniem.*

Ale i tak najbardziej udana translacja dotyczy kolejnego fragmentu tego wiersza:

*Przemilczałaś prawdę, że to moje ciało?
Bez niej zapadniesz w pamięć
Wyprzedzaniem myśli, które w rytm muzyki
Nachodzą cię zewsząd bez nadziei ciszy*

Tłumacz okazał się być nie tylko sprawnym czeladnikiem perfekcyjnie władającym narzędziem jakim jest język; nie tylko dobrze znał kulturę danego obszaru językowego ale co najistotniejsze – tłumacz objawił się jako geniusz dla którego jedynym odniesieniem może być Konrad Góra. Oto przykład najwyższego stadium kongenialności przekładu:

*Tu jest mój grób, albo nie tu a tam.
nie wiem, nie wiem, nie pamiętam
muzyczka się sączy z Ipoda
kto mi otuchy dziś doda.*

Polski poeta jest świadomy faktu, że adresat jego wierszy nie żyje. Wie także jaki los spotkał zwolenników partii Baas i co czeka wszystkich przeciwników cnót demokratycznych w rozumieniu zachodnioeuropejskim. W tekście „Pogoń jest nieważna...” przedstawił kompletną wizję bagdadzkiego jedermann, który ścierając pył z twarzy, który wzbudziły przejeżdżające M1A2 Abrams z nadzieją w oczach czeka na new order. Konrad Góra pisze:

*Pogoń jest nieważna. Barwisz śnieg,
Pozbywając się balastu. Moje oko
Traci cierpliwość i wszystkie kształt
Zanika aż po puste słowo.*

W przekładzie tekst brzmi:

*Nie masz szans. Czaję się na dachu
SWD Dragunow z optyką Carl Zeiss
Tuż przy oku i Małe klick a twoja głowa znika
Traci kształt aż po szyję*

Szeroki kontekst użycia tekstów Konrada Góry świadczy dobrze kondycji wieszca. Jako czytelnik odczuwam pewien niedosyt. Brakuje mi w tomiku obrazków. Małych, nieskomplikowanych labiryntów, kolorowanek, rebusów – jednym słowem zabrakło tu czegoś ważnego, dostatecznej racji uzasadniającej określony wydatek, kromkę odjętą od ust po to tylko, by kupić dzieło Konrada Góry.

Justyna Fruzińska, Wiesz dobrze czego się boimy

Watykan zawsze mógł liczyć na ofiarność polskich wiernych. Mógł polegać na polskojęzycznych grzesznikach, którzy szukając odkupienia win ścierają buty w pielgrzymkach. Stolicy Apostolskiej nigdy też nie zawiodły polskie kobiety. W szczególności – poetki. Dla przykładu: Agnieszka Kuciak jest najbardziej znaną poetką, która przywdziała literacki habit. Poszcząc, tygodniami umartwiając się doznała objawienia i w ten sposób powstał jej tomik: *Retardacja*, z którego wiersze cytowane są w kościołach polskiej polonii w Chicago. Inną „świętą” jest powierniczka daru Siostry Faustyny - Wioletta Grzegorzewska. Jej malownicze relacje z pielgrzymek do Częstochowy, w szczególności zapierający dech w piersiach opis odsłonięcia obrazu Madonny z tomiku *Orinoko* namiętnie cytowany jest przez katechetki na lekcjach religii w klasach I-III.

Do panteonu klęczących poetek dołączyła Justyna Fruzińska. W wydanym w 2008 r. tomiczku *Wiesz dobrze czego się boimy*, poetka ta przedstawiła Instrukcję Obsługi Pana Boga.

Wydawać by się mogło, że coś takiego jak Instrukcja Obsługi Pana Boga (IOPB) nie istnieje i nie może istnieć. Ale tylko z pozoru. Okazuje się, że brak tego rodzaju „instrukcji obsługi” przeczyłby dogmatowi o Doskonałości Bożej. Bóg, który nie stworzyłby instrukcji obsługi samego siebie, byłby mniej doskonały od tego, który stworzyłby taki dokument. Skoro Bóg jest doskonały, to musi istnieć coś takiego, co jest „instrukcją obsługi Boga”. W przeciwnym razie byłby on niedoskonały – a tego nie sposób sobie nawet wyobrazić.

Innym dowodem na istnienie IOPB jest argument z kompletności stworzenia. Bóg jako istota doskonała tworzy dzieła doskonale. Świat został stworzony przez Boga. Dlatego jest kompletny i doskonały. Jego elementem jest IOPB. Gdyby ta instrukcja nie została stworzona, to byłoby jej brak. Wszelki brak jest niedoskonałością. Bóg zaś jako doskonałość tworzy rzeczy doskonale. W związku z tym w świecie nie istnieje coś takiego jak „brak”, gdyż brak jest niedoskonałością. Dlatego Instrukcja Obsługi Pana Boga musi istnieć.

Skoro jej istnienie jest konieczne, to koniecznym było także odkrycie IOPB. Tak też się stało. W roku pańskim 2008 światło dzienne ujrzały wiersze Justyny Fruzińskiej. Nie są to teksty zwykłe, ale zapisy ze chorobowego transu, w którym poetka kiedyś się pogrążyła i tak już jej zostało. Pisze:

*któregoś dnia obudziłam się chora
niby taka sama tylko
smutna słaba mniejsza
szukałam cię wszędzie
jednak na nic
na czym polega ta choroba
myślałam macając podłogę
wyzdrowiałam dawno
do dzisiaj tego nie wiem*

[***]

Analiza słów kluczowych powyższego tekstu – „chora, choroba, obudziła się, smutna, słaba, wyzdrowiałam” – przywołuje na myśl relacje z objawień, w których śmiertelnik znieścacka napadnięty zostaje przez jakąś formę transcendencji. Weźmy przykład Jezusa. On poszedł na pustynię i spędził tam kilkadziesiąt dni. Pustynie słyną z wysokich temperatur i braku wody. Łatwo sobie wyobrazić jak musiał cierpieć. I że te jego męki już po pierwszych kilku dniach były gorsze niż stan chorobowy, o którym wspomina polska poetka w tekście rozpoczynającym tomik.

Mówią, że cierpienie zbliża do boga. Tak też się stało i w tym przypadku. Na dowód bliskiego spotkania najwyższego stopnia, poetka Fruzińska, nie tyle przedstawia opis Najwyższego ale stara się sformułować rodzaj etykiety regulującej zachowania w obecności Najwyższego. Spisuje Instrukcję Obsługi Pana Boga. Oto ona:

1) ***Żeby Go zobaczyć, trzeba Go poszukać.***

*grzeszy, który Go nie szuka
który zajęty życiem
czeka na objawienie
na emeryturę
kiedy kościół będzie rozrywką
dosyć upragnioną*

[bez]

2) ***Szykując się na audiencję nie można grzeszyć. A kiedy człowiek grzeszy?*** Fruzińska odpowiada:

grzeszy, kto odkłada na później

[bez]

Drżycie mężowie! Od dziś wasze otyłe żony będą jeszcze grubsze. Zmienia się w ociekające tłuszczem, śmierdzące potem, zatarte między udami, z rozstępami na spasionych brzuchach potwory. Wszak odkładanie tortu śmietanowego „na później” jest grzechem!

3) ***Jak się jest kobietą, to można zaryzykować.*** Dać się ponieść ziemskiemu dopingowi: „idź na całość, idź na całość” i zaproponować Najwyższemu to i owo za jedną audiencję.

Pierwsza Prawda Wiary:

- a) Bóg tworzy tylko rzeczy piękne.
- b) Justyna została stworzona przez Boga.
- c) Justyna jest rzeczą piękną

Znająca wszystkie prawdy wiary Justyna Fruzińska jest świadoma swojego piękna – wewnętrznego i zewnętrznego. Nie certoląc się prosto z mostu wali:

*Eli, mój El
wiesz, że zrobię wszystko*

[psalm Dawidowy]

Czy Eli lub El w tym przypadku skorzystał z propozycji kobiety, która mówi o sobie, że: „specjalizuję się w Bogu” (azyl) ? Tego nie wiemy. Ale dowód z doskonałości podpowiada, że Pan gdyby nie skorzystał byłby mniej doskonały niż Pan, który jest po i właśnie przypala papierosa.

4) **Z Bogiem trzeba bardzo uważać**, gdyż to istota delikatna z naklejką: „FRAGILE” oraz - że tak się wyrażę: wybuchowa - i nie trudno o tragedię:

trochę Boga przykleiło się na ściankach

[***]

5) **Z Bogiem różnie bywa**. Raz go nie ma, raz jest. Ale niezależnie od tego czy jest czy go akurat nie ma, to i tak wszystko się kiedyś dobrze skończy i to w dodatku „na kolanach”. Dlatego nie trzeba się martwić na zapas:

*ja Go nie wołam
On mnie nie woła
udajemy, że tak jest dobrze
ale kiedyś pewnie przestaniemy
padając na kolana
będziemy płakać
i przysięgać wieczną miłość*

[***]

6) **Ale jak już Bóg się zjawi, nie trzeba mu się zaraz ze wszystkiego zwierzać**. Zwłaszcza z malutkich grzeszków. Z lubieżności, z pijaństwa, z obżarstwa. On nie musi o tym wiedzieć. Więcej – jeżeli Mu się o tym nie powie, to będzie jakby szczęśliwszy a i nam będzie lepiej:

*przed Bogiem trzeba ukrywać
te najpiękniejsze chwile w życiu
niech nie wie
co to jest miłość między dwojgiem
kapiel z szampanem
i czekolada*

[***]

7) **Jak już wiesz, że Boga nie wolno zabierać do wanny a koniecznie chcesz z Bogiem gdzieś pójść, to tylko do kościoła i tylko w dni święte**. Niech się modli. Niech się modli bez końca, skoro stworzył modlitwy, te długie i nudne modlitwy różańcowe, te nieskończone dziesiątki zdrowasiek. Niech słucha starowinek, które z pierwszych ławek przez zapadnięte usta cedzą jedną tylko prośbę: „jeszcze jeden dzień i orgazm daj mi Panie! Amen, Amen, Amen”:

*dla Boga niech będzie Dzień Święty
i pięć minut porannej modlitwy*

[***]

Uwaga:

Może to i okrutne tak męczyć Go tym kościołem. Ale z drugiej strony dyskoteka byłaby dla Niego bardziej męcząca. A i obciach przed kolegami wielki.

8) **Poetka poucza** by po umyciu zębów, przed położeniem się spać:

*w łóżku ufa
oddając co wieczór duszę Bogu
na przechowanie*

[łóżko]

Zabieg oddawania duszy w komis ma swoje uzasadnienie medyczne. Człowiek pozbawiony duszy jest lżejszy, co ma istotny wpływ na krążenie i oddychanie.

9) **Czasami bywa tak, że się Pan zakocha się jak normalny człowiek.** Zakocha się tak, jak to tylko na wiosnę zakochać się można. Znajdzie gdzieś numer w książce, albo wydebi od najlepszej koleżanki obiektu westchnień miłosnych. Wydaje się to mało prawdopodobne, a jednak możliwe. Poetka zdała poetycką relację z boskich zalotów. Oto ona:

*Justyna Pan dzwoni, ojciec podaje mi słuchawkę
jak zdechłego kota za wszarz czego może
chcieć ode mnie Pan przecież dawno jestem niewierząca
Halo, mówię i słyszę w słuchawce trzask coś
jak dźwięk gorejącego krzaka Nie rozumiem
Panie mój, odkładam słuchawkę I co,
pyta ojciec Nie wiem dziwny jakiś Oddzwoń chodziło
o mieszkanie Już? ale jestem jeszcze młoda.*

[***]

Dialog nabiera dynamiki, gdy się go uporządkuje:

- Justyna Pan dzwoni

Ojciec podaje mi słuchawkę jak zdechłego kota za wszarz. „Czego może chcieć ode mnie Pan przecież dawno jestem niewierząca”?

- Halo - mówię i słyszę w słuchawce trzask coś jak dźwięk gorejącego krzaka.

- Nie rozumiem Panie mój - odkładam słuchawkę.

- I co? - pyta ojciec.

- Nie wiem dziwny jakiś.

- Oddzwoń chodziło o mieszkanie

- Już? ale jestem jeszcze młoda.

Jak widać Pan może nie jest zbyt rozmowny, ale odgłos „gorejącego krzaka” powinien być łatwy do rozpoznania. Dlatego uprasza się wszystkie panie, by słysząc w słuchawkach zipanie, sapania, chrzęszczenie nie krzyczały: „Ty zboczeńcu! Zadzwoń na policję!”, tylko

żeby pograżyły się w najgłębszej refleksji i przemyślały swoją postawę wobec najbliższych, wobec zwierząt domowych, wobec świata itp.

Powyższej Instrukcji Obsługi Pana Boga nie należy brać ani dosłownie, ani do serca, ani serio. Justyna Fruzińska poznając Jego osobiście, poznała prawdę o Nim. A prawda ta wygląda tak:

*Boga wymyślił system
żeby nas uciskać
żeby mnie uciskać szczególnie*

[***]

Dlatego nie ma się czym przejmować. I całe szczęście. Bóg może się czuć bezpieczny.

Justyna Radczyńska, Podmiana Joli Grosz

Justyna Radczyńska-Misiurewicz w gonitwie, jaką jest życie postawiła na jednego konia. Ścisłej rzecz ujmując – na szkapinę, wychudzoną i zjeżdżoną chabetę o imieniu POEZJA. Stwór ów – onegdaj skrzydlaty lub z jednym rogiem wyrastającym z czoła – jeśli się go dosiądzie ujawnia swoją ukrytą cechę. Mianowicie jednych przerabia w aniołów a innych zmienia w nasze szkapę.

W pewnych okolicznościach koń-senator staje się faktem historycznym. W innych – jak kreskówki Disneya – koń dosiadający innego konia bawi. W jeszcze innych – jak współczesna poezja polska – transmisja na żywo z widowiska, gdzie kobyła POEZJA dosiadana jest przez panią Prezes Fundacji Literatury w Internecie uduchowia naród.

POEZJA w galopie to dość osobliwy i rzadki widok. Ale do widowiska jakie zapewnia Justyna Radczyńska w poetyckim siodle publika zdążyła się przyzwyczaić. A zaczęło się to wszystko w bibliotece Studium (Zielona Sowa) *Podmianą Joli Grosz*

Wio! Prrry! Wišta!

Zanim pani Radczyńska wbiła się w literackie bryczesy zafundowała sobie literacką dietę. Kilka miesięcy trenowała ze słownikiem w rękę. Uczyła się słówek. Uczyła. Uczyła. Uczyła. Aż w końcu wyrzuciła to z siebie:

*oset i ostateczność
w potoku myśli
językolizą i językolizja
mieszanie z błotem
kamieni i snów
trudnych do zgryzienia*

[słowiara]

Justyna do tej pory się dziwi, dlaczego ci wszyscy mądrzy krytycy literaccy, ci, którzy są otrzaskani w literaturze tematu, ci, którzy oprócz dzieł zebranych Mickiewicza, Słowackiego i Norwida czytają dzieła innych poetów nie poznali się na tym wybitnym tekście. Gdyby oni wiedzieli ile czasu ona poświęciła na wymyślenie tytułu: „słowiara”, że konsonans z rzeczownikiem : „gówniara” nie jest tu przypadkowy oraz że „słowiara” to przecież wybitny, nowatorski konglomerat złożony z rzeczowników: „słowo” i „wiara”.

- Dlaczego żaden Maliszewski, Gutorow a nawet Jakub Winiarski nie poznał się na programowym tekście otwierającym tomik „Podmiana Joli Grosz”? Dlaczego? – zadaje sobie to pytanie szefowa do dziś.

Mimo oczywistych neolingwistycznych tropów w postaci neologizmów: „językolizja” „językoliza” nikt nie odkrył głębokiej tajemnicy „ostateczności” połączonej koniunkcją z ostropestem plamistym, którą Justyna Radczyńska z końską gracją odkrywa. To ona, jako poetka, odziera język z „potoku myśli” (Ach, te „potoki myśli” w polskiej poezji! Ile wody

już w nich upłynęło, ten się tylko dowie, kto w nich raz przynajmniej wyprał gacie albo skarpetki), domagając się „kamieni i słów trudnych do zgryzienia”.

Justyna Radczyńska może wie, a może jeszcze nie, a może prowokuje czytelników pisząc o „kamieniach... trudnych do zgryzienia”. Trudno przypuszczać, by poetka tej klasy, nawet gdyby była oszołomiona pędem w trakcie poetyckiej pardubickiej, namawiał ludzi do tak ryzykownego eksperymentu na uzębieniu jakim jest konsumpcja otoczków rzecznych. Chyba, że ma podpisała jakiś cyrograf z stomatologiczno-protetycznym lobby.

Hetta! Hetta! Wio!

W kolejnym tekście poetka w lirycznym galopie postanowiła otworzyć się przed czytelnikiem. Zwierając się z pragnień, wspomnień, z zabaw, z dzieciństwa w bloku miała świadomość, że jako poetka musi zamieścić w tekście jakiś element kosmiczny. Coś dramatycznego, coś, co świetnie spisze się jako puenta. Musi wpaść na jakiś pomysł, by zapiski z plastusiowego pamiętnika zmienić w wierszyk. No i wpadła. Oto zaliczona wpadka:

*jedzenie niedopalków, zimny sen w piżamce w nietoperze
taki duży chłopiec w rajstopkach i koleżeńskie ugryzienie
w szczepionkę
ucieczki przed panem dozorcą po palącej ziemi trawników
szkoła chodzenia cicho — jak prawdziwy Indianin*

wczoraj — dziecko znalezione w stercie liści

[story telling]

Każdy czytelnik ma prawo dowieść genezy użytych w tekście toposów. Pojawia się intuicyjne pytanie: skąd nagle wśród „jedzonych niedopalków” (osobliwa aberracja kulinarna!), „zimnego snu w piżamce w nietoperze” itp., wzięło się „dziecko znalezione w stercie liści”? Odpowiedź może być tylko jedna. Otóż tomik *Podmiana Joli Grosz* ukazał się w 2005 roku, kiedy to cała Polska bulwersowała się werdyktem łódzkiego Sądu w sprawie małżeństwa Krzysztofa i Jadwigi N., którzy zasłynęli z eksperymentalnych prób kisenia dzieci w plastikowych beczkach.

Oto nagłówki z niektórych doniesień prasowych w tej sprawie, z 2005 r.:

Łagodniejszy wyrok dla dzieciobójczyni

[„Rzeczpospolita” z dn. 15.03.2005 r.]

Za zabicie dzieci

[INTERIA.PL z dn. 14.03.2005 r.]

Prawomocny wyrok dla dzieciobójców

[„GW” z dn. 14.03.2005 r.]

Justyna Radczyńska w roli poetki musiała interweniować. Odczuwała podskórna potrzebę rozliczenia tych nieludzkich czynów, potępienia ich na kanwie poezji. I trudno się jej dziwić. Empatia poetycka i instynkt macierzyński – z tym żartów nie ma, zwłaszcza jeżeli chodzi o dobro dzieci. Tylko taka intencja usprawiedliwić może zastosowany przez poetkę zabieg

techniczny przeciwstawienia idealnego obrazu dzieciństwa „dziecku znalezionemu w stercie liści”. Idylliczna kraina dziecięcego świata JA, i świat, ten który dzieje się przynajmniej od „wczoraj” w którym „dzieci” – w domyśle: zakopywane są – „w stertach liści”.

To nieprawdopodobne, ale w tej chwili płaczę.

Szkoda, że poetka nie wykorzystwała swojego neolingwistycznego talentu. Mogła przecież przerobić tytuł – tak jak to robi mój WORD 2000 z włączoną opcją autokorekty - i zamiast „story telling” opatrzyć wierszyk tytułem: „story helling” (od: hell i telling). Jakież piękno i głębia znaczeniowa byłaby wówczas do odkrycia (lub w innej wersji – jakież piękno i głębia znaczeniowa wyłaby wówczas z ukrycia)

Nazad! Pryy! Nazad! Wio!

Poeta – w szczególności – poeta rodzaju żeńskiego, kiedy tylko dosiada konia zaczyna się dziwnie zachowywać. Dziwne zachowania ale jakże ludzkie i znajome dla tych wszystkich, którzy inicjacje poetyckie mają już za sobą nieobce są też autorce *Podmiany Joli Grosz*.

Oto relacja z pragnień poetki dojrzałej. Grubo trzydziestce, czterdziestce i przed pięćdziesiątką. Kobiety spełnionej lingwistycznie:

*jeżu kolczasty, cały klujący,
szukam twojego miękkiego spodu.
szukam by wsunąć tam rękę,
by cię potrzymać chwilę w dłoniach
żebyś coś poczuł.*

*gdybyś był płazem, pocałowałabym cię.
odmieniony - mógłbyś odejść wolny.
niestety jestem tylko małą czarownicą:
potrafię zaklinać światła zielone w czerwone
(i odwrotnie, wedle mojego życzenia),
ale nie znam się na odczarowywaniu jeży.*

*chyba trzeba zrobić coś niemożliwego, coś sprzecznego,
jak ustami dotyka się żaby,
może - pogłaskać jeża do krwi?*

[jeż]

Jako czytelnik i chłopiec tuż po trzydziestce, który uniknął zakopania w liściach, chciałbym zasugerować by nie „głaskać jeża do krwi”, bo to nie tylko jeżowi, ale właścicielowi jeża może sprawić ból.

Robert Rybicki, Motta robali

Od czasu do czasu poeci lubią zadać pytanie o sens. Najlepszym terenem poszukiwań tego typu pytań są – co charakterystyczne dla poezji polskiej – oczy.

Do poszukiwania pytań o sens najlepiej nadają się oczy jakiejś ładnej dziewczyny, przelotnie spotkanej na mieście bądź w tramwaju. Rzadko kiedy w poszukiwaniu wykorzystuje się oczy stałej partnerki czy partnera. W znajomych oczach nie ma żadnej tajemnicy. Gałki oczne stałych partnerów / partnerek nawet wybałuszone ze zdziwienia, przekrwione z przepicia czy zapuchnięte z powodu braku snu lub płaczu znane są na pamięć. Nic w nich nie zaskakuje. A jedynym pytaniem, które może się pojawić w wyniku powtórnej analizy na wskroś poznanego przez lata współżycia dna oka, będzie pytanie o sens dalszego bycia razem.

Zdarza się także, że to nie oczy, nie stopy, ani nawet dłonie, nos czy małżowina uszna są pretekstem do poetyckich poszukiwań sensu. Bywa, że źródłem inspiracji semantyczno-interrogatywnej jest np. gadające auto, od którego można się wiele dowiedzieć pod warunkiem, że się jest wysportowanym Niemcem, robiącym karierę w Hollywood.

Poeta Robert Rybicki może nie jest tak przystojny jak David Hasselhoff ani tak utalentowany jak jego mówiący Pontiac o wdzięcznym imieniu KITT. Nie przeszkodziło mu to jednak zadać pytania o sens. Jako polski poeta współczesny, jako autor kolejnego tomiku w karierze poetyckiej pt. *Motta robali*, Robert Rybicki odnajdzie pytanie o sens w bliżej nieokreślonych “twoich oczach”:

*Twoje oczy, pytania o sens,
podczas gdy sens pyta o nas.
Pyta dotkliwie jak ukłucie igły.*

[niedobył]

Czyż nie jest to piękne pytanie?

Twoje oczy... taaa.... pytania o sens..... mniam, mniam...chciałoby się dodać: i nas dwoje....taaa... i plaża.... mniam, mniam.... i szum morza i piski mew....taaaa....i powracająca fala...taaaa...i sens, który pyta o nas w tej samej chwili, w której my, trzymając się za ręce, wpatrując się sobie w oczy zadajemy pytanie o sens. Taaaa.... i ta mała muszelka, która wpija się w nagi póldepek...taaaa...jak ukłucie igły....uaaaaa!

Autorskie pytanie poety można przeformułować następująco:

*Twoje teksty, pytania o sens
podczas gdy sens pyta o ciebie
Pyta dotkliwie jak ukłucie igły*

[doodbył]

Teraz nic już nie stoi na przeszkodzie, by zapytać o sens poetę, który pytania o sens zadaje.

Do poety Rybickiego, pytań kilka o sens:

Pytanie pierwsze o sens:

Co to jest:

*odwiecznie nieprzekraczalne,
poza galaktyką i codziennym
wpada do wiersza jak kamień*

[niedobyt]

czy jest to:

- A) Kamień polny
- B) Łupek granitowy z kopalni granitu z Kostrzy
- C) Wyschnięty babol z nosa strapionego poety, który od kilku dni pochyla się nad czystą kartką, chcąc napisać jakiś wiersz ale mu to nie wychodzi?

Pytanie o sens numer dwa:

Co to jest, co:

*z niedokreślonego
rozkształca się w doczuwalne*

[coś]

Czy jest to:

- A) penis w zwodzie
- B) embrion obcych, którym zaraziła się Sigourney Weaver w trakcie pracy na 12. częścią perypetii kosmicznych Ellen Ripley
- C) Babol z tego samego nosa, tego samego poety, który po dwuminutowym ugniataniu między opuszkami palców a następnie turlaniu po blacie stołu zmienił konsystencję.

Pytanie o sens numer trzy:

Co się dzieje:

*gdy nerw klucza przewodzi strumień
dygotu drzwi na łonie
klatki schodowej, wśród
ślizgawicy ścian*

[Łatwopylne widowiska]

Odpowiedzi:

- A) Nadchodzi wiosna
- B) Wysiada centralny układ nerwowy
- C) Nic się nie dzieje. Tylko trzeba mniej pić.

Pytanie o sens numer cztery:

W jakiej temperaturze:

*Kłęczą trawy
przyglądając się własnym
korzeniom*

[Wzdęcia]

Odpowiedzi:

- A) 25,2 °C
- B) 25,9 °C
- C) 26,1 °C

Pytanie o sens numer pięć:

*Szesnaście i pół plus siedem,
co nam to da*

[Długość pola]

Odpowiedzi:

- A) dwadzieścia trzy i pół
- B) dwadzieścia pięć i pół
- C) „świat w donacyjnym akcie”

Pytanie o sens numer sześć:

W jakich okolicznościach:

*Soczewka
kałuży marszczy jakby czoło
po odbiciu żagwi*

[soczewka]

Odpowiedzi:

- A) W bajkach
- B) W filmach sensacyjnych
- C) W trakcie pięciominutowej prezentacji prognozy pogody zaraz po wieczornym wydaniu Wiadomości w TVP1.

W poszukiwaniu sensu w wierszach Roberta Rybickiego pt. *Motta robali*, można:

I) wykonać jeden telefon do przyjaciela

II) poprosić o podpowiedź samego poetę korzystając z formularza kontaktowego na blogu poety: <http://ryboezja.blox.pl/html> (pod warunkiem, że opcja: „kontakt” jest dostępna)

III) poprosić innego dowolnie wybranego współczesnego poetę o pomoc.

Nagrodą w quizie jest odkrycie sensu w poezji Roberta Rybickiego.

A jeżeli zamiast sensu, w tomiku *Motta robali* Roberta Rybickiego czytelnik odnajdzie słomę to nie ma się czym przejmować. Wszak poszukiwanie sensu nawet tam, gdzie z natury swej ów nie występuje jest zawsze zajęciem chwalebny i szlachetnym.

Julia Szychowiak, po sobie

Potomek rodu Szychowiaków – pani Julia – zapragnęła być dumną przedstawicielką wszystkich cnót swego rodu. Począwszy od konstytucji biologicznej na dziedzictwie duchowym kończąc. Dlatego Julia wygląda jak mamusia, ubiera się jak mamusia i podobnie jak mamusia, Julia zapragnęła zostać poetką.

W Polsce by zostać poetką należy wydać tomiczek. Obojętnie jaki, obojętnie gdzie i nawet byle jak. Ważne by tomik był. Najlepiej jeżeli składał się będzie z 30-50 tekstów. Nie więcej jednak niż 50 sztuk / tomik. Polscy poeci dawno się spostrzegli, że jednorazowa dawka przejawu natchnienia i geniuszu nie może być większa niż 50 wierszyków na tomik. Więcej czytelnik nie znieś. Warto dodać jakąś dedykację. Najlepiej żyjącemu i prominentnemu poecie.

W związku z powyższym Julia Szychowiak spełnia wszystkie kryteria polskiego poety współczesnego. Jej tomik, Po sobie, składający się z 31. tekstów został wydany w Biurze Literackim. Zamiast dedykacji zawiera podziękowanie:

„**PODZIĘKOWANIA ZECHCĄ PRZYJĄĆ JERZY JARNIEWICZ, MARTA PODGÓRNIK, ANDRZEJ SOSNOWSKI ORAZ MARIUSZ GRZEBALSKI**”

W tej chwili można by pogratulować kulturze i duchowości narodu polskiego kolejnego poety. Wznieść okrzyk: Hura! Hura! Hura! Może nawet wysłać oficjalne gratulacje państwu Szychowiakom, że tak ładnie córkę wychowali, i że kontynuują odwieczną tradycję dziedziczenia właściwości duchowych wraz z chromosomami.

Taka laudacja, która pominęłaby wnikliwą analizę dzieła, byłaby jednak niesprawiedliwa i krzywdząca dla młodej, początkującej poetki. Dlatego warto przyrzeć się dokładniej dziełu spadkobierczyni rodu Szychowiaków, zwłaszcza że wynik obserwacji może być ważną nauką dla synów i córek wywodzących się z innych prominentnych rodów poetyckich, którzy zapragną kontynuować dzieło duchowe swoich rodziców.

Młodzi patrzą na starych zawsze z pewnym niedowierzaniem. Nastolatek nie tylko nie wierzy w swoją nieśmiertelność, ale zasadę narodzin i śmierci wraz z procesem przemijania traktuje jako coś nieistniejącego. Nie ma śmierci. Nie ma starości. Nie ma nic prócz tu i teraz. A wszystkie prawdy porządku społecznego i naturalnego opatrują przeczeniem „nie”. W ten sposób NIE opanowuje język i myślenie:

Nie!
Nie ma boga
Nie macie racji
Nie ma mnie
Nie ma nas
Nie tak
Nie wierzę w nic
Nie zrobię

Jedni nazywają to buntem inni poszukiwaniem własnej tożsamości i miejsca w świecie. Niezależnie jak to nazwiemy jedno jest pewne: gdyby przeczenie „nie” – nie zostało nigdy wynalezione, wówczas nie tylko dorastanie byłoby łatwiejsze i ograniczałoby się do kilku pryszczycy na czole, które kiedyś znikną. Gdyby „NIE” nie zostało wymyślone, nie powstałby też tomik Julii Szychowiak, *Po sobie*.

Po sobie to 31 wierszy + obowiązkowe podziękowanie. Ale Po sobie to 47 przeczeń, to 47 x NIE. Czyli 1,5 przeczenia na tekst.

NIE w tomiku Po sobie funkcjonuje normalnie. Nie zaskakuje. „NIE” jest w tym przypadku produktem ubocznym procesu dojrzewania. Julia Szychowiak, zakładając bluzkę po mamusi, by wspomóc oddziaływanie rodzinnej weny, nie potrafi wydostać się z młodzieżowych ograniczeń, młodzieżowego buntu językowego. Jej NIE będzie proste i przewidywalne jak proces oddychania: wdech, wydech, wdech wydech.

Standardowy bunt: „nie ma mnie”

*Życie z sekundnikiem i dłonie
są wszędzie, mnie nie ma nawet w tekturowym
oknie.*

[nago]

Równie standardowe: „nie”, kiedy pierwsza miłość rozczarowała:

*Nie powtórzysz, nie wtedy i jeszcze nie tak.
Byliśmy nie z tego świata nad słońcem,
lecz żywi pod chmurami, nie zasłaniając twarzy.*

[odtąd nie]

I dalej w tym samym tekście NIE jako miłosne, pieśczone, erotyczne „NIE” – „nie” kobiety, której przed chwilą urosły cycki i teraz chciałaby się dowiedzieć o instrukcji obsługi, ale się boi. NIE jako wyraz ciekawości poznawczej powiązanej z lękiem przed nieznanym:

*Tkaliśmy szal z włosów twardych jak gałąź,
nie do zerwania z ramion.*

[odtąd nie]

Młodzieżowe NIE często przybiera formę nihilistycznej obawy. Dojrzewające pokolenie negując wartości i zasady świata, w którym dorastają w pewnym momencie dostrzega bezsens walki. Stąd częste przypadki samobójstw wśród nastolatków. Zjawisko to także znalazło wyraz w wierszach Julii Szychowiak:

*Co mówią oczy, jak krwawią wargi,
oczyszczane z prawdy, jak bardzo boli?
Chodźmy, nic tu nie ma. Nic ma nas, zobacz*

[nic]

Nihilizm jest najkrótszą drogą do fatalizmu a stąd można trafić albo do piekła – jeżeli człowiek zdecyduje się na samobójstwo – albo przed ołtarz wiary. W okresie dojrzewania odrzucenie, zwątpienie i rezygnacja jest najlepszą drogą do śmierci lub do euforii zbawienia. Wiedzą to działacze różnych sekt, wiedza ta nieobca jest także dominikanom. Jedni i drudzy prześcigają się, by właśnie w tym najbardziej wrażliwym okresie życia dopaść człowieka, porwać jego duszę by przywłaszczyć go sobie. Po której stronie znalazła się spadkobierczyni rodu Szychowiaków? To czytelnik musi sam rozstrzygnąć na podstawie świadectwa dorastającej poetki:

*Sierpień w kolorze żelaza, kiedy krzyże,
krzyże obejmują ciebie. Czarne dookoła.
Twoje ryby są głodne, Panie, ze szkła
usypane, leżą w ciemnym piasku, także
moje słowa.*

[nie tak]

Wiersze Julii Szychowiak są normalne. Normalność w tym znaczeniu należy rozumieć jako pewien, konieczny etap rozwoju osobowego. Każdy kiedyś chciał przebić sobie ucho, nos, brodawkę, lechtaczkę itp.. Każdy chciał zrobić sobie tatuaż na ramieniu, łędźwiach czy pośladku. Z takich rzeczy się wyrasta. Czego z całego serca Julii Szychowiak życzę.

Zbigniew Machej, Kraina wiecznych zer

Oto prosty rachunek:

$$0 + 0 = 0$$

Tu nie ma żadnego haka. Pomylić się nie można.

Oto rachunek o wyższym stopniu komplikacji:

$$0 + 0 + 0 + 0 = 0$$

Człowiek sobie myśli: Jeżeli dodanie do siebie dwóch zer daje zero, to dodanie do siebie trzech zer kolejno także niczego nie zmienia. Ale dlaczego ktoś pyta mnie o sumę nie trzech, a czterech zer? Czy kryje się w tym jakiś podstęp? Może sztuczka?

Oto rachunek trudny:

$$0 + 0 + 0 + 0 \dots \infty = 0$$

Główna trudność polega tu na wyobrażeniu sobie czegoś tak abstrakcyjnego jak nieskończoność. Ale kiedy już to się uda, okazuje się że rachunek:

$$(0 + 0 + 0 + 0 \dots \infty) + (0 + 0 + 0 + 0 \dots \infty) + n \rightarrow \infty$$

gdzie $n = (0 + 0 + 0 + 0 \dots \infty)$

także będzie łatwy do policzenia chociaż nie tak łatwy do wyobrażenia.

Człowiek sobie stworzy sobie analogię. Na przykład: wyobraźmy sobie dom, w którym jest nieskończenie wiele pokoi. Każdy pokój jest pusty. I niech ten dom znajduje się mieście, w którym wszystkie domy wybudowano wg tego samego projektu: czyli, że każdy dom ma nieskończenie wiele pustych pokoi.

Człowiek zacznie dochodzić do różnych wniosków:

- że miasto musi być nieskończenie dużym miastem.
- że nieskończoność miast musi być większa niż nieskończoność jednego domu, który posiada nieskończoną powierzchnię, gdyż ma nieskończoną ilość pokoi.

Później człowiek zacznie odnajdywać pewne aporie swej analogii:

- że pokoje są puste i owszem, ale żeby analogia była analogią, powierzchnia pokoju musiałaby wynosić 0 m^2 .
- gdyby tak było, że powierzchnia każdego z nieskończonej ilości pokoi w jednym domu wynosiła 0 m^2 , to powierzchnia domu także wynosiłaby 0 m^2 .

Niby nie jest to żadne odkrycie, ale kolejny etap rozważań wnosi do sprawy coś nowego:

Człowiek sobie myśli:

- no dobrze, może i domy mają 0 m², ale to przecież są domy i na dodatek znajdują się one w mieście. Każdy z tych domów zajmuje określone miejsce w mieście, bo miasto składa się tylko z takich domów, tylko takie domy są w tym mieście. Na dodatek jest ich nieskończenie wiele.

Człowiek by wzmocnić fundament teoretyczny swojej argumentacji odwoła się do zdania:

$$0 + 0 + 0 + \dots \infty$$

Zmodyfikuje je tak, by pasowało do jego analogii o mieście, w którym znajduje się nieskończenie wiele domów o powierzchni 0 m² i każdy z tych domów zajmuje określone miejsce w mieście. Ponumerował sobie kolejne zera, żeby się nie pogubić. I otrzymał takie oto zdanie:

$$0^1 + 0^2 + 0^3 + \dots \infty$$

I znowu – jak na człowieka myślącego przystało – zaczął się zastanawiać czy zdanie:

$$0^1 + 0^2 + 0^3 + \dots \infty$$

będzie miało taką samą wartość jak zdanie:

$$0^3 + 0^2 + 0^1 + \dots \infty$$

innymi słowy: czy jeżeli pozamienia miejscami pomyślane domy w pomyślanym mieście, to będzie miał do czynienia z tym samym miastem? Czy może coś się w nim zmieni?

Doszedł do wniosku, że tak. Że zmieni się – całe miasto się stanie odwrotne, gdy zacznie sobie je wyobrażać od ostatniego do pierwszego domu, z którego jest ono zbudowane. I w tym momencie, kiedy uświadomił sobie, że każde zero ma swoje miejsce i że to miejsce, porządek ułożenia sprawia, że zero jest czymś nasz człowiek otrzymał via mail dowód empiryczny, który sfalsyfikował całe jego rozmyślanie o zerach.

Niech nasz człowiek będzie pewnym zwariowanym fizykiem zza oceanu, który w wieku 78. lat stracił wzrok na skutek napromieniowania w trakcie pracy nad materiałem rozszczepialnym. I niech ten ślepy szaleniec odkryje w sobie miłość do poezji.

Jako, że nie może czytać, kazał sobie książki przerabiać na pliki tekstowe, które odczytywał mu specjalny program komputerowy. Trudno mu się było na początku przyzwyczaić. Nie poddał się jednak. Słyszał o polskim profesorze – Leszku Kołakowskim – który godzinami wyczekiwał na polskich studentów, którzy robili mu łąkę i wpadali tylko na dwie godzinki by mu poczytać. Co można przeczytać przez dwie godziny dziennie?

Zwariowany fizyk gardził litością mu okazywaną jako kalece, miał w dupie wolontariuszy i łaskę studentów. Przetawiał zmysł percepcji tekstu z wzrokowego na słuchowy. Zaczął słuchać teksty a nie czytać. A że poezja lubi jak się w nią wsłuchuje fizyk stał się w niedługim czasie specjalistą od fonii poetyckiej.

Któregoś razu rozmyślając nad swoją teorią zer, fizyk otrzymał majlem załącznik. Fizyk mimo szaleństwa i ślepoty nie był w ciemni bity. Wiedział, że w tych załącznikach to różne rzeczy teraz wysyłają. Począwszy od zdjęć roznegliżowanych panów a na wirusach kończąc.

Przed otwarciem załącznika posłużył się programem IVONA. Jedno kliknięcie i z głośnika dobiegł go ciepły, znany głos kobiety: „Zbigniew Machej, *Kraina wiecznych zer*, Biuro Literackie 2000”. Nastąpiła chwila przerwy, poczym ten sam głos poinformował:

„Kliknij prawy przycisk myszki jeżeli chcesz czytać dalej. Lewy jeżeli chcesz skasować plik”

Ślepiec trochę automatycznie wbrew podszeptom intuicji, która odezwała się tuż po prezentacji tytułu zbioru wierszy: „nie czytaj tego, nie czytaj!” – kliknął przycisk prawy. No i się zaczęło.

pierwsze zero z krainy wiecznych zer:

*księżyc się toczył nad polem
nad polem lasem nad rzeką
przez nocy pół i pół dnia
pole spało bez nieba
las się palił bez wiatru
daleko blisko daleko
rzeka płynęła bez dna*

[Fazy]

drugie zero z krainy wiecznych zer:

*Śniło się lato. Las. Zbierałem grzyby.
Działo się to gdzieś w Litwie lub może
na Krymie... Obudziłem się w zimie.
Nocą. W autobusie. I w płaszczu,
którego postawiony kołnierz pod
głową przymarzł do szyby.*

[xxx]

trzecie zero z krainy wiecznych zer:

*W nudnym jednostajnym biegu,
zestawiona w dwuszeregu, noc
od brzegu jest do brzegu gęsta
od postnego śniegu.*

[29 lutego]

i po dotarciu do czwartego zera z krainy wiecznych zer – do tekstu „a”:

*aopowiadałamwam
jakogładałamnawideo
titanikaizalalam
mieszkaniesqsiadam?*

Fizyk uderzył młotkiem, celując w lewy klawisz myszki. Trudno wymagać do ślepego precyzji, dlatego zamiast myszce oberwało się prawemu głośniczkowi soundblastera. W tych sekundach, które musiały upłynąć między opuszczeniem-uderzeniem-podniesieniem młotka, inteligentny lektor IVONA zdążył zapoznać dziadka z fragmentem kolejnego zera z krainy wiecznych zer:

*Zsiadły śnieg
zszedł do rzek.
Zmienił stan.
Spłynął na
dalszy plan.*

[idzie wiosna]

Trudno się dziwić, że po wysłuchaniu kolejnego dzieła Macheja, fizyk odzyskał wzrok na ułamek sekundy. Może ułamek sekundy to nie jest jakaś epoka, żaden cud. Ale ułamek ten był wystarczająco długi by dobrze przymierzyć. Dziadek trafił bezbłędnie.

I od tego dnia, w którym poznał kilka zer z *Krainy wiecznych zer* Zbigniewa Macheja wie, że jego teoria o zerach w miejscu X nie obowiązuje dla jednego tylko przypadku. Dla zdania – ciągu kolejno dodanych 63 zer. Tu teoria o miejscu nie obowiązuje.

Jakub Winiarski, Loquela

Nie jest tajemnicą, że guru polskiej krytyki literackiej, w ogóle literacki samograj, znawca literatury wszelkiej, począwszy od traktatów filozoficznych mistyków średniowiecznych a na komiksach kończąc – inż. Jakub Winiarski – przygotował dla swoich fanów niespodziankę. Napisał książkę, którą chciałby gdzieś wydać.

Inżynier Winiarski jest na etapie poszukiwania wydawcy. Jest bardzo wybredny. Ma świadomość ciężaru gatunkowego swoich dzieł. W tym zakresie mierzyć się może tylko z mgr Rowling. Fani obstawiają Biuro Literackie. Ale zdarzyć się może, że zainteresuje się ZNAK, PWN, a może i WL. Tu nic nie jest przesądzone.

Ale zniecierpliwieni miłośnicy prozy inż. Winiarskiego, okazali się sprytniejsi niż firewall strzegący zasobów twardego dysku ich idola. Fragmenty dzieła - *Loquela II* (nazwa wymyślona przez fanów. Wiadomo, że tytuły swoich książek Jakub Winiarski ustala na 3 minuty przed drukiem. Nie chce by przedostały się one wcześniej do prasy) – zostały wykradzione. Tak, tak. To haniebne i naganne. To karygodne, wbrew prawu i niemoralne. Ale miłość przecież nie zna granic – tym bardziej tych, które wyznaczane są przez ramy prawa autorskiego nawet, gdy na ich straży stoi mgr Mosiewicz.

Jeden z tych fragmentów ukazał się na zamkniętym forum miłośników Winiarskiego-niechżyjenamjakubwiniarskistolatalboidłużej-niechżyje-niechżyje.pl

Pozwoliłem sobie – za zgodą złodziei – przedrukować ową próbkę. Czynię to dla dobra ludzkości, literatury i sztuki. Wierzę, że dzięki temu zmniejszy się dziura ozonowa, że białych niedźwiedzi będzie więcej i że 3000 wieśniaków w Indiach znajdzie sobie lepsze zajęcie niż zabijanie kijami tygrysów. Wierzę, że wszystkie z głębokich przemyśleń inż. Winiarskiego utrwalone na piśmie zmieni świat na lepsze. Czego światu z całego serca życzę.

Jakub Winiarski, *Loquela II*, Biuro Literackie-PWN-ZNAK-WL, 2029

Rozdział I

Dać wypełnić się tajemnicami. Niebezpiecznie jest się zakochać we śnie.

Tomasz mówił i to był początek... Pomyślałem zdanie, że motyle pojawiają się we śnie zawsze w holdzie dla Nabokova. I motyle, chyba wszystkie gatunki motyli. I wiesz co?

- Miałem sen - zaczął z trudem, po polsku - a w tym śnie byłaś ty i był pająk.

Czuł, że mógłby mieć na imię Ricardo lub Alfonso i mówić po włosku. Żenowało go trochę poczucie, że to wszystko dzieje się jak w romansie. Tego dnia Tomasz zdecydował; przestał ludzić się, że ten sen był zwyczajny i że uda mu się go zignorować - zdecydował się więc i zadzwonił; numer jej telefonu miał od kilku miesięcy. Pojawiła się, przeszła, może nawet pomachała mu na powitanie ręką, nic nie wiedząc o śnie, w którym była, w którym była nawet mocniej niż w życiu. A Dagmara? Miał wrażenie, jakby tamten dzień w pracy zmienił więcej niż chciałby to przyznać. Nie wiedział, czy zostaną dłużej, nie wiedział, czy powinien się bać. Nie wiedział, skąd przychodzili i nie umiał powiedzieć, gdzie nikli. Było tak, jakby wokół Tomasza zaroilo się nagle od obcych. Jakby bardziej pozostawał przez te godziny w miejscu,

które opuścił budząc się rano i wstając. Czas spędzony na rozpamiętywaniu snu odrealnił całą pracę Tomasza. Tomaszowi ulice wydawały się inne, inny był na nich śnieg i inaczej skrzypiały na lodzie lekkie buty, w których szedł na spotkanie tego, o czym myśleć nie potrafił przestać. Był styczeń, ostre słońce rozcinało horyzont. Tamten sen zmienił świat w przyciemnione, naelektryzowane wnętrze. Tomasz dobrze pamiętał ten ranek, gdy obudził się przekonany, że historia, której we śnie doświadczył, naznaczyła go i zmieniła na stałe.

Spotykali się więc regularnie, lecz to w snach nastąpiło zbliżenie. Spotykali się w wielkim budynku, gdzie oboje pracowali od dawna. Czy spotykał ją tylko we śnie? Oczywiście, że nie, nie tylko. Nie wiedział, że życie tych wszystkich, co jak on zakochali się śniąc, wypełnione jest i oplecione pajęczyną, której nici to najczystszy ból. Jednak starał się wciąż i wciąż myślał, że chce ze snu przeprowadzić ją w jawę. Ale nie zbliżał się ani o krok, jakby znajdował się w takim miejscu wszechświata, gdzie przestrzeni nie udaje się przebyć, gdzie odległość między punktem a punktem jest ta sama na zawsze. Tomasz nie był już w tej chwili motylem, był znów sobą i szedł w jej kierunku. W pewnej chwili zamieniła się w dziecko, w kapryszą, kilkuletnią dziewczynkę. Dagmara nie dostrzegała pająka i bawiła się niczym dziecko w piasku. Sen zaciemniał się, jednocześnie rosnąc, przerastając to, co Tomasz poznał na jawie. Niebezpieczny, chorobliwy, złowróżbny. Gdzieś na skraju czaił się czarny pająk. Słoneczna plaża, fale piasku koloru jej skóry; naokoło fruwały motyle, jednym z nich był, taka myśl mu przebiegła przez głowę, Tomasz. Przyśniła mu się wiele razy, ale jeden był decydujący. Tomasz spotkał Dagmarę we śnie i być może tak powinno zostać. Najpewniej nie musieli się spotkać, a jeśli spotkali się jednak, to raczej przypadkiem, jak zawsze, gdy w grę wchodzi pech albo szczęście. Najpewniej była tylko losem, przyczyną wielu myśli i zdarzeń. Próbował dowiedzieć się tego. Kim była? Jak się spotkali? Skąd przyszła?

Znał jej imię, to prawda, a jednak nie był pewien, czy wie o niej cokolwiek. Tak, Tomasz Vremd całym sobą pokochał, lecz nie wiedział ani jak, ani kogo. Zanim Tomasz Vremd zdał sobie sprawę z tego, jak niebezpiecznie jest zakochać się podczas snu, jego miłość do nieznajomej Dagmary, ta iluzja, w której daremnie próbował złączyć pozór z rzeczywistością, zawładnęła nim i otoczyła go tajemnicą.

Jakub Winiarski, *Loquela*, Zielona Sowa 2004.

ROZDZIAŁ I

Niebezpiecznie jest zakochać się we śnie, dać wypełnić się tajemnicami...

Zanim Tomasz Vremd zdał sobie sprawę z tego, jak niebezpiecznie jest zakochać się podczas snu, jego miłość do nieznajomej Dagmary, ta iluzja, w której daremnie próbował złączyć pozór z rzeczywistością, zawładnęła nim i otoczyła go tajemnicą. Tak, Tomasz Vremd całym sobą pokochał, lecz nie wiedział ani jak, ani kogo. Znał jej imię, to prawda, a jednak nie był pewien, czy wie o niej cokolwiek. Skąd przyszła? Jak się spotkali? Kim była? Próbował dowiedzieć się tego. Najpewniej była tylko losem, przyczyną wielu myśli i zdarzeń. Najpewniej nie musieli się spotkać, a jeśli spotkali się jednak, to raczej przypadkiem, jak zawsze, gdy w grę wchodzi pech albo szczęście. Tomasz spotkał Dagmarę we śnie i być może tak powinno zostać. Przyśniła mu się wiele razy, ale jeden był decydujący. Słoneczna plaża, fale piasku koloru jej skóry; naokoło fruwały motyle, jednym z nich był, taka myśl mu przebiegła przez głowę, Tomasz. Gdzieś na skraju czaił się czarny pająk. Niebezpieczny, chorobliwy, złowróżbny. Sen zaciemniał się, jednocześnie rosnąc, przerastając to, co Tomasz poznał na jawie. Dagmara nie dostrzegała pająka i bawiła się niczym dziecko w piasku. W

pewnej chwili zamieniła się w dziecko, w kapryszą, kilkuletnią dziewczynkę. Tomasz nie był już w tej chwili motylem, był znów sobą i szedł w jej kierunku. Ale nie zbliżał się ani o krok, jakby znajdował się w takim miejscu wszechświata, gdzie przestrzeni nie udaje się przebyć, gdzie odległość między punktem a punktem jest ta sama na zawsze. Jednak starał się wciąż i wciąż myślał, że chce ze snu przeprowadzić ją w jawę. Nie wiedział, że życie tych wszystkich, co jak on zakochali się śniąc, wypełnione jest i oplecione pajęczyną, której nici to najczystszy ból. Czy spotykał ją tylko we śnie? Oczywiście, że nie, nie tylko. Spotykali się w wielkim budynku, gdzie oboje pracowali od dawna. Spotykali się więc regularnie, lecz to w snach nastąpiło zbliżenie. Tomasz dobrze pamiętał ten rano, gdy obudził się przekonany, że historia, której we śnie doświadczył, naznaczyła go i zmieniła na stałe. Tamten sen zmienił świat w przyciemnione, naelektryzowane wnętrze. Był styczeń, ostre słońce rozcinało horyzont. Tomaszowi ulice wydawały się inne, inny był na nich śnieg i inaczej skrzybiały na lodzie lekkie buty, w których szedł na spotkanie tego, o czym myśleć nie potrafił przestać. Czas spędzony na rozpamiętywaniu snu odrealnił całą pracę Tomasza. Jakby bardziej pozostawał przez te godziny w miejscu, które opuścił budząc się rano i wstając. Było tak, jakby wokół Tomasza zaroilo się nagle od obcych. Nie wiedział, skąd przychodzili i nie umiał powiedzieć, gdzie nikli. Nie wiedział, czy zostaną dłużej, nie wiedział, czy powinien się bać. Miał wrażenie, jakby tamten dzień w pracy zmienił więcej niż chciałby to przyznać. A Dagmara? Pojawiła się, przeszła, może nawet pomachała mu na powitanie ręką, nic nie wiedząc o śnie, w którym była, w którym była nawet mocniej niż w życiu. Tego dnia Tomasz zdecydował; przestał ludzi się, że ten sen był zwyczajny i że uda mu się go zignorować - zdecydował się więc i zadzwonił; numer jej telefonu miał od kilku miesięcy. Żenowało go trochę poczucie, że to wszystko dzieje się jak w romansie. Czuł, że mógłby mieć na imię Ricardo lub Alfonso i mówić po włosku.

- Miałem sen - zaczął z trudem, po polsku - a w tym śnie byłaś ty i był pająk. I motyle, chyba wszystkie gatunki motyli. I wiesz co? Pomyślałem zdanie, że motyle pojawiają się we śnie zawsze w holdzie dla Nabokova. - Tomasz mówił i to był początek...

Krystyna Miłobędzka, W widnokręgu odmieńca

Krystyna Miłobędzka czterdzieści lat temu - czyli będąc jeszcze Krysią - postanowiła sobie, że pofilozofuje. Że zada – najpierw sobie samej, później rodzinie i znajomym a na końcu całemu światu – kilka pytań. Jakich? Krysią postanowiła że: *„Pytania, na które sobie odpowiadałam, są pytaniami o początek: początek myślenia, początek języka, początek wyrażania siebie przez każde z nas”*

Kiedy minęła zaplanowana czterdziestka, a było to w roku 2007, Krysią wysłała arkusz ze wszystkimi możliwymi odpowiedziami na adres wrocławskiego Biura Literackiego. No i stało się! Krysią „Filozofka” Miłobędzka podbiła serca rzesz czytelników głębią swoich przemyśleń.

Oto niektóre produkty filozoficznej refleksji filozofa z waginą - poetki, Krystyny – ogólnie: Pani Miłobędzkiej.

Założenia metodologiczne:

„Gdyby w ankietach, na które przy każdej okazji odpowiadają dorośli, wśród pytań o zainteresowania i pracę, zamiast zdawkowego, zadawanego zwykle na końcu pytania: „jaki jest twoje hobby?”, znalazło się inne: „jaka była twoja ulubiona zabawa w dzieciństwie?” - i gdyby zapytywani odpowiedź na to pytanie potraktowali poważnie, chcieli i umieli na nie odpowiedzieć - to sądzę, że dowiedzieliby się o sobie samych rzeczy niezwykłych.”

Początki sceptycyzmu:

„Dowiedzieliby się mianowicie ze zdumieniem...”

Pierwszy paradoks – tzw. paradoks policjanta:

„... że o swoich dorosłych zainteresowaniach, wyborze zawodu, poszukiwaniach artystycznych czy naukowych, słowem - o powołaniu całego życia, zadecydowali, mając parę lat”

Wyjaśnienie:

Filozofka z Biura Literackiego nie potrafi wyjaśnić: dlaczego wszyscy chłopcy w dzieciństwie chcą być policjantami a kiedy dorosną to piszą na ścianach „HWDP”?

Pierwsze ukąszenie Hegla.

Krysią zdradza się jako marksistka. Proces wychowania ta oryginalna filozofka polska przedstawia w kategoriach pracy:

„Nie mając pojęcia, że myślimy, wykonywaliśmy wówczas samodzielnie tę pierwszą, ogromną i skomplikowaną pracę poznawania nieznanego świata, w którym nagle znaleźliśmy się po urodzeniu”

Cytując klasyka: „*trudna to praca nad miechem się prażyć, słuchać żelastw hartowania syku!*”

Nauka Logiki:

Marksistka Miłobędzka postanowiła potrenować umiejętności logiczne. Pierwsza pod nóż poszła alternatywa:

„*Ulubionym zajęciem dwuletniego chłopca było wyciąganie nitek z materiału*”

Albo:

„*ulubionym zajęciem chłopca było przebywanie w ogrodzie i odwracanie głów słoneczników ku słońcu*”

Pierwsza aporia:

Jakie jest zatem ulubione zajęcie chłopca?

Krótką lekcją z historia nauki.

Krystyna filozofka po mentalnej rozgrzewce przechodzi do intelektualnego natarcia. Bierze się za fakty z historii nauki. Powątpiewa. Zmienia się w sceptyczkę:

„*A co z jabłkiem Newtona? Zastanawiam się, kiedy naprawdę spadło. Czy spadło już w dzieciństwie Izaaka i wróciło nagle we wspomnieniu tamtym pełnym znaczenia obrazem, w którym coś sprawia (co?), że jabłko spada, a księżyc wisi?*”

Filozofia języka - Pierwsze Odkrycie Krystyny.

Krystyna jako filozofka, która pozazdrościła Newtonowi jego odkryć, sama postanowiła pobyć Kolumbem, odkrywającym nowe Ameryki. Jedno z jej odkryć brzmi:

„*Mówimy. Język słów jest dla nas czymś oczywistym, czym posługujemy się lepiej lub gorzej, czego nieustannie używamy.*”

Psychologia rozwojowa - Drugie Odkrycie Krystyny:

Z innych, ważkich Krysinych odkryć na uwagę zasługują:

„*Dla dorosłych świat jest zrozumiały.*”

„*Dorośli to ci, którzy świat rozumieją*”

oraz:

„*Dla dzieci świat jest niezrozumiały.*”

„*Dzieci to ci, którzy świata nie rozumieją*”

odkrywczym wydaje się także twierdzenie o tym, że dzieci: „*Muszą poznawać świat*”.

Filozofująca Krystyna pozostawia czytelnika z pytaniem o możliwość oraz skutki istnienia niemowlaka-solipsysty. Czy taki byt jest w ogóle możliwy? Co dałoby takie poznanie ludzkości? Kto pierwszy ośmieliłby się przeprowadzić taki eksperyment poznawczy?

Podsumowując:

Nie ma nic nagannego w tym, że Krystyna Miłobędzka przed 40. laty postanowiła, że większą część swojego życia spędzi na rozmyślaniach. Zastrzeżenia budzi jednak produkt owej tytanicznej pracy uzwojeń mózgowych Filozofki-Poetki Krystyny Miłobędzkiej. Odkrycie że: „**dzieci dorastają**” w pewnych kręgach badawczych porównywalne jest ze stwierdzeniem: **koło jest okrągłe**.

Wojciech Giedrys, Ścielenie i grzebanie

Krzyżowiec polskiej krytyki literackiej – Karol Maliszewski – wielokrotnie udowodnił, że troska o kondycję polskiej poezji współczesnej szczególnie leży mu na sercu. A że serce Karol ma wielkie, czerwone i doskonale unaczynione znajdzie się na nim wystarczająco dużo miejsca dla wszystkich, którzy rymowanki piszą. Gdyby jednak Karol przeliczył się co do swoich możliwości, gdyby obciążone troską o poezję serduszko owego zacnego męża miało skapitulować – pan Maliszewski nie musi się obawiać. Przed zawałem ustrzeże go czujna i kochająca małżonka o wdzięcznym imieniu – Apolonia.

Apolonia tak bardzo umiłowała męża, że poświęciła życie by Karol Maliszewski miał co recenzować. By nie zabrakło mu pożywki estetyczno-intelektualnej dla jego esejów krytyczno-literackich udała się do GUS-u, Urzędu Skarbowego, Urzędu Miasta i ZUS-u (niekoniecznie w tej kolejności), wypełniła kilka papierków, złożyła kilka podpisów i nawet przybiła kilka pieczętek.

Tak, Tak – Apolonia w chwili rejestracji wydawnictwa Mamiko, dorobiła się ładnej pieczątki.

Do tej pory Apolonia nie może się nadziwić jak to jest z tymi literkami wyciętymi w gumce. Niby są ułożone odwrotnie i trudno je przeczytać, a jednak po odcisnięciu na białej karteczce pojawia się ładny czytelny napis:

Apolonia Maliszewska
57-400 Nowa Ruda, ul. Piastów 5/1
tel. 074 872 53 64, tel. kom. 0502 420 489
mamiko.am.@wp.pl, biuro@mamiko.pl

Największą frajdę sprawia jej zabawa automatem stemplowym. Może tak godzinami spoglądać jak gumka pojawia się i znika w obudowie. Pojawia się i znika, pojawia się i znika, pojawia i znika....

Od czasu do czasu Apolonia Maliszewska koresponduje z odpowiednim działem Biblioteki Narodowej. Dostaje stamtąd listy polecane a w nich kolejne numery ISBN.

Pani Maliszewska, po pracy – to znaczy kiedy opuści pokój, w którym stoi komputer z faksem i drukarką i przejdzie do kuchni – zmienia się w troskliwą żonę. Gotuje, gotuje i jeszcze raz gotuje. Stara się jak może, studiując stare księgi kucharskie, które odziedziczyła w spadku po mamusi (ta zaś odziedziczyła je po swojej matce i tak dalej, i tak dalej). Robi wszystko, by mąż Karol punktualnie o godzinie 15.00 każdego dnia – niezależnie czy są to dni płodne, czy nie – dostał posiłek.

Kiedy Karol zasiada do obiadu Apoloni udziela się to samo napięcie, które towarzyszy wszystkim autorom wysyłającym swoje skrypty na skrzynkę: *biuro@mamiko.pl*. Kobieta z niecierpliwością wyczekuje na recenzję posiłku. Studiując dokładnie mimikę jurora, stara się odczytać ostateczny werdykt. Każdy ruch powiek, w szczególności zmarszczka w kąciku lewego oka, ton mlasknięcia, odgłos przetykania kęsów, kat pochylecia widelca względem schabowego, siła nacisku noża – żadnego ze znaków nie przeoczy.

Karol Maliszewski – niezawodny juror, otrząskany w licznych konkursach, w których musiał formułować sądy estetyczne – za każdym daje fory troskliwej żonie. Stara się oceniać raczej intencje niż jedzenie. Od kilkunastu lat, 12 miesięcy w roku, 7 dni w tygodniu, o godzinie 15.38 kulinarne ego Apolonii łąchta taki sam werdykt, tego samego jurora: „Było pyszne”. Ale każdy przecież wie, że najlepiej gotuje i gotowała zawsze mamusia. Nie ma to jak obiad u mamy. Jednak by nie smucić troskliwej małżonki, Juror-Karol okłamuje kobiecinę. Zwyczajnie łże jak pies.

Po jedzeniu Karol przechodzi do gabinetu, w którym stoi komputer, faks i drukarka – czyli do biura wydawnictwa Mamiko. Siada na obrotowym fotelu, odpala komputer i myśli: „co by tu napisać?”. Kiedy już wpada na genialną myśl: „Książkę sobie napiszę!”, kiedy przed oczami wyobraźni widzi swoją przyszłość ogromną, jak to z Jerzym Pilchem spacerują po sopockim molo, jak to uganiają się za nimi paparazzo, jak to wydawnictwo Mamiko wyparło z rynku Znak, Biuro Literackie i PWN – nagle przerywa mu żona, która informuje go, że o godzinie 11.32 na jej prywatną skrzynkę e-mail Wojciech Giedrys przesłał skrypt kolejnego tomiku. Karol zawahał się tylko chwilę. Wydał już przecież m.in dzieła takich poetów jak.:

1) Ryszard Chłopek - który oprócz tego, że w środowisku krytyków literackich słynie z mnożenia synonimów: *Wibrujące ucho, ucho rozedrgane, wpadające w rezonans, szeroko otwarte na każdy dźwięk, szelest.* (recenzja tzw. późnego debiutu Aleksandry Zbierskiej), to także pisze wiersze, w których ucieka się do wyjątkowo oryginalnych i celnych górnośląskich metafor:

*przykuca ciemność.
męskie uda falują nad drogą,*

[Dlaczego nie barbarzyńcy]

*melodia osiada na drzewach,
ukojenie rozpięte na kościach
zamkniętym okiem znaczy zmiany kursu.*

[Cichy wróg]

2) Anna Magdalena Pokryszka – kobiety, która kobiecość literalnie przeniosła do wierszy. Jej specjalnością są tzw. jednowyrazowce:

*jesteś początkiem
wszystkiego*

*żadna chwila
bez ciebie
jesteś przeznaczeniem
na dobro*

*zawsze
na wysokości*

jesteś życie

czyste

*krew nasza
źródło serdeczne*

czzerwona jarzębina

(serce)

3) Mariusz Appel – specjalisty od enterów. Jego słynna „trójka” rozpoczęła epokę przycinania zdań nożyczkami:

*blady siedział i czytał mastertona krew
odpłynęła z twarzy ubarwiając strony
zwykły kurs linii 195 nic sensacyjnego
by się nie wydarzyło gdyby nie zaczął mówić*

4) Duet Liryczny: „Darek und Radek” (czyli: - Radosław Wiśniewski, Dariusz Pado)

Dzieła tych panów – ze względów humanitarnych – nie wypada komentować. Nikt nie ma pretensji do polskiej reprezentacji, która na paraolimpiadzie nie zdobędzie miejsca na podium. A Radek słynie z tego, że ofiarnie pomaga wszystkim cierpiącym i uciskanym. Że sprzeciwia się nawet największym niesprawiedliwościom społecznym. Wspiera Tybetańczyków, pomaga starszym paniom przejść przez najbardziej ruchliwe ulice w rodzinnym Brzegu, a także pomaga Jakubowi Winiarskiemu, drukując kilkanaście jego recenzji w jednym numerze RED. Bez tego, bez wynagrodzenia autorskiego, bóg jeden raczy wiedzieć co by się z Jakubem – jakże cennym dla świata literackiego – podziało. Dlatego też jego mecenat artystyczny nad kolegą-dyslektykiem nie powinna dziwić.

Wydając niemal wszystko (wszystko, oprócz kalendarzy i zeszyków z dowcipami) – Karol Maliszewski wraz z Apolonią – postanowili wydać także dzieła Giedrysa. Rach ciach wykombinowali – jak zwykle, co normalne w przypadku tego duetu krytyczno-wydawniczego – wiele znaczący i dużo mówiący tytuł: „Ścielenie i grzebanie” a następnie całość w outlookowym trybie: „prześlij dalej” wysłano panu Bogusiovi Kokocińskiemu. Pan Boguś ma większe i szybsze drukarki niż państwo Maliszewscy. Stąd taka a nie inna decyzja.

Tomik Wojciecha Giedrysa, to rymowana powieść autobiograficzna. Poeta najpierw opisuje miejsce aktualnego pobytu:

*Najpierw podchodzę do okna, by sprawdzić,
Gdy drzewo, które stoi naprzeciwko nie rzuca
Zbyt długiego cienia; później jest już wszystko
Na swoim miejscu: szafki kuchenne przecieram*

[ścielenie]

Po tym jak wstępnie przedstawił czytelnikowi topografię miejsca stałego zameldowania, poeta Giedrys postanowił przedstawić członków rodziny. Oto mamusia poety:

*Z zimnymi ogniami we włosach matki
Urodziłem się pierwszego dnia stycznia.*

*Rozłożyła na stole obrus: ogórki
Kiszzone i jabłecznik jeszcze ze świąt,*

*Zdażyła jeszcze przygotować zupę
Grzybową na następny dzień i założyć
Świeżo uprane firanki. Powiedziała
Jeszcze Ojcu, że co na pewno nic dziś.*

[Głowa wroga]

Następnym w kolejce do przedstawienia był braciszek poety Giedrysa:

*Moj brat był Boniek. a ja byłem Buncol,
Rakieta do tenisa strzelaliśmy
Do wszystkich volksdeutschów i SS-manów.
Na miasto przeważnie wyjeżdżaliśmy
Jednym wózkiem prawic jak czarnym tankiem.
Waty cukrowe, dwa długie balony
Zakończone drutami wkraczały do
Sklepu ze słodyczami Słodka Dziurka.
Zaczynało się polowanie, walka
Zacięta z przepastnym portfelem matki,
Cenami niedbale zapisanymi
Na wyciętych z brystolu kartonikach
I lizakami, z których wystawały
Zatopione w lukrze głowy żołnierzy,
Reszkami gardeł proszących o pomoc.
Oczywiście gotowi byliśmy pomóc.*

[Pierwsza krew]

Po bracie powinna być albo siostra, albo ciocia, albo dziadek. Poeta Giedrys jednak postanowił zaskoczyć czytelnika. Ponownie prezentuje dzielną rodzicielkę. Ach te mamy, te słodkie, mlekodajne i poetorodne kobiety! Dlatego zachwyty literacki Giedrysa jest zrozumiałe:

*Beszamelowe dłonie przysuwała
Do Ziółka Anielskiego, nazywała
Mnie tak zawsze, gdy pod drobnymi
Palcami ożywało, cicho stękając,
Ciasto na pleśniaka. Zaparowane
Okna, które wycierała po wszystkim
Matka, nabrzmiewały aromatami
Migdałowymi i bestiami*

[Ziółko Anielskie]

Na stronie ósmej poeta Giedrys postanowił wpleść sensacyjny wątek z własnej autobiografii. Napisał o swoich doświadczeniach z podstawówki:

*Z piany lepiło się bałwany -
Przezroczyście ciała kolegów
I koleżanek, którzy leżą
Dziś na stosach. Wystarczy iskra...
Główki upychane do kratek
Brulionu, palce ogryzane przez
Wrony i gawrony, by później
Z proc wystrzelone gubiły się*

[Wspomnienia ze szkoły]

Tak, bez wątpienia, ciężkie jest życie poety w świecie dzieci, które go nie rozumieją.

Kolejna literacka relacja poety dotyczy traumy z okresu dojrzewania. Mutacja, stwardniałe, obolałe sutki – to wszystko pozostawiło trwały uraz na wrażliwej tkance duszy poety. Dlatego, kiedy nadarzyła się okazja wyrzucenia tego z siebie, bez chwili zawahania napisał:

*Pierwszy krok do siebie
Naucz mnie dotykać piersi, żebym nie
Odczuwał zgrubień. To nic, że dzisiaj nie
Padało, nic nie wisiało w powietrzu.
Zawsze będę myśleć o tym*

[Pierwszy krok do siebie]

Równie intensywnego przeżycia doświadczył poeta podczas pierwszego kontaktu damsko-męskiego. I podobnie jak to miało miejsce w przypadku procesu dojrzewania także swoje pierwsze doświadczenie erotyczne postanowił opisać:

*Rozbierz się w tej chwili. W tej chwili! Rozbierz
Się. rozbierz, schowaj wszystko do kieszeni.
Pożegnaj się z matką i ojcem, oddaj
Mi wszystko: klucze, spinki, dokumenty.
Nawet kolczyki. To nie będzie ci już
Potrzebne. Dzisiaj pierwszy raz poczujesz.*

[rozbierz się]

Szczególne uznanie należy się poecie Giedrysowi, za to, że jest konsekwentny w swoim autobiograficznym ekshibicjonizmie. Jak już pisze o wszystkim, to o wszystkim. Nawet o chwilach, w których leży pijany i ma wizje:

*Wasze pokurczone ciała oglądam
Przed snem. Szczur w moich włosach, oczodołach
Już się nic rusza, już cichną rozmowy,
Skrzypienie, za ścianami wszyscy już śpią.*

[Dzień]

Tomik autobiograficzny Giedrysa, w którym czytelnik najpierw poznaje kolejno: Wojtka dzieciaka, Wojtka w chwili dojrzewania, Wojtka i jego mamusię, Wojtka i jego brata, Wojtka i jego pierwszą dziewczynę kończy się na 30 stronie. To tyle z biografii. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że seria będzie w miarę upływu lat kontynuowana.

Państwu Maliszewskim wypada pogratulować intuicji, niebywałego wyczucia rynku oraz gustu estetycznego. Kolejne tomiki Wojciecha Giedrysa – tym razem explicite zatytułowane:

„Przygody Wojtka w podstawówce”

„Wojtek i koledzy z innej bandy”

„Wojtek za granicą”

„Wojtek i jego bracia”

„Wojtek w krainie dzikich węży”

Będą lirycznym odpowiednikiem serii przygód Tomka Wilmowskiego. Tego jeszcze nie było.